

*przyjaźń
miłość
związki*

**KRYSTYNA
MIREK**

Czy rozłąka sprawia,
że serce kocha bardziej?

Prom do Kopenhagi



Krystyna Mirek

Prom do Kopenhagi

A stylized, handwritten signature in black ink, consisting of the letters 'M' and 'K' intertwined in a cursive script.

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 1

To historia o końcu świata.

Ale nie o tym apokaliptycznym, który jak dotąd lekceważy wszelkie sugerowane mu daty oraz symboliczne rocznice i na szczęście nie następuje.

To opowieść o małej miejscowości, której nazwa pojawia się wyłącznie na wyjątkowo szczegółowych mapach. Jest tam bardzo pięknie o każdej porze roku, ale nie dojeżdża żaden szanujący się autobus, a sklep jest tylko jeden.

Wrony naprawdę tam zawracają. Są tacy, którzy twierdzą, że widzieli to na własne oczy. Bo dalej nie ma już nic. Jedynie las i góry.

Właśnie tam świat skończył się z hukiem pewnego zwodniczo sielankowego dnia.

Najpierw dla Konrada.

Stał w przedsionku i przerażony patrzył w wielką dziurę na środku podłogi. Katastrofa, odciągana w czasie różnymi sposobami, właśnie nadeszła i nic już nie mogło jej powstrzymać.

Dom, w którym mieszkał z matką i czwórką rodzeństwa, po prostu się rozpadał. A zdobycie pieniędzy na nowy przerastało całkowicie ich możliwości. Konrad stał nad dziurą od pół godziny i nie miał pojęcia, co robić.

Tego samego słonecznego dnia także Weronika uświadomiła sobie, że to koniec. Nic już nie da się zrobić. Żadne sposoby, podstępny, działania, wprost i ukradkiem, nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Cały jej świat po raz trzeci w stosunkowo krótkim, dwudziestoparoletnim życiu się zawalił. Bez znaków na niebie, trąb i jeźdźców, ale naprawdę przestał istnieć.

Oboje urodzili się na końcu świata.

*

Weronika była piękną dziewczyną, ale tu na wsi pożytek z tego był niewielki. Straty właściwie przewyższały zyski. Zazdrość kobiet towarzyszyła jej od dnia urodzin, ciekawskie spojrzenia – całe życie. Wieczory spędzała, pocieszając kolejnych chłopaków, załamanych brakiem wzajemności.

To wszystko jednak nie mąciłoby jej szczęścia, bo lubiła swoją miejscowość ze wszystkimi urokami i trudnościami, nawet wścibskie sąsiadki, lecz jak można żyć spokojnie, kiedy los obdarzył urodą przyciągającą chłopaków, mężczyzn i cudzych mężów, ale nie tego jednego, na którym jej zależało.

Wracała właśnie stromą drogą do domu, ukazując światu smukłą figurę, ciemne, długie, falujące włosy i oczy w kolorze czarnego bzu niespotykanym w tej okolicy.

Szła, a firanki w oknach mijanych domów drgały, co zdradzało sąsiadki obserwujące okolicę.

Droga wiodła przez sam środek miejscowości, wijąc się w licznych zakolach. Jej właściwy bieg i granice od wieków były powodem sąsiedzkich sporów i stale toczących się procesów sądowych. Po obu jej stronach wznosiły się domy.

Weronika nie zwracała uwagi na sąsiadów. Konrad do tego stopnia zajmował jej serce i umysł, że nie wystarczało już miejsca na nic innego.

Życie uparło się, aby jej udowodnić, jak bardzo jest nieprzewidywalne, trudne i jak świetnie potrafi w jednej chwili zniszczyć plany przygotowywane latami.

Po raz trzeci nie dostała się na studia: Kraków, psychologia, wielu kandydatów na jedno miejsce i głupie zasady rekrutacji polegające na bezdusznym liczeniu punktów.

Może zbyt wysoko zawiesiła sobie poprzeczkę? Może powinna pomyśleć o zmianie uczelni, tyle jest teraz możliwości...

Ale żeby Konrad, tak po prostu, nawet nie zapytawszy jej o zdanie, postanowił wyjechać za

granicę – tego zupełnie nie mogła pojąć. Żeby chłopak zakochany w niej, od wieków i na zabój, rezygnował z ręki, którą już od dłuższego czasu dyplomatycznie mu podsuwała, i ruszał w drogę – tego nikt nie mógł przewidzieć.

Wszyscy bowiem twierdzili zgodnie, że to, co przytrafiło się Konradowi, to cud, łaska boska.

Dla rodziny miejscowego pijaka mogło to być życiową szansą, Weronika jednak wiedziała swoje: Konrad uciekał.

Uciekał od niej i była to zła wiadomość, bo Weronika zdawała sobie sprawę, że niełatwo będzie zmienić plany, które on postanowił zrealizować.

Był niewzruszony jak góra, u podnóża której stał jego skromny dom. Nie złamały Konrada ani trudne warunki życia, ani liczne przeciwności losu. Weronika podziwiała go za całą mocą kochającego serca, ale teraz, po raz kolejny, uświadomiła sobie, jak bardzo niezłomność charakteru utrudnia porozumienie.

Jednak Konrad się pomylił, myśląc, że ona tak po prostu pozwoli mu wyjechać. Co prawda, do tej pory żadna z prób przywołania go do porządku i dogadania się nie przyniosła efektu, ale też jeszcze nigdy dziewczyna nie była tak zdeterminowana.

Wczoraj wieczorem, kiedy mały Kuba, brat Konrada, przekazał jej zaproszenie na pożegnalne ognisko, poczuła się sprowokowana do podjęcia radykalnych kroków.

*

Od pół roku walczyli ze sobą jak najwięksi wrogowie. A właściwie od pewnego słotnego poranka, kiedy zobaczyła przez okno Konrada pod małym parasolem na ścieżce prowadzącej do jej domu. W ręce ścisnął bukiet kwiatów.

Potem Konrad próbował jej wmówić, że wcale nie szedł do niej, a jeżeli widziała go na ścieżce, to po prostu szedł przed siebie. Każdemu wolno.

– Przed siebie, akurat ci uwierzę! – złościła się Weronika, ilekroć po tym pamiętnym dniu udało się jej rozmawiać z Konradem na osobności. – Chyba tylko po to, żeby walnąć głową w ścianę, bo tu droga przecież się kończy.

Konrad nie reagował na jej słowa.

Jego milczenie wyprowadzało ją z równowagi.

Nigdy dotąd nie przeżyła takiej dziwnej sytuacji. Uważała się za najlepszą specjalistkę od rozpoznawania wczesnych objawów zakochania, a wyznań miłosnych wysłuchiwała i odrzuciła tak wiele, że potencjalnego absztyfikanta potrafiła wyczuć na odległość. Pozwalało jej to tłamsić niektóre sytuacje w zarodku, dawać zdenerwowanym biedakom do zrozumienia, że nie mają najmniejszych szans, zanim zdołali wydobyć z siebie słowa oświadczeń. Dzięki temu mogli odejść, nie tracąc męskiej godności. Jej oszczędzało to męczących, wciąż tych samych wyjaśnień.

Jednak jej wiedza, doświadczenie i spryt dotyczyły tylko odrzucania oświadczeń. Nigdy nie udało jej się uczynić innego kroku. Oczywiście z powodu Konrada, jej wielbiciela, można by powiedzieć: od piaskownicy, gdyby we wsi była piaskownica.

Byli bliskimi sąsiadami. Kiedy Weronika miała sześć lat, zaręczyli się podczas zabawy i od tej pory czuli się parą. Ona rosła wierna tej umowie, Konrad inne dziewczyny traktował jak trawę na łące – z trudem odróżniał poszczególne źdźbła.

Dlatego też kiedy zobaczyła go idącego w deszczu, uroczystego i skupionego, by się oświadczyć, było to dla niej zupełnie oczywiste zakończenie ich dotychczasowej znajomości.

Wiedział, jaką dostanie odpowiedź. Wiele razy dawała mu to do zrozumienia, a ostatnio wypróbowała na nim metody ośmielenia, dodawania odwagi i zachęcania do odważnego działania wycytane w książkach i poradnikach psychologicznych. Nie miał prawa oprzeć się tym fachowym sposobom wspieranym przez jej wrodzony wdzięk, urodę i szczerze uczucie.

Gdzie wtedy przepadł? Co się zdarzyło, że odporny na wpływy, poważny i stateczny Konrad tak się odmienił?

Przepoczwarzył się z miłego motyla w paskudną, milczącą i gburowatą gąsienicę.

Może powinna była wówczas wykazać się większym zdecydowaniem? Wybiec mu

naprzeciw, złapać go i nie puszczać, dopóki nie zada jej wreszcie tego najważniejszego pytania.

Ale po pierwsze, skąd mogła wiedzieć, że on po drodze zmieni zamiar. Po drugie, z nerwów i z przejścia najpierw zmiękły jej kolana, a potem przeraziła się, bo w kuchni, do której za chwilę miał wejść jej ukochany, panował taki bałagan po śniadaniu, że nie zwlekając, zaczęła upychać brudne naczynia, gdzie popadło.

Potem pobiegła do swojego pokoju przygładzić włosy i kiedy zdyszana padła z powrotem na krzesło kuchenne, zobaczyła przez okno pustą, ociekającą deszczem ścieżkę, na której nie było śladu po romantycznym kandydacie na męża.

Czekała, nasłuchując odgłosów w korytarzu, ale nikt nie nadchodził.

Wybiegła przed dom.

Nie było tam nikogo.

Wróciła do kuchni i miotając się od ściany do ściany, próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie. Co się stało? Może ogarnęły go jakieś wątpliwości i zrezygnował?

Konrad był przecież mężczyzną. Stuprocentowym. Jego myśli biegły zupełnie innymi drogami. Już sam fakt, że potrzebował tylu lat, żeby się wreszcie zdecydować, mimo że okazji do wyznań nie brakowało, dowodził, jak niezgłębione są meandry męskiej logiki.

Naprawdę nie musiał przecież czekać ani na jej pięknie zdaną maturę, ani na kolejny nieudany start na studia. Niepotrzebne były preteksty i nikt nie zamierzał stawiać mu żadnych warunków.

Od dawna mogli już być czymś więcej niż parą przyjaciół.

Ale Konrad nie wykazywał inicjatywy, a Weronika była zbyt nieśmiała, by sięgać po bardziej zdecydowane metody niż delikatna kobieca dyplomacja.

Jednak tego dnia dziewczyna postanowiła, że zacznie działać wprost. Raz na zawsze skończy z grą, nakłoni go do powiedzenia całej prawdy.

Zadowolona z podjęcia dobrej decyzji popędziła w deszczu do domu Konrada, nie wzięwszy nawet parasola. Przeskakując kałuże, wyobrażała sobie, jak on zareaguje na jej zdecydowane słowa, rozwiewające wszelkie wątpliwości.

Zastukała w okno, bo wiedziała, że Konrad czuje się skrępowany, kiedy ktoś puka do drzwi, a on nie może wpuścić go do środka. Stała pod wysokim orzechem i czekała. Tam przynajmniej nie było tak bardzo mokro.

Konrad wyszedł po dłuższej chwili, zmieszany, ze spuszczoną głową, i nie zaprosił jej nawet za próg, choć rozpadało się na dobre, a wiatr dmuchał wściekle. Chłopak zatrzymał się kilka kroków od niej, wbił ręce w kieszenie i wcale się nie kwapił, by rozpocząć rozmowę i ułatwić wojowniczo nastawionej, ale w gruncie rzeczy nieśmiałej dziewczynie jej pierwsze oświadczenia.

Milczeli dłuższą chwilę, deszcz przemoczył ich do suchej nitki, a sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej nienaturalna.

– Widziałam cię przed chwilą na drodze – odezwała się w końcu Weronika, machając ręką w stronę ścieżki – ale chyba coś cię zatrzymało.

Spojrzała na niego wyczekująco.

Nie było odpowiedzi. Konrad wierzchem dłoni otarł mokrą od deszczu twarz i milczał. Jego usta zacięły się w wąską kreskę.

– Wiem, dlaczego się do mnie wybrałaś. – Weronika starała się mówić spokojnie, chociaż ze zdenerwowania i zimna zaczynały jej szczekać zęby. – Bardzo się ucieszyłam.

Konrad milczał zawzięcie, a z jego twarzy niewiele można było wyczytać. Jakby nie rozstali się wczoraj wieczorem w doskonałej zgodzie, jakby nie znali się od lat.

Dwoje obcych ludzi w deszczu. Było to tak głupie i dziwne, że Weronika w końcu nie wytrzymała i podeszła do niego bliżej, chcąc odgarnąć mu włosy z czoła, zajrzeć w jasne, kochane oczy, on jednak odskoczył gwałtownie i wcisnąwszy mokre ręce w kieszenie, wymamrotał, że musi już iść.

– Nie wybierałem się do ciebie dzisiaj – powiedział na pożegnanie słowa, które potem miał powtarzać w kółko. – I przez następny tydzień też będę bardzo zajęty.

Odwrócił się na pięcie, by iść do domu, więc Weronika złapała go za róg koszuli

i owinąwszy sobie mokry kawałek materiału wokół dłoni, postanowiła zatrzymać go za wszelką cenę.

Zawsze jej słuchał, nie było dotąd w jego życiu spraw ważniejszych niż jej smutek, jej problemy, jej zdrowie, a teraz łyły jej się po policzkach, twarz siniała z zimna, a on patrzył z zaciśniętymi ustami na szumiące drzewa w pobliskim lesie i minę miał tak obcą i gniewną, że zdezorientowana dziewczyna zupełnie już nie wiedziała, co i jak należałoby teraz powiedzieć.

– Konrad – zapytała pokornie, starając się spojrzeć mu w oczy – co się stało? Proszę cię, powiedz mi tylko, co się stało. Gniewasz się? Ktoś ci coś głupiego powiedział?

Nie słuchał, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

Gwałtownie wyrwał z jej dłoni swoją śliską od deszczu koszulę i uciekł do domu, wykrzykując na koniec, że wszystko jest w porządku, chce tylko, by dała mu spokój.

Zostawił ją samą na deszczu, splekaną i przerażoną.

Stała tam przez chwilę, skostniała, czując pustkę w głowie. W końcu, kuląc się z zimna, powoli wróciła do domu.

Długo nie mogła dojść do siebie. Płakała po nocach, bezskutecznie usiłowała zrozumieć, co się stało.

Wielokrotnie próbowała rozmawiać z Konradem na osobności. Na próżno, bo nagle ich drogi przestały się krzyżować, a kiedy Weronika przychodziła z wizytą, jego matka, unikając jej wzroku, zawsze twierdziła, że nie ma go w domu.

Weronika nie dawała za wygraną.

Musi być jakieś proste wytłumaczenie – pocieszała się w duchu. – Z czasem wszystko się wyjaśni.

Tak myślała do wczoraj, kiedy to cała jej nadzieja została brutalnie zduszona wiadomością, że on wyjeżdża. Nie wiadomo dokładnie na jak długo i gdzie, ale na pewno daleko.

Była przekonana, że chociaż przyjdzie się pożegnać, ale on tylko przysłał Kubę z zaproszeniem na ognisko, na którym mieli być wszyscy sąsiedzi.

*

Konrada zaskoczyła niespodziewana propozycja pracy u bogatego rolnika w Niemczech. Miał zastąpić sąsiada ciotki, który złamał nogę.

Ten nagły dar od losu, nad którym żywo debatowała cała okoliczna społeczność, był w ogólnym mniemaniu łaską niebios dla biednego chłopaka; on sam również tak to oceniał. Po raz pierwszy życie dało mu szansę w katastrofalnej sytuacji, w jakiej znajdowała się jego rodzina.

Konrad ostatnio niczego tak nie pragnął jak wyjazdu. Możliwie najdalej od miejsca, gdzie spędził całe swoje życie otoczony ludźmi, przed którymi nie dało się nic ukryć, i gdzie nieustannie spotykał osoby, których starał się ze wszystkich sił unikać.

Już jako dziecko nauczył się zaciskać zęby, przyjmując ciosy od losu i od ojca. Nie okazywać emocji, nie płakać, po prostu trwać. Potem nauczył się walczyć i z losem, i z ojcem.

Ostatnio został mu tylko los. Ale sił miał już coraz mniej. Zużyły się w trudnym dzieciństwie i we wczesnej młodości, kiedy jako najstarsze dziecko alkoholika musiał stać się głową rodziny i zastąpić ojca, który całkowicie zapomniał o poczuciu odpowiedzialności za rodzinę.

W jak trudnej sytuacji znalazła się jego żona i piątka dzieci, nikt we wsi tak do końca nie wiedział. Od śmierci Jarzębskiego minęło pięć lat.

Ojciec Konrada, jego trzech braci i jednej siostry zginął, spadając z rusztowania, pijany jak przystało na pomocnika budowlanego. Zatrudniał się na budowach od wielu lat, najczęściej na czarno, nie miał więc ubezpieczenia, a rodzina dostała bardzo skromną rentę. Zaraz po jego śmierci zgłosili się ludzie domagający się od Jarzębskich zwrotu pieniędzy, które ojciec pożyczał za życia.

Matka załamała się, bo takie sumy były dla niej nieosiągalne.

Wtedy Konrad zebrał wszystkich wierzycieli i krótko, ale dobitnie wyjaśnił, że ich roszczenia są wyłącznie honorowe, bo nikt z nich nie ma żadnego potwierdzenia, więc byłoby dobrze, gdyby jeszcze raz przemyśleli, ile naprawdę był im winien zmarły i aby wyszła taka kwota,

którą Konrad będzie mógł spłacić. W przeciwnym razie niczego nie zyskają, bo niewiele można zabrać rodzinie, której jedyny majątek stanowią dzieci.

Wierzyiele, najczęściej sąsiedzi i towarzysze pijatyk Jarzębskiego, doskonale wiedzieli, że sytuacja jest o wiele trudniejsza, niż Konrad przypuszcza, toteż szybko zgodzili się na ustępstwa.

On sam poznał całą prawdę podczas porządkowania dokumentów, które ojciec zostawił w wielkim nieładzie. Najładniejsza łąka, bezcennie płaska w tym górzystym terenie, nadająca się na działki budowlane, o której mówiono, że jest jedynym posagiem i zabezpieczeniem dzieci, okazała się obciążona wysokim kredytem, zaciągniętym bez wiedzy żony i, rzecz jasna, niespłacanym regularnie. Miejscowi pijaczkowie, świadomi tego faktu od dawna, nie puścili pary z ust ze strachu, że ktoś mógłby zainteresować się, na co wydał pieniądze stary Jarzębski i kto ewentualnie namówił go na tak nierozważny krok. Zastosowali się więc chętnie do zasady, że milczenie jest cnotą.

Konrad też posłużył się tą metodą. Nie powiedział matce o kredycie, dopóki nie wymyślił rozwiązania. Trzeba przyznać, że pracownicy banku okazali wiele życzliwości oraz zrozumienia i to właśnie oni podsunęli pomysł, by rozłożyć spłatę na dłuższy czas, dzięki czemu rata miesięczna stawała się o wiele niższa.

Ale za to jakie wysokie odsetki – pomyślał przerażony Konrad, kiedy uśmiechnięty pracownik banku pokazał mu wydruk komputerowy z symulacją rat. Nie było jednak innego wyjścia. Mógł tylko również się uśmiechnąć, podziękować grzecznie i nakłonić matkę, żeby podpisała konieczne dokumenty. Dopiero teraz mogła usłyszeć całą prawdę.

Zawsze tak postępował. Filtrował informacje i starał się chronić matkę przed najgorszymi. Opóźniał ich ujawnienie, bagatelizował skutki lub rozwiązywał kłopoty potajemnie i podawał do wiadomości wraz z gotowym planem wyjścia z sytuacji.

W tym mrocznym świecie rodzinnych problemów żył sam. Nie miał przyjaciół, którym mógłby się zwierzyć. Był pewien, że nikt go nie zrozumie. Jego troski były zbyt odmienne od spraw, którymi żyli koledzy. Nie chciał opowiadać innym o swoim życiu, bo wtedy na jaw musiałoby wyjść wiele brudnych i nieprzyjemnych wydarzeń, a nie potrafiłby tego znieść.

Dom i rzeczywistość na zewnątrz to były dwa światy niemal pozbawione punktów stykowych. Informacje o tym, co się dzieje w rodzinie, stanowiły smutny, głęboko skrywany sekret. Za przykładem najstarszego brata tej zasady przestrzegały wszystkie dzieci Jarzębskich, wyjąwszy małego Kubę, który urodził się wygadany i jako jedyny miał trudności z utrzymaniem języka za zębami, ale Kuba przyszedł na świat miesiąc po śmierci ojca, jego wiedza o życiu nie sięgała zbyt głęboko.

Nawet Weronika niewiele o tym wiedziała. Tyle, ile sąsiedzi. Nie знаła prawdziwego Konrada, nieustannie zatroskanego, czasem przerażonego lub bezradnego. Ona widziała tylko jego spokój, opanowanie i pragnęła zawsze być blisko niego.

Była ostatnią osobą, której odważyłby się zwierzyć. Uważał, że jej świat – czysty, radosny, choć niewolny od problemów, jest tak daleki od obrzydliwej codzienności jego życia, jakby mieszkali w innych galaktykach, a nie zaledwie rzut beretem przez miedzę.

*

We wsi nikt nie analizował sytuacji rodziny Jarzębskiego, nie był to bowiem jedyny alkoholik w okolicy i nie pierwsza taka historia.

Poza tym nikogo nie zapraszano do drewnianego domku położonego nieopodal romantycznego strumyka.

Różne domysły krążyły na ten temat i tylko czasem jakaś sąsiadka podstępem próbowała dostać się do środka, ponieważ jak okolica długa i szeroka nie słyszano jeszcze, żeby sąsiedzi nie wiedzieli, jak kto mieszka – i wydawało się to zawsze wystarczającym pretekstem do odwiedzin.

Tylko proboszczowi po kolędzie i dwóm najbardziej bezczelnym sąsiadkom udało się wdrzeć do leżącego po prawej stronie korytarza największego pokoju, będącego sypialnią Konrada i jego trzech młodszych braci oraz pokojem, w którym rodzina spędzała czas w ciągu dnia.

Stary proboszcz nie chciał na ten temat mówić, a przyciśnięty do muru przez czołowe działaczki Rady Parafialnej – bo kto to widział, żeby proboszcz miał jakieś sekrety – odpowiadał

wykrętnie, że on rozumie trudną sytuację swoich parafian i serce podpowiada mu, by z chrześcijańskiej miłości pomóc, ale sam nie za wiele może zrobić.

Natomiast dwie najbardziej wścibskie gospodynie, Władzia Kotas i Basia Smężyk, opowiadały straszne historie, jak to dom stoczyła pleśń i spróchniał od spodu, więc niedługo na pewno się zawali, przecież każdy widzi, że już od dawna jedna ze ścian chyli się ku ziemi.

Dom się zawali, a pięcioro dzieci przejdzie na utrzymanie gminy. Takiego końca rodziny Jarzębskich powszechnie oczekiwano.

Jednakże na razie dom stał, a wdowa jakoś sobie radziła. Jej dzieci wyróżniały się schludnym wyglądem w szkole, bo Jarzębska starała się utrzymać jaki taki poziom, dbając o przyzwoite ubrania dla dzieci.

Jarzębscy mieli więc buty, ale tylko po jednej parze i często pod koniec sezonu były one w opłakanym stanie. Na nowe, ładne ubranie, na przykład do kościoła, nie było żadnych szans. Najtrudniejszy okazywał się zawsze wrzesień. Podręczniki i przybory szkolne dofinansowywała wprawdzie opieka społeczna, ale należało wydać jeszcze sporo pieniędzy, by dzieci mogły spokojnie zasiąść w ławce.

Było trudno. Albo zabrakło na kurtki, albo trzeba było prosić o zwolnienie ze składek klasowych. A dochodziły jeszcze opłaty za ksero, ubezpieczenie, za obowiązkowy basen albo wyjazd na wycieczkę. A kiedy nadchodziła zima, znów trzeba było łamać sobie głowę, jak zdobyć pieniądze na buty, kurtki, szaliki, czapki, wyjazd z klasą na lodowisko albo do teatru.

Rada rodziców często obradowała w tej sprawie: dofinansować Jarzębskich czy też nie?

Matka Konrada nienawidziła wywiadówek. Nie wszyscy rodzice byli taktowni i szczerzy, więc musiała wysłuchać wielu przykrych uwag.

Stale i w miarę taktownie wspomagał Jarzębskich Czesiek Wilk.

Sprytny człowiek, który we właściwym czasie zakupił na raty busika, aby móc go wynajmować. Potem założył firmę i osiągnął dochody, które wbrew polskiej tradycji nie zostały natychmiast roztrwonione, lecz zainwestowane w następne środki transportu oraz reklamę. Dzięki temu, po sześciu latach, zapracowany Czesiek, który, z powodu stresu wynikającego z bycia szefem nie miał nawet kiedy zastanowić się nad swoją sytuacją, pewnego pięknego dnia obudził się ze świadomością, że na jego koncie, rzecz niesłychana, znajduje się dostateczna ilość pieniędzy, by wybudować dom, jego firma zatrudnia prawie dziesięciu pracowników, w tym aż trzech legalnie, a on sam, gdyby chciał, mógłby spać do południa i nikt nie miałby prawa powiedzieć mu złego słowa. Ale Czesiek ze strachu przed utratą tego cudownego *status quo* wstawał nadal przed świtem, pracował mozolnie i odkładał pieniądze na czarną godzinę, i był niedoścignionym wzorem dla zatrudnionych pracowników.

Rzadko zdarzało się, by wydał choć grosz na coś, co nie było związane z dobrze pojętym rozwojem firmy albo celami reprezentacyjnymi.

Okazały dom zamiast skromnej chałupiny, superlimuzyna, najnowszy laptop – to były w jego poczuciu obowiązkowe wydatki prawdziwego biznesmena. Na ciuchy dla żony skąpił pieniędzy, na naukę dla dzieci też, gdyż uważał, że sam przyuczy je do prowadzenia rodzinnego interesu lepiej niż ekskluzywne szkoły.

Jarzębską zawsze traktował z sympatią, bo podziwiał ją za niezmordowaną pracowitość.

Żyła, wychowując dzieci i harując w gospodarstwie, dzięki któremu utrzymywała rodzinę.

A teraz los uśmiechnął się do niej. Najstarszy syn dostał dobrze płatną pracę.

*

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Konrad, który nigdy nie obchodził urodzin i nie organizował grillów, choć w jego ogrodzie nad strumykiem znajdowało się miejsce jakby specjalnie stworzone do tego celu, teraz postanowił zaprosić sąsiadów na pożegnalne przyjęcie. Chociaż tajemnicą poliszynela było, że na bilet musiał się zapożyczyć, postanowił zorganizować ognisko dla najbliższych sąsiadów, a było ich wielu, ponieważ pojęcie „najbliższy” podlegało tu bogatym i różnorodnym interpretacjom. Krótko mówiąc, w obliczu tak niezwykłego wydarzenia większość mieszkańców czuła się zaproszona. Konrad, doskonale świadom tych zawiloci dyplomatycznych,

zaplanował dużą imprezę.

Bardzo się zaangażował w urządzenie przyjęcia.

Próbował wmówić matce i sobie, że sam nie wie, dlaczego to robi, ale oboje znali prawdę, i rozmawiając na ten temat, unikali swojego wzroku.

Nie potrafił wyjechać bez pożegnania z Weroniką i zupełnie nie wiedział, jak sobie z tym problemem poradzić. Rozmowa w cztery oczy nie wchodziła w grę. Ona na pewno nie zrozumiałaby istoty sprawy. Trzeba by się długo tłumaczyć, sprawiając ogromną przykrość i sobie, i jej. A czy fakty ulegną zmianie na skutek dyskusowania o nich?

To był przełomowy moment w jego życiu. Wymagał odrzucenia wszelkich nadziei, planów, jakimi żył przez ostatnie lata.

Wierzył przecież, że Weronika z nim będzie. Wskazywały na to liczne dowody, które zbierał troskliwie przez lata. Jej uśmiechy, życzliwość, czas, który zawsze dla niego miała, całe mrowie odrzuconych konkurentów.

Tak, wierzył, ba, to była prawie pewność – że jego uczucia są odwzajemnione. Może nawet i były, ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Tylko jak teraz żyć? Kochał ją tak bardzo i od tak dawna, że myśl o niej dodawała mu sił. Weronika była jedynym, zawsze jasnym punktem. Nieważne, że nie mogła mu pomóc, że nic nie wiedziała o jego kłopotach. Wystarczyło, że była przy nim.

Do jakiego stopnia motywowała go do działań i dodawała sił, zdał sobie sprawę dopiero teraz. Kiedy ją utracił. Wszystko wskazywało na to, że na zawsze.

Pożegnanie z Weroniką było ponad jego siły, sama myśl o nim bolała straszliwie. Ale zupełnie bez słowa zostawić jej nie mógł.

Ognisko miało rozwiązać problem.

Konrad sam nie wiedział, czego się spodziewa.

Chyba cudu.

Długo się zastanawiał, jak przekazać zaproszenie. Jego umysł, przyzwyczajony do stresu, wytrenowany w rozwiązywaniu problemów, jakoś nie mógł znaleźć dobrego wyjścia. Kiedy doszedł do wniosku, że ono po prostu nie istnieje, pojawił się Kuba, który miał pożyteczny zwyczaj być zawsze pod ręką. Jako wygadany i śmiały, został obarczony zadaniem, które przyjął z radością, bo potajemnie kochał się w Weronice i uwielbiał biegać do niej.

*

Dotarcie do Weroniki zajęło Kubie dwie minuty. Przekazanie wszystkich informacji – jedną, a siedzenie w kuchni i podziwianie dziewczyny, która wyjątkowo nerwowo dzisiaj na niego spoglądała – dwie godziny.

Doczekał się przyjścia ojca Weroniki, Kościelnika, który też ostatnimi czasy bywał rozdrażniony, i spożył w ich towarzystwie pyszną kolację. Weronika doskonale gotowała, nie mogły temu zaprzeczyć nawet najbardziej złośliwe sąsiadki. Tego wieczoru na kolację były grzanki, składane po dwie, z pysznym farszem i panierowane jak kotlety. Chłopak wrócił do domu objedzony po uszy i całkowicie pogrążony w błogości.

Tymczasem Weronika wstawiła naczynia do zmywarki, wykręciła się od oglądania telewizji, co zaproponował ojciec, i udała do swojego pokoju, by w samotności pomyśleć o swoim nieszczęściu. Z ulgą rzuciła się na łóżko, ale wytchnienie trwało zaledwie chwilę. Złe myśli dopiero teraz znalazły dogodne warunki, aby rozpocząć atak.

A więc to tak?

Nie przyszedł, żeby się pożegnać. Posłużył się bratem. Nie chciał się z nią spotkać. Wrzucił ją do jednego worka ze wszystkimi znajomymi i w trakcie tego zakichanego, rzekomo pożegnalnego ogniska na pewno nie znajdzie ani chwili, by zamienić z nią choć słowo na osobności.

Dwie małe gorące krople spłynęły jej po skroniach i wsiąkły w poduszkę. Potem następne, kropla po kropli, polały się po policzkach, wciekając nieprzyjemnie do ucha. Przewróciła się na bok i zapatrzyła w granatowe niebo, doskonale widoczne w prostokącie czyściutkiego okna. Wyglądało

na puste. A przecież według teorii, którymi pocieszano ją od dzieciństwa, powinni tam się znajdować liczni mieszkańcy. Pan Bóg, mama, babcia oraz cała rzesza aniołów i świętych.

Niestety, do tej pory nikt z nich się nie pokwapił, by dać znać o sobie.

Użalenie się nad swoim smutnym losem, połączone z pretensją do Boga o to, że tak marnie urządził świat, zawsze pomagało Weronice w trudnych chwilach, a znalezienie winnego przynosiło ulgę. Pan Bóg doskonale nadawał się na winowajcę praktycznie w każdej potrzebie. Uważała, że gdyby tylko mogła dostać nieograniczoną moc tworzenia, choćby na pięć minut, lepiej poradziłaby sobie z zorganizowaniem świata. Nie byłoby żadnych umierających matek, chorych dzieci. Żadnej niesprawiedliwości, rozpacz i bólu.

Wiatr za oknem kołysał potężnymi gałęziami. Jednostajny, przyjemny szum liści powoli kołował nerwy. Przez uchylone okno przenikał do pokoju ożywczy zapach świeżego powietrza. Weronika odetchnęła głęboko.

Około północy zebrała siły i przerzuciła się z myślenia rozżalonego na konstruktywne. Nie chciała, nie umiała i nie lubiła się poddawać.

Konrad nie wyjedzie bez pożegnania.

O czwartej nad ranem, zanim wreszcie usnęła, miała w głowie gotowy plan.

*

O siódmej Weronika szła szybko stromą drogą w dół. Zakupy stanowiły pierwszy punkt planu. Ze zdenerwowania wyszła z domu zbyt wcześnie i kiedy dotarła do miasteczka, okazało się, że wszystkie interesujące ją sklepy są jeszcze zamknięte.

Powałęsała się po ulicach, oglądając wystawy i, jak zwykle, wzbudzając zainteresowanie przechodniów swoją niezwykłą powierzchownością.

Zazwyczaj opuszczając rodzinną miejscowość, ubierała się niewymyślnie i wiązała włosy w warkocz, który chętnie chowała pod sweter lub płaszcz. Chroniło ją to trochę przed zaczepkami i spojrzeniami pełnymi bolesnej zazdrości. Dzisiaj zapomniała o maskowaniu urody.

Natychmiast przyszło jej za to zapłacić. Długie, kręcone włosy związane niedbale falowały w rytm kroków i tworzyły zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Przechodnie zwalniali, odwracali głowy, co bardziej prymitywni gwizdali z podziwu, dziewczyny patrzyły zachłannie, a w ich oczach malowała się niechęć.

Weronika nigdy nie miała prawdziwej przyjaciółki. Na przeszkodzie stawały albo zazdrość, albo matki troszczące się o przyszłość swoich córek. Krążyło po okolicy powiedzonko, że niebezpiecznie jest stawać w odległości mniejszej niż trzy metry od Weroniki – dziewczynom szkodzi to bowiem na urodę, a chłopakom na rozum.

Kościelniakówna jednak lubiła swoje życie, dom w górach, zimy pełne śniegu i bujne wiosny. Także sąsiadki, z którymi była zaprzyjaźniona, i nawet koleżanki ze szkoły, które trzymały się trochę na dystans, ale w większości były sympatyczne.

Ukrywając przez całe życie urodę, którą uznała za główne źródło swych nieszczęść, na jedno nie potrafiła się zdobyć – na obcięcie włosów. Chyba dlatego, że w każdej fryzurze, nawet najkrótszej, pewnie byłoby jej do twarzy, przede wszystkim jednak z powodu Konrada. W jej marzeniach przewijał się taki romantyczny moment, kiedy płaszcz z włosów grał istotną rolę. Wiedziała, że są piękne, i zapuszczała je ofiarnie od lat, choć ich rozczesywanie było codziennym koszmarem, mycie trwało bardzo długo, odżywki kosztowały sporo, a bez nich robił się kołtun nie do rozplątania.

Była jednak święcie przekonana, że nie o odżywkach i kołtunach będzie myślał Konrad, kiedy ona przed nim stanie w płaszczu z włosów.

Te wszystkie latami pielęgnowane plany chwiały się wskutek niezrozumiałej postawy Konrada.

Cierpliwość Weroniki już się wyczerpała. Jak długo można żyć jedynie marzeniami, czekać i ośmielać dyplomatycznie, acz nieskutecznie?

Zdecydowała się uwieść ukochanego.

Zadanie nie wydawało się przesadnie trudne. Znała dobrze Konrada. Kochała całym sercem

i po raz pierwszy w życiu postanowiła użyć swej urody jako broni. W tym celu kupi prowokującą sukienkę, rozpuści włosy i sprawi, że on wreszcie się zapomni.

Kołała jej wprawdzie w głowie rozsądna myśl, że tego typu środki nigdy nie były jej potrzebne, by kogoś w sobie rozkochać, ale zepchnęła te niemiłe rozważania na dno duszy i przydeptała, żeby nie przeszkadzały. Widocznie nie każdy facet rozumie trudną sztukę dyplomacji. Czasami trzeba spróbować bardziej radykalnych sposobów.

Tymczasem sklepy zaczęto otwierać i Weronika ruszyła na łowy. Nie miała w tym wielkiej wprawy. Do tej pory kupowała ubrania skromne, gdyż oszczędzała na studia i wychodziła z założenia, że obojętne, co na siebie wkłada.

Teraz postanowiła zaszaleć. Spokojnie z namysłem przemierzała butik pełne przeróżnej konfekcji w poszukiwaniu czegoś, co odpowiadałoby mglistemu wyobrażeniu o sukience, która równocześnie byłaby kusząca, ale nie wyzywająca; romantyczna i kobieca, ale odpowiednia na ognisko; subtelna i w dobrym gatunku, a przy tym niedroga. Łatwe to nie było.

O godzinie trzeciej po południu, obszedłszy każdy sklep przynajmniej trzy razy i naraziwszy się swoim marudzeniem wszystkim po kolei sprzedawczyniom, zdecydowała się na kompromis. Zrezygnowała z sukienki, postanowiła włożyć džinsy, a do nich romantyczną, mocno wyciętą, zwiewną bluzeczkę o rozkloszowanych rękawach. Czerwoną z kunsztownym haftem wokół dekoltu i rękawów. Kosztowała tyle, ile utrzymanie jej i ojca przez dwa tygodnie, ale co tam. Stawką było życie.

Efekt przeszedł najsmielsze oczekiwania. Bluzka spływała łagodnie po figurze, podkreślała, co trzeba, džinsy opinały biodra, a rozpuszczone włosy otaczały gąszczem splotów miłą, zatroskaną twarz o ogromnych, przejrzystych oczach.

Jaką siłą musiałby mieć Konrad, żeby się jej oprzeć?

Weronika z zadowoleniem popatrzyła w lustro i doszła do optymistycznego wniosku, że taka siła nie istnieje na tym świecie. Postanowiła jeszcze, że kupi jakąś skromną, srebrną biżuterię, a potem szybko wróci do domu.

*

Kasia Jaworska z trudem się budziła. Opornie reagowała na agresywną melodię budzika ustawionego w komórce. Nie znosiła tej muzyczki. Nie było jednak sensu jej zmieniać, bo każdy najwspanialszy nawet przebój, ustawiony jako budzik, po tygodniu jednakowo szarpał jej nerwy.

Musiała wstać do pracy.

To nie był dobry dzień na życie.

Z kuchni dobiegały mocno podniesione głosy: taty, który domagał się chwili spokoju we własnym domu, oraz spokojny i denerwująco łagodny babci, że przecież właśnie o to jej chodzi.

Za oknem rzecz jasna siąpił deszcz.

Oparta o umywalkę Kasia próbowała zmobilizować się na tyle, żeby umyć zęby i wykrzesać trochę energii potrzebnej na przeżycie tego dnia.

W końcu szef mnie zwolni, jak się nie pozbieram – rozmyślała, plując bez przekonania wodą do płukania zębów do umywalki, na której wyraźne były ślady tej samej czynności wykonanej wcześniej przez jej brata. A ile razy się mówiło smarkaczowi, żeby sprzątał po sobie!

Ze względu na szefa, który nie krył, że przyjął ją do pracy z powodu miłej aparycji i sympatii, jaką wzbudzał u klientów jej szczery uśmiech, włożyła najbardziej twarzową niebieską bluzkę z fikuśną falbanką, która musiała dzisiaj maskować kompletną niedyspozycję swej właścicielki i robić za Kasię dobre wrażenie.

Dziewczyna zrezygnowała ze śniadania. Jeść jej się nie chciało, a babcia – po odbytej z ojcem skoro świt gwałtownej kłótni o to, kto nie dba o honor rodziny, a kto wywala pieniądze w błoto – chodziła podminowana, prychnąwszy jak żbik, i tylko szukała ofiary, żeby jej wyłożyć swoje argumenty, z których niezbitnie wynikało, że syn kompletnie nie ma racji i właśnie wpędza ją do grobu.

Gdyby wierzyć w wersję wydarzeń przedstawianą przez babcię, to ojciec Kasi od dobrych dziesięciu lat nie zajmował się niczym innym jak tylko właśnie wpędzaniem babci do grobu.

Wyglądało na to, że brakowało tym działaniom skuteczności, bo babcia nie tylko świetnie się czuła i miała mnóstwo energii, lecz także wygrywała w pięknym stylu wszystkie słowne potyczki z popędliwym synem. Ale tylko słowne. W czynach on zawsze był górą. Konflikt więc trwał i stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Mama ewakuowała się do ogrodu, czekając, aż minie najgorsze, choć w deszczu naprawdę nie tam nie miała do roboty. Kasia złapała tylko przygotowaną już bułkę i cmoknąwszy babcię w zachmurzone czoło, pojechała rowerem do pracy.

Drobinki wilgoci przylepiały jej się do twarzy, kiedy pedałowala zaciekle w dół, a wiatr wiał prosto w oczy.

Dosłownie i symbolicznie.

Kiedyś w czasie deszczu chodziła do pracy pieszo, z godnością chowając starannie wymodelowaną fryzurę pod wielkim parasolem. Wilgoć wprawdzie i tak rozprostowywała, co mogła, ale jakąś część zawsze udawało się „dowieść”. Ostatnio jednak postanowiła kichać na te wszystkie wysiłki, które dawały żenująco mizerny efekt w porównaniu na przykład z tym, co taka Weronika Kościelniak osiągała samym przejechaniem ręką po głowie i wystawieniem swych obfitych loków na życzliwe dla niej działanie kropel. Niektórym wszystko sprzyja.

To nawet zgodne z Biblią – rozmyślała Kasia, pokonując długą drogę w dół, potem w górę, następnie znów stromo w dół i wreszcie mały kawałek prosto, by dojechać do sklepu z biżuterią, w którym pracowała. – Jest tam przecież wyraźnie napisane, że kto ma dużo, temu jeszcze będzie dane, a kto ma mało, temu będzie zabrane nawet to, co ma. I jako że Biblia jest słowem żywym, Weronika ma urodę, Marcina, w którym Kasia podkochuje się potajemnie, ale gorąco, Konrada oraz wielu innych, a ona nic nie ma i na dokładkę zapewne niedługo zostanie wywalona dyscyplinarnie z pracy za rozwalenie kopniakiem cennych szklanych drzwi, które za nic nie chciały się dzisiaj otworzyć.

Reszką sił się powstrzymała.

A dzień dopiero się zaczynał.

Nie wiadomo, co jeszcze mogło się zdarzyć.

Przecucie okazało się słuszne.

Po pierwsze, w sklepie była dostawa towaru. Okoliczność ta już tradycyjnie wprowadzała szefa w stan wrzenia. Łagodzenie jego zdenerwowania, sprawdzanie zgodności faktur z ceną zawartością pudeł, przerywane obsługiwaniem klientów, którzy nic nie kupowali, a wyjątkowo marudnie zawracali głowę, zajęło jej całe przedpołudnie.

Po krótkiej przerwie obiadowej, spędzonej w towarzystwie szefa dochodzącego powoli do siebie i jego wiecznie tych samych dowcipów, powinna jeszcze wyłożyć nową biżuterię i tak ją wyeksponować w gablotach, by zadowolić pracodawcę bardzo wymagającego pod tym względem.

Nie miała tego dnia natchnienia do układania w subtelne kompozycje zaręczynowych pierścionków, serduszek na łańcuszkach i innych drobiazgów wywołujących smutne skojarzenia.

Mogła sobie bez problemu coś kupić. Szef nie był zdziercą, a ona, mieszkając z rodzicami, oszczędzała lwią część wypłaty, poza tym ceny bez marży, jakie jej przysługiwały, były całkiem przystępne.

Ale co to za radość samej kupić sobie pierścionek? A na to, że ktoś go jej podaruje, nie mogła liczyć. W każdym razie nie na tego, na którym jej zależało.

Ostatnio ciągle słyszała tylko o tej nieszczęsnej Weronice: według niektórych po wakacjach miała udać się w szeroki świat, aby wziąć udział w jakimś konkursie lub castingu, poznać księcia z bajki i zrobić oszałamiającą karierę, a według innych – korzystnie wyjść za mąż za Marcina Wilka.

Został on zgodnie wytypowany jako najbogatszy, i do tego niegłupi. Sugerowano też innych kandydatów, choć bez szczególnego zapалу.

Kasia nie żałowała nikomu królewiczów, castingów ani kariery. Była gotowa trzymać kciuki, a nawet wysłać esemesa pod wskazany numer, lecz serce jej szarpała bezsilna złość, kiedy pomyślała, jak niesprawiedliwie los obdziela ludzi, jednym dając Marcina i całe tuziny innych, a drugim żałując wszystkiego.

Smutno spojrziała w okno.

Chyba tylko po to, by zobaczyć właśnie tę Weronikę, jak szła z podniesioną głową, zamyślona, nie racząc nawet zerknąć na mijających ją ludzi. Kasia aż się wzdrygnęła z obrzydzenia na widok falujących włosów i kształtnej sylwetki.

Serce jej się ścisnęło na myśl o biednym Marcinie, całkowicie bezradnym wobec takich diabelskich pokus.

*

Oczywiście zamiast pójść dalej, Weronika postanowiła wstąpić do tego akurat jubilera, jakby w mieście nie było innych.

Wystawiała tym samym na poważną próbę lojalność biednej Kasi, zmuszonej do prezentowania zawodowej uprzejmości ze względu na szefa, który na pierścionkach zaręczynowych dla Weroniki, kupowanych przez kolejnych zakochanych, zarobił już sporo pieniędzy, a teraz, po jej którymś z rzędu nieudanym starcie na studia, miał nadzieję na nowy sezon oświadczynowy.

Kasia zmobilizowała wszystkie siły, starając się, by jej uśmiech w równych proporcjach oddawał zawodową uprzejmość i prywatną niechęć.

Niech sobie Weronika nie myśli, że ktoś tu będzie okazywał jej szczególne względy.

Dla wzmocnienia efektu podniosła głowę wysoko i ostentacyjnie zabrała się do układania srebrnych łańcuszków, tylko lekkim skinieniem odpowiadając na uprzejme powitanie.

Weronika przystanęła zaskoczona. Sklep był pusty, liczyła na miłą pogawędkę i fachową poradę, bo zupełnie nie wiedziała, czego szukać, a tu napięta atmosfera i nie wiadomo, co myśleć ani jak się zachować.

Kasia, powszechnie uważana za bardzo miłą i sympatyczną, najwyraźniej nie miała najmniejszego zamiaru zająć się klientką, więc zbита z tropu Weronika, z trudem panując nad sobą, spróbowała rozbroić przeciwnika metodą empatii tak polecaną przez psychologów.

– Cześć – zaczęła, łagodnie się uśmiechając. – Przykro mi, że ci przeszkadzam, czy źle się czujesz? Wyglądasz nie najlepiej.

Ale na Kasi ani empatia, ani psychologia nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Z oburzenia na tak bezczelną uprzejmość straciła dech i zapomniała o wszelkiej zawodowej lojalności. Mogłaby godzinami opowiadać, jak się czuje i kto jest temu winien.

Dopiero po paru sekundach, angażując całe zapasy posiadanego jadu i złośliwości, wypaliła bez namysłu:

– A co! Spodziewałaś się gratulacji?! Może jeszcze tren za tobą ponieść albo ryżem sypnąć?! – Najlepiej całym kilogramem w łeb – dokończyła w myślach.

– Jakim ryżem? Jaki tren? O czym ty mówisz? – zapytała zaskoczona Weronika.

– A co, nie masz trenu? – zadrwiła Kasia. – Nie martw się, stary Wilk ci kupi. Stać go.

– A dlaczego akurat stary Wilk?

– No, jako przyszły teść naturalnie.

Weronika poczuła nagle, że chce jej się śmiać. Obręcz zaciśnięta wokół serca puściła. No tak, wszystko jasne.

– Myślisz, że wychodzę za mąż za Marcina Wilka? – zapytała.

– A nie wychodzisz? – Kasia zaczynała się czuć trochę głupio.

Weronika oparła się o gąbłotę i westchnęła ciężko.

– A kto kocha się w Konradzie Jarzębskim?

– Anka Smężyk i Wiola Rogóz – odparła Kasia bez chwili wahania.

– No to tylko one mają powód, żeby się mnie bać czy nienawidzić.

Kasię zatkało po tej niespodziewanej informacji, choć obiektywnie nie powinna ona budzić wielkiego zdumienia. Od lat widywano tych dwoje razem, tyle że nikt nie wierzył, by biedny, małowówny syn pijaka mógł mieć jakiegokolwiek szanse u Kościelniakówny.

Do sklepu weszło dwóch starszych panów, rozmowa została przerwana. Kasia obrzuciła niechętnym spojrzeniem potencjalnych klientów. Była pewna, że niczego nie kupią.

Milczała i próbowała przetrwać w myślach słowa Weroniki. Jakoś nie mogła się przełamać,

by dać im wiarę. Obserwowała spod rzęs rzekomą rywalkę i z wielkim niezadowoleniem musiała stwierdzić, że dziewczyna wzbudza jej sympatię.

Z bliska widać było bladość Weroniki i wyraźne ciemne sińce pod oczami. Wyglądała na zmęczoną i smutną. Gdyby to nie była Weronika, można by jej współczuć. Znów nie dostała się na studia, a Konrad zaraz ją opuści.

Nie ma też żadnej przyjaciółki, której mogłaby się pożalić.

Weronika spojrzała na Kasię porozumiewawczo, wskazując na marudzących klientów. One tu omawiają takie ważne sprawy, a ci łażą i łażą.

Kasia roześmiała się.

Jaka ta dziewczyna mogłaby być sympatyczna, gdyby nie była wstrętną Weroniką, w której Marcin zakochał się – pomyślała.

Mężczyźni w końcu wyszli, obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem nieuprzejmą sprzedawczynię.

– Co chciałabyś kupić? – zapytała Kasia, nie wiedząc, jak wrócić do poprzedniego tematu.

– Jakies drobiazg na ognisko u Konrada, coś malutkiego.

– Też tam będę. Konrad zaprosił mojego brata z osobą towarzyszącą, a ponieważ ten głupek oczywiście wstydzi się zaproponować to jakiejś dziewczynie, więc jak zwykle zabierze mnie.

– Marcin też się wybiera – powiedziała Weronika, przyglądając się wyjątkowo kunsztownie plecionemu łańcuszkowi. – Wiem z pewnego źródła.

Kasia mimo woli splonęła rumieńcem, ale szybko się pozbierała i zdmuchując energicznie grzywkę z czoła, oznajmiła:

– No to i ja też kupię sobie coś fajnego. Może poszukamy razem.

Pochyliły się nad gablotą, by poddać krytycznemu przeglądowi najnowszą dostawę towaru. Potem zabrały sporą ilość łańcuszków oraz różnych drobiazgów i zaczęły mierzyć.

Weronika westchnęła, chłonąc nowe dla niej doświadczenie. Tak łatwo rozmawiało się z Kasią, zupełnie inaczej niż z ojcem, Konradem albo koleżankami ze szkoły. Nie trzeba było niczego tłumaczyć. Jedno spojrzenie, dwa słowa i zaśmiewały się do rozpuku, dokładnie wiedząc, o co chodzi.

Zastanawiała się, jak wiele kobiet tak dobrze się rozumie i świetnie czuje razem, ale choć nie była w tej dziedzinie ekspertem, podejrzewała, że to jednak rzadkość. Postanowiła spróbować chronić ten załazek przyjaźni za wszelką cenę.

Włożyła kolejny wisiołek z małą cyrkonią i stanęła przed Kasią, by ta mogła ocenić jego przydatność do wiadomych celów. I chyba po raz pierwszy zobaczyła w oczach innej dziewczyny szczerą aprobatę.

Opadające włosy ukryły wielką radość, którą bała się okazać. Było jej tak wesoło i lekko na sercu. Nagle poczuła, że wszystko będzie dobrze.

*

W okolicy wrzało tego lata jak nigdy dotąd.

Sensacyjne wieści goniły jedna drugą. Spekulacje na temat przyszłości Weroniki Kościelniak elektryzowały wszystkich mieszkańców.

Jej życie zawsze było obserwowane ze szczególną uwagą, ale nie tylko dlatego, że była wyjątkowo ładna.

Urodziła się w atmosferze skandalu jako owoc miłości, którą przypieczętował potajemny ślub. Historia małżeństwa jej rodziców latami krążyła po okolicy jako jedna z ulubionych i obrastała w coraz to nowe komentarze i hipotezy.

Jedyny syn Jadwigi Kościelniakowej, powolny, małomówny i stuprocentowo posłuszny chłopak, w wieku lat trzydziestu dwóch, pojechał do Przemysła po sadzonki pomidorów. Po sześciu tygodniach, kiedy jego matka z nerwów prawie postradała zmysły, wrócił po ślubie cywilnym z nikomu nieznaną dziewczyną, jak się szybko okazało, będącą w stanie błogosławionym.

Sensacja była wielka, ślub kościelny szybki, a wyprawione przez Kościelniakową dla zachowania pozorów wesele – pełne komentarzy i znaczących spojrzeń.

Nowożeńcy zamieszkali wspólnie z teściową, ale ich wzajemne relacje nie układały się dobrze. W tym absolutnie doskonałym domu, od lat twardą ręką prowadzonym przez kobietę o niespożytej energii, nie było miejsca dla dziewczyny, która bardzo źle znosiła ciężę, nie wiedziała, jak upiec biszkopt, żeby nie opadł, bała się sama wykąpać swoje dziecko zaraz po powrocie ze szpitala, a od pracy w polu dostawała bąbli na delikatnych rękach i bólów kręgosłupa.

Babcia Kościelniakowa, która swoją ciężę przed laty znosiła doskonale, biszkopty piekla z zamkniętymi oczami, potrafiła wykąpać naraz kilkoro dzieci, a pracować w polu mogła bez końca, nie zhańbiwszy swych twardych rąk najmniejszym nawet otarciem, nie mogła zrozumieć, co za лихо sprowadziło pod jej dach takiego odmieńca.

Gdyby Adam choć słowem wspomniął, że chce się ożenić, w kilka minut znalazłaby mu dziesięć lepszych.

Jak można było matce zrobić coś takiego?

Pięć lat po ślubie młoda żona Jana, wówczas już mama Weroniki, umarła nagle, choć nikt nie słyszał, by wcześniej chorowała.

Wywołało to we wsi gwałtowną falę plotek na temat wpływu surowej, niezycziwej teściowej na młodą i niezaradną synową.

Podczas pogrzebu orszak aż huczał, ale próżno by szukać modlitwy wśród licznych wypowiedzianych wówczas słów.

Mała, śliczna Weronika ubrana przez zapobiegliwą babcię w gustowny granatowy płaszcz i aksamitny berecik kłula w oczy. Blade, wystraszone dziecko, niewiele rozumiejące z tego, co działo się dookoła, ścisnęło rękę ojca, chcąc jak najszybciej wrócić do domu, do mamy.

Ale to przedstawienie miało wiele aktów. Po pogrzebie wszyscy składali kondolencje, litując się nad małą sierotką i oglądając ją wśród gwałtownych komentarzy niczym ciekawy okaz.

Potem była stypa i znów rozważania, co też teraz pocznie to małe, słodkie biedactwo i jakie to szczęście, że po śmierci mamy ma babcię, która na pewno doskonale sobie poradzi.

W ten właśnie niezbyt delikatny sposób Weronika dowiedziała się, co się stało z mamą, bo tata, który chciał jej wszystko wyjaśnić spokojnie i we właściwym momencie, nie zdążył.

Do wieczora dziecko usłyszało wszystko. Także to, co do jego uszu zdecydowanie nie powinno dotrzeć.

Było to mocne przeżycie. Tata głaskał ją wprawdzie współczująco po głowie, ale myślami był daleko.

Babcia zacisnęła zęby i energicznie zabrała się do reorganizacji ich życia. Usunęła skrzętnie wszystkie ślady po mamie, zaprowadziła nowy ład i jakby nigdy nic zajęła się wychowaniem Weroniki po swojemu.

Zaledwie codzienność trochę się unormowała, plotki przycichły, Weronika poszła do szkoły i całkiem dobrze sobie tam radziła, na rodzinę spadł następny cios. Zmarła babcia Kościelniakowa. Świat Weroniki po raz kolejny się zawalił.

Lekarze orzekli, że przyczyną śmierci babci był zawał serca. Ponieważ powszechnie wiadomo, że zawał bierze się ze stresu i nadmiaru zmartwień, wieś podzieliła się na dwa obozy, które z wielkim przejęciem zajęły się szukaniem odpowiedzi na pytanie – kto kogo wpędził do grobu? Teściowa synową czy też odwrotnie?

Weronika niechętnie rozmawiała na ten temat, co nie zawsze było właściwie interpretowane.

Najbardziej nie cierpiała znajdować się w centrum zainteresowania. Szczególnie że po śmierci babci ojciec zamknął się jeszcze bardziej we własnym świecie, niedostępnym dla innych.

Weronika wychowywała się na podwórku u Jarzębskich, rosła z ich dziećmi, przygarniana zycziwie przez ich matkę oraz innych sąsiadów, bo chociaż sąsiedzi czasem swoją ciekawością dawali się we znaki, to jednak w potrzebie można było na nich liczyć.

Tak dorosła i znów stała się tematem gorących spekulacji.

Po raz trzeci nie dostała się na studia. Żeby jakoś wypełnić czas, ukończyła szkołę sekretarek.

Zaraz potem zaczęły się problemy.

Od ogłoszenia wyników rekrutacji minął już miesiąc. Była połowa sierpnia i nic nie wskazywało na to, żeby Weronika miała zamiar wyjechać.

A możliwości było przecież tak wiele. Mogła zgłosić się na casting do agencji modelek i być sławna, wybrać się do telewizji albo stanąć po prostu w wielkim mieście na jakimś dostatecznie dużym skrzyżowaniu, a ktoś na pewno zwróciłby na nią uwagę. Wielkie miasta pełne są wspaniałych okazji czekających tylko, by z nich skorzystać.

– Gdybym ja miała takie warunki – wzdychała co rano Jaworska w kolejce po chleb – tobym już dawno sobie ułożyła życie. Całkiem nie mogę pojąć, co ta dziewczyna myśli.

Inne kobiety przytakiwały jej w milczeniu. One także czuły w sobie gotowość, by porzucić życie, które wiodły, i ruszyć na podbój świata. Tak im się przynajmniej wydawało.

Weronika najwyraźniej nie podzielała ich desperacji. Czas mijał, a ona nie pakowała walizek.

Kościelniak, przyciśnięty do muru, udzielał odpowiedzi wymijających. Że córka jeszcze nie wie, co robić, rozgląda się za pracą, ale nie wiadomo, co dokładnie postanowi.

W wielu męskich sercach zabiła nadzieja.

*

Wiadomość, że Weronika szuka pracy, zelektryzowała także Czeska Wilka. Taka dziewczyna jako sekretarka byłaby ukoronowaniem jego życiowych osiągnięć. A jako synowa – pokonaniem całej wiejskiej konkurencji.

Poranek, w który dotarła do niego ta wieść, miał zapamiętać na długo. Był to wyjątkowo pracowity początek dnia. Czterdzieści potężnych ciężarówek należało do godziny siódmej wyekspediować do różnych miast z różnym towarem. A ponieważ część samochodów była pożyczona, zatrudniono też dodatkowych kierowców do pomocy, a więc organizacja tego przedsięwzięcia wymagała od szefa pełnego skupienia.

Tymczasem siedzący w kantorku Czesiek się rozmarzył. Oparł mocne, spracowane dłonie rolnika o blat biurka, a przed oczami przepływały mu coraz to piękniejsze wizje.

Wspaniały sekretariat, Weronika na tle biurowej zieleni i on oparty od niechcienia o framugę drzwi, wydający polecenie odnalezienia zagubionej faktury. Konkurent z miasteczka, nadęty bufon, któremu całkowicie opada szczęka na widok sekretarki Czeska i z tego szoku podejmuje takie decyzje w interesach, że odpada z gry. Weronika konsultująca ze swym szefem kolory segregatorów w biurze. Wspólne rozmowy, żarty...

Nagle jedna myśl, szczególnie fascynująca, przyprowadziła zrównoważonego i nieskłonного do wzruszeń Czeska o autentyczne dreszcze. Gorący rumieniec oblał mu twarz.

Weronika jako żona.

Czy były to całkiem nierealne mrzonki? Współczesny świat pełen jest paskudnych, brzuchatych biznesmenów, za których ochoczo powychodziły za mąż rozmaite długonogie piękności. Czesiek Wilk dzięki wyteżonej pracy fizycznej prezentował się jeszcze bardzo dobrze, a brzuch mógł śmiało pokazać nawet najbardziej wymagającej kandydatce.

Cóż z tego, że jego stateczna połowica gotująca właśnie bigos mogłaby być przeszkodą w realizacji śmiałych Czeskowych planów? Wszak w Unii Europejskiej rozwód nikogo zbytnio nie bulwersuje.

Gdyby jednak Weronika wyraziła choć cień zainteresowania, byłby gotów na wszystko. Dałby żonie uczciwe zadośćuczynienie i rozpoczął życie tak cudne jak niekończący się luksusowy rejs po ciepłych morzach wypełnionych po brzegi tęczowymi koralowcami.

Czesiek był człowiekiem rozsądnym, twardym i zrównoważonym. Miał nerwy jak postronki. Dzięki temu zbudował stabilną firmę i nigdy nie dał się ponieść emocjom – ani w obliczu dużych pieniędzy, ani władzy.

Generalnie też nie miał zwyczaju pogrążać się w marzeniach, zwłaszcza nierealnych.

Tym razem jednak naprawdę odpłynął. Wpatrzony w białą ścianę biura widział obrazy tak niezwykle, że dech mu zaparło, a twarz bladła, siniała i czerwieniła się naprzemiennie.

Prawie dwumetrowy kierowca potężnej postury zmierzał właśnie do kantorka, aby podstemplować faktury. Szedł spokojnie, drapiąc się po krótkim zarostcie, którego nie zdążył dzisiaj ogolić. Nie psuło mu to jednakże humoru, gdyż było wiadomo, że szef nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. Do biura szło się zwyczajnie, bez stresu, o ustalonej z góry, zawsze tej samej godzinie.

Szef lubił porządek i regularność. Kto trzymał się zasad, mógł pracować spokojnie. Taki zrównoważony i przewidywalny pracodawca to prawdziwe szczęście i rzadkość.

Kierowca przejechał dłonią wielką jak łopata po zarostcie i bez pukania, z rozmachem otworzył drzwi biura, po czym zatrzymał się w połowie potężnego kroku, który właśnie miał wykonać.

Za biurkiem siedział Czesiek Wilk całkiem siny na twarzy. Ujrzawszy swojego pracownika, zerwał się i przez chwilę wyglądał, jakby stracił mowę i nie mógł złapać oddechu. Wystraszony kierowca w mgnieniu oka pojął, że coś strasznego musi dolegać pracodawcy, może nawet wylew albo zawał, i już odwracał wielkie ciało w stronę drzwi, by wezwać pomocy, gdy unieruchomił go głośny ryk, od którego wszystkie włoski na plecach stanęły mu na baczność.

– Won, baranie, z kantorka! Ale już! A jak komu powiesz, coś tu widział, to na zbity pysk wywalę i jeszcze chłopaków napuszczę, żeby ci taki wycisk dali, że raz na zawsze zapamiętasz, pieronie!

Kierowca się zdenerwował. Z roztrzęsionych rąk papiery posypały się pod wielkie ubłocone buciory.

Czesiek stał za biurkiem czerwony ze wstydu i wściekły na siebie, że dał się ponieść tak bardzo niestosownym fantazjom w kantorku. Przekonany, że kierowca dokładnie odczytał brudne myśli swego szefa, czuł się, jakby go właśnie złapano na gorącym uczynku.

Tymczasem wystraszony kierowca próbował pozbierać dokumenty, które jak na złość mięły się i przyklejały do podłogi. Zdeptał potwierdzenie przelewu na pięć tysięcy złotych i z przerażenia pot spłynął mu po plecach. Jeżeli szef każe jeszcze raz zapłacić?

Czesiek nie czekał dłużej. Jednym susem pokonał dzielącą ich odległość, wyrwał chłopakowi z ręki pomięte papiery i kazał się wynosić.

– A... te... ten przelew? – kierowca próbował ratować swoją skórę.

– Powiedziałem: won, to znaczy wynocha, spadaj, bo jak cię bez łeb... – Czesiek zamachnął się obrazowo. W nerwach, co zdarzało się rzadko, dawało o sobie znać jego chłopskie pochodzenie.

W Czesku się zagotowało. Zapomniał, kim jest, a krew przodków raptusów rzucających czym popadło w żony, sąsiadów i wszystkich ośmielających się mieć inne zdanie, pokierowała jego ręką.

Porwał stojący na biurku nowy wielofunkcyjny telefon, który starannie wybrał wczoraj w sklepie, i z wielką siłą rzucił w przerażonego pracownika, który nie zdążył nawet zasłonić się ręką. Rozległ się huk, kosztowny sprzęt roztrzaskał się o podłogę, kierowca runął z nie mniejszym łomotem na drzwi kantorka i łapiąc gwałtownie powietrze, zasłonił krwawiący policzek.

Na zewnątrz pozostali pracownicy, zebrani już od dłuższej chwili, wstrzymali oddech.

Czesiek opanował się pierwszy.

Niepotrzebna była ta cała scena – pomyślał zły.

Pomógł podnieść się z podłogi chłopakowi, który trzymał się za policzek, i powiedział już spokojnym głosem:

– Wyjdz, jak mówię po dobroci, i idź do mojej żony, niech ci zrobi opatrunek albo zawiezie cię do lekarza. Dostaniesz za to odszkodowanie, płatny urlop – cokolwiek. Tylko idź już.

Otworzył drzwi, a widząc stado osłupiałych i bladych kierowców zawołał:

– Niech no który pomoże koledze. A zaraz potem brać faktury i do roboty. A jak jeszcze raz powiem do kogoś po polsku: won, a on nie pojmie, znaczy cudzoziemiec i do pracy w mojej firmie niezdatny. Zrozumiano?

– Jasne, szefie. – Kierowcy pilnie obserwowali czubki własnych butów oraz wzór kostki brukowej na podwórku, zresztą bardzo ładny.

Czesiek wrócił do kantorka, wyprostował faktury, wydrukował na nowo te, na których ślady buciorów mogłyby wymagać kłopotliwych wyjaśnień, schował bez słowa podeptane potwierdzenie przelewu, po czym wyprawił kierowców w drogę.

Następnie zatelefonował do swojego domu oddalonego o parę metrów i zapytał żonę o stan kierowcy. Dowiedziawszy się, że szczęśliwie ma tylko lekko uszkodzoną wargę oraz niegłęboko przecięty policzek, Czesiek po raz pierwszy w swej karierze biznesmena kazał odesłać swego pracownika na płatny urlop i po raz tysięczny w swym pożyciu małżeńskim zakazał żonie zadawania pytań.

W końcu zmęczony oparł rozgrzane czoło o chłodny blat starego, solidnego biurka i westchnął głęboko. Taka historia nie powinna się wydarzyć.

Wyglądał się, to fakt. Ale czy on pierwszy?

Wiedział, że facetom, zwłaszcza tym, którzy osiągnęli w życiu sukces, odbija po pięćdziesiątce i zaczynają szukać przygód. Obserwacje dowodziły, że rzadko wynikało z tego coś dobrego. Najczęściej wstyd, rozbite rodziny, krzywda dzieci i kłopoty finansowe stanowiły nieromantyczny koniec takich rzekomo wielkich miłości. Kiedyś śmiał się z tych, którzy tak poplątali sobie życie, teraz zrozumiał, że sam mógłby się znaleźć w podobnej sytuacji.

Był tylko jeden sposób, by raz na zawsze rozwiązać problem Weroniki i ochronić się przed własnymi głupimi pomysłami.

Korzystny dla wszystkich.

Dzisiaj rano, po raz pierwszy, zakiełkował mu w głowie po przypadkowym spotkaniu z Kościelniakiem. Dał mu on wyraźnie do zrozumienia, że jego córka bardzo lubi Marcina i to właśnie z jego powodu jeszcze nigdzie nie wyjechała. Była to wiadomość dość zaskakująca i początkowo wydawała się nieprawdopodobna, ale teraz Czesiek doszedł do wniosku, że to jego jedyna szansa.

Weronika powinna związać się z Marcinem, a wtedy on zapewni synowej pracę i właściwe warunki, i Weronika przestanie być dla niego pokusą. Czesiek miał swoje słabości, ale wiedział, że pewnych granic nie przekroczy. Na przykład nie będzie marzył o dziewczynie własnego syna. Tylko wtedy Weronika będzie bezpieczna, i on też. A mógłby z nią rozmawiać i zatrudnić w charakterze sekretarki, jakiej naprawdę potrzebował, bo firma rozwijała się i pracy było mnóstwo.

Czesiek rozprostował ramiona i wyprężył je tak mocno, aż zachrząściły stawy. Odetchnął głęboko. Siła woli i rozsądek powróciły. Gdyby piękna Weronika stanęła teraz w drzwiach kantorka, potrafiłby oprzeć się jej urokowi i przedstawiłby jej rzeczową, korzystną propozycję. Ale nie było jej tutaj, a ponieważ nic nie wskazywało, by miała się nagle pojawić, Czesiek udał się na poszukiwanie syna.

*

Marcin Wilk przed trzema laty ukończył, z najlepszymi ocenami, zawodówkę, którą wybrał mu ojciec. Z powodu wyraźnego sprzeciwu rodzica, któremu zupełnie nie potrafił się przeciwstawić, nie miał szans na maturę czy studia, których pragnął z całego serca, więc na razie zajmował się w firmie wszystkim, co mu ojciec zlecił. Jeździł jako kierowca, ładował towar, odbierał telefony, odwoził pocztę, pisał listy urzędowe, sprzątał kantorek oraz zajmował się reklamą i marketingiem. Sprowadzało się to do utworzenia strony internetowej, opracowania folderu reklamowego i rozsyłania go gdzie się da. Także do wydzwania do różnych instytucji i oferowania usług firmy. Wspecjalizował się też w poszukiwaniu klientów przez internet i był w tym naprawdę dobry.

To właśnie jego pomysłowość i wrodzona intuicja wyjaśniały, niezrozumiały dla wielu, sukces Czeška Wilka. Ojciec wiedział doskonale, że Marcin jest dobry w tym, co robi, i utwierdzało go to w przekonaniu, że chłopak nie potrzebuje studiów, skoro tak świetnie sobie bez nich radzi. Widocznie marketing, to niezrozumiałe dla Czeška pojęcie, nie jest wcale tak skomplikowany, jak chcieliby właściciele prywatnych uczelni, pobierający ciężkie pieniądze za uczenie czegoś, co jego syn potrafił doskonale sobie przyswoić i zastosować, mimo iż skończył zaledwie zawodówkę.

Marcin nie akceptował tych argumentów i miał wielki żal do ojca. Niewielką wypłatę skrupulatnie odkładał. Czesiek zapłaciłby chętnie więcej synowi, bo był on tego wart, kupiłby mu z ochotą czerwony, sportowy samochód, ale wiedział, że Marcin natychmiast sprzeda auto, a pieniądze przeznaczy na szkołę wieczorową, Czesiek zaś nie był zwolennikiem marnowania swoich dochodów.

Czasem w przeblysku rozsądku pojawiała się myśl, że źle robi. Ale był to jedyny temat, do którego nie potrafił podejść bez emocji.

Poza tym – tłumaczył sam sobie – nie robię przecież swoim dzieciom żadnej krzywdy.

Wszystko, czego potrzebowały, sam im zapewnił. Wybudował ogromny dom, zgromadził oszczędności, a cała trójce dzieci firma dawała pracę. Szkoła nie była im do niczego potrzebna.

Bał się panicznie, że gdy jego dzieci zdobędą wykształcenie, natychmiast wyjadą za granicę. W okolicy nie brakowało takich opuszczonych domostw, z których wszyscy młodzi wyemigrowali.

Chciał tylko dobra swoich dzieci.

Problem polegał na tym, że one nie potrafiły tego zrozumieć i docenić. Buntowały się.

Początkowo bunt przybierał formę ostrych utarczek słownych, nieodmiennie kończących się płaczem. Potem zapadało milczenie pełne urazy. Dzieci, niepytane, nie odzywały się, a podejmowane przez ojca próby rozmowy na dowolny temat z reguły kończyły się tak samo. Czegokolwiek dotyczyłaby dyskusja, urywała się zawsze na szkole, studiowaniu i ich rzekomo zmarnowanym życiu.

Ostatnio smarkata Małgosia odgrażała się, że jak tylko skończy osiemnaście lat, wyjedzie do Anglii i tam sama zarobi na studia.

Czesiek pomyślał wtedy z ulgą, że słusznie nie pozwolił jej iść do liceum, bo tam miałyby szansę nauczyć się angielskiego. W zawodówce na szczęście żaden dobry anglista nie chciał pracować i dzięki temu jego dzieci nie znały języka obcego, a ponieważ były to mądre stworzenia, więc wiedziały, że bez tego nie mają szans. Tamta rozmowa w kuchni też skończyła się długim żalonym płaczem Małgosi, bo matka odmówiła potajemnego wspierania prywatnych lekcji.

Dlaczego dzieci tak bardzo upierają się, by być nieszczęśliwe?

Na to pytanie Czesiek nie umiał znaleźć zadowalającej odpowiedzi, choć obracał je w myślach godzinami.

Tylko najmłodszy syn się nie buntował. Ten z kolei wcale się nie uczył i Czesiek zupełnie nie wiedział, jak ma z nim postępować. Bo co innego zabronić grzecznemu, pracowitemu dziecku studiów, dając mu równocześnie pracę, a zupełnie co innego popierać kompletnego lenia, który choć był dopiero w czwartej klasie, to nauczyciele już nie mogli sobie z nim poradzić.

Z jednej strony było to straszne. Młody nikogo za bardzo nie chciał słuchać, nawet ojca nie bał się przesadnie, przepuszczał kieszonkowe – można mu było dać dowolną ilość pieniędzy bez obawy, że cokolwiek zaoszczędzi. Ale z drugiej strony, co smarkaczowi powiedzieć? Żeby słuchał nauczycieli? Przecież zaraz by mu napchali głowę różnymi niepotrzebnymi ambicjami i planami studiów. Zwłaszcza anglistka była niebezpieczna. Uczyła dobrze i ciekawie, na dodatek potrafiła utrzymać smarkaczy w ryzach. Istniało poważne ryzyko, że do końca gimnazjum zdoła im coś wtłoczyć do głów.

Było to realne zagrożenie, przed którym należało się bronić. Czesiek czuł się złapany w potrzask.

Po co nam w ogóle było to trzecie dziecko? – myślał nieraz.

Z dwojgiem starszych, wprowadzie z trudem, ale jakoś sobie radził. Najmłodszy całkowicie wymykał się spod kontroli.

Ciągle się nad tym zastanawiał, nie mógł sypiać i stale był zmartwiony. Pracował jak opętany, jakby czas miał od tego płynąć szybciej, a dzieci prędej dorosnąć, by wreszcie zrozumieć, że ojciec nie jest ich wrogiem, lecz najlepszym przyjacielem.

Czas jednak płynął bardzo powoli, żal dzieci narastał, upór Czeška również i wyglądało na to, że sytuacja jest bez wyjścia.

Marcin właśnie skończył dwadzieścia trzy lata. Wtedy jego ojcu przyszło do głowy, że właściwie można by spróbować go ożenić. Brak matury, żona, a potem dziecko to najlepszy sposób,

aby chłopak nie myślał o studiach. W końcu niejeden z tego powodu nie zdobył wyższego wykształcenia i nie umarł, a przynajmniej nie od razu.

Oczywiście Marcin swoim uporem niszczył wszystkie piękne plany swego ojca, bo nie miał dziewczyny.

– No powiedz mi, czy to jest normalne? – To pytanie Czesiek stawiał swojej żonie, którą w głębi serca obarczał winą za fakt, że ich dzieci są takie dziwne. – Przecież on ma ponad dwadzieścia lat, widział kto kiedy chłopaka, który w tym wieku nie lata za dziewczynami?!

Wilkowa w milczeniu jadła kapustę. Dobrze wiedziała, że wdawanie się w dyskusję z mężem jest pozbawione sensu. Nie przyjmował żadnych argumentów.

Czesiek, zdenerwowany brakiem odpowiedzi, irytował się coraz bardziej.

– Czym on się w ogóle zajmuje?! Cały dzień nos w komputerze, a jedyny temat to te pierońskie studia. Nic go więcej nie interesuje. Żeby tak auto sobie dał kupić, pojeździł po dyskotekach, poszpanował, przywiózł parę razy jaką dziewczynę do rzeczy. Ma takie możliwości, o jakich inni mogą tylko pomarzyć.

Doczekasz się – pomyślała żona – niech tylko Pawełek dorośnie, będą i samochody, i dziewczyny. Wtedy docenisz Marcina, ale będzie za późno.

Czesiek jakby czytał w jej myślach.

– Bo oni obaj nie są normalni. Jeden za spokojny, a drugi wariat. Kto ich tak do cholery wychował?!

Wilkowa zebrała talerze i przeniosła się do kuchni. Znała na pamięć te wywody i wiedziała, że nic pozytywnego nie wnoszą. Czesiek siedział jeszcze długo za stołem, paląc papierosa za papierosem. Wciągał dym i posyłał wielkie chmury w stronę bielutkiego sufitu. Dym snuł się we wszystkich kierunkach, a zapach tytoniu przenikał tapicerkę drogich mebli, gęste firany i kosztowną farbę, którą przed miesiącem pomalowano ściany. Czesiek rozmyślał. Nowoczesne aromatyzowane papierosy nie wyzwalały tak gwałtownych przypływów natchnienia jak dawne klubowe z filtrem, ale i tak były niezłe.

Wnioski w końcu się nasunęły. Nie były zaskakujące nowe, bo niektóre pomysły nosił w sercu już od miesięcy.

Rozgniatając niedopałek w kryształowej popielniczce, postanowił, że wieczorem odbędzie z synem decydującą rozmowę. Jego plan był ryzykowny, ale kto nie ryzykuje, ten nie ma.

A kto ryzykuje, może wszystko stracić – przemknęło mu przez głowę, kiedy zamykał drzwi na ganek. Ale to już nie miało znaczenia, decyzja została podjęta i jedyne, co należało teraz zrobić, to precyzyjnie przygotować się do trudnej rozgrywki. Postanowił przedstawić Marcinowi propozycję nie do odrzucenia i zaryzykować to, co miał najcenniejszego.

Aby dopracować szczegóły, poszedł za stodołę leżącą przy starym domu, którego jakoś nie mógł zburzyć, choć psuł widok i rażąco nie pasował do reprezentacyjnej willi. Już kilka razy próbował się zmobilizować i rozwalić niepotrzebną nikomu ponadstuletnią chałupę. Ale czas pokazał, że zniszczenie ojcowizny przekracza możliwości Czeška. Tylko tutaj czuł się naprawdę dobrze i u siebie.

Usiadł na deskach i rozmyślał.

W dawnych czasach rodzice mieli naprawdę lepiej. Szedł jeden ojciec do drugiego z flaszką wódki, a smarkaczy nikt nie pytał o zdanie. Poza paroma patologicznymi przypadkami rodzice działali dla dobra dzieci i małżeństwa w ten sposób zawarte były trwalsze niż zawiązane przez młodych kierujących się romantycznymi porywami serca, które jakże często kończą się wcale nieromantycznym rozwodem.

Bez względu na to, jak wiele widział plusów tamtej sytuacji, nie było najmniejszych szans, by Marcin uznał ten fakt i potulnie zgodził się robić, co mu rodzony ojciec każe.

Czesiek siedział na deskach i dalej myślał.

Słowa – to od nich wszystko zależy.

Jakich, do cholery, użyć? Jak je razem poskładać, żeby nie zdenerwować Marcina i nie zacząć kolejnej kłótni?

W tworzeniu wyszukanych konstrukcji słownych Czesiek nie był mocny, na tym polu nie

mógł się mierzyć z synem. Marcin potrafił wyciągać ze słów jakieś dziwne sensy, których zadaniem ojca wcale tam nie było. Od lat nie mogli się porozumieć.

Słońce zaszło już za horyzont i zrobiło się zimno.

Czesiek wstał powoli i rozprostował kości. Zgrabiące od zimna dłonie spróbował schować w płytkie kieszenie modnych spodni. Nie mieściły się. Zaklął szpetnie z tęsknoty za starą kufajką, której kieszenie były zdecydowanie bardziej pojemne, i ze złości na to, że choć jest szefem i największym biznesmenem w okolicy, to nie wystarcza mu odwagi, by jak dawniej chodzić w kufajce i gumiakach.

*

Marcin stał za starą stodołą i przeklinając w duchu własną uległość, czekał na ojca.

Cóż to znowu za pomysł, żeby się umawiać w ciemnościach, zamiast normalnie porozmawiać w domu?

Nie stałby tu jak głupi i nie wdawał się w żadne dyskusje, gdyby nie podjęte niedawno ważne decyzje życiowe. Chociaż był absolutnie pewien swoich racji i słuszności tego, co zrobił, nie mógł całkowicie pozbyć się wyrzutów sumienia. Żał mu było ojca. Potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo będzie mu przykro i jednocześnie jak się wścieknie.

Marcin kochał ojca, pamiętał dobrze szczęśliwe dzieciństwo, które mu zawdzięczał, nienawidził tylko tych bezdennie głupich, zacofanych, wiejskich zasad, według których ojciec próbował kierować jego życiem.

Świadomość, że nie ma szans na porozumienie, ciążyła mu i przeszkadzała cieszyć się odniesionym niedawno sukcesem.

Ojciec podszedł pod drzewo cicho i od razu przeszedł do rzeczy, nie tracąc czasu na wstępy i nie dając Marciniowi szans na uspokojenie rozstrojonych nerwów.

– Proponuję ci układ – powiedział. – Może wyda ci się on głupi, ale obiecuję, że jeżeli zrobisz skrupulatnie to, o co cię poproszę, już nigdy się nie wtrączę do twojego życia.

Marcin milczał zaskoczony, próbując przejrzeć podstęp. Czesiek miał wrażenie, że na czole syna zapaliła się jaskrawa neonówka z napisem: Studia. Westchnął zrezygnowany, wszystko toczyło się jak na razie według planu.

Marcin ważył siły. Tysiąc rozmów na ten temat zakończyło się już klapą. Czy warto było zaczynać tysiąc pierwszą. W tych ciemnościach nie widział dokładnie twarzy ojca, trudno było dociec, czy kpi, czy stroi sobie głupie żarty, czy też, czego całkiem nie można było wykluczyć, dąży do porozumienia.

Czesiek czekał w milczeniu, wiedział, co jego syn teraz powie, i czuł się jak dawno temu, przed Bożym Narodzeniem, kiedy przygotowane przez niego prezenty były dla dzieci spełnieniem marzeń. Zdążył już zapomnieć, jak to jest. Od wielu lat marzenia jego dzieci nie nadawały się do spełnienia.

– Więc pozwolisz mi uczyć się dalej? – zaczął Marcin szybko i hardo, żeby ukryć rosnącą nadzieję. Nie chodziło mu wcale o uczelnię, to już sam załatwił za plecami rodziny. Szło o to, by móc wyjechać i nie stracić ojca.

– Puszczę cię pod warunkiem że nadal będziesz tego chciał.

Marcin zaśmiał się nerwowo. Rozgryzienie planu ojca przekraczało jego możliwości intelektualne. Nie mógł pojąć, na czym polega podstęp, ale był pewien, że jest wyjątkowo paskudny.

– Pewnie ten warunek będzie nie do przeskokowania – powiedział rozgoryczony. – Co mi każesz zrobić? Obciąć ręce, wypić truciznę czy utopić się w bajorze?

Czesiek westchnął. Zabolalo go szyderstwo w głosie syna.

– To nie tak. Moje warunki są uczciwe. Po prostu pójdziesz jutro do miasta, kupisz u jubilera najdroższy pierścionek, jaki tam znajdziesz, i oświadczysz się Weronice Kościelniak.

– Co?! – krzyknął Marcin rozczerowany tak bardzo, że aż łzy zakręciły mu się w oczach. – Więc to tak?! Wiesz doskonale, że ona mnie odrzuci, i wtedy cofniesz zgodę na studia. To, co robisz, jest tak głupie i wstrętne, że po prostu słów brak.

– Nie – przerwał mu Czesiek, w ostatniej chwili łapiąc odchodzącego syna za łokieć. Uścisk jego ręki miał siłę imadła. – Co ona powie, przyjmę bez zastrzeżeń. Pod warunkiem że obiecasz oświadczyć się poważnie, bez wygłupów. Liczę na twój honor, nie mogę przecież z tobą pójść.

Księżyc świecił już na niebie, oczy przyzwyczyły się do ciemności i Marcin zapatrzył się w tak dobrze mu znaną twarz ojca. Ten sam co zawsze zacięty zarys ust, to samo zmarszczone czoło.

Był tak zaskoczony, że zupełnie nie wiedział, jak się odnieść do tej, jak mu się wydawało bezdennie głupiej, propozycji ojca.

– Mam się oświadczyć po staropolsku i romantycznie Weronice, dać jej jako przynętę najdroższy pierścionek i tyle? Nawet jeżeli nic z tego nie wyjdzie, mogę się uczyć dalej?!

– Tak.

Marcinowi zabrakło słów. Ojciec nie zgadzał się na kształcenie dzieci, mimo ich próśb, łez, perswazji nauczycieli, dyrekcji szkoły, rodziny i całych ton rozsądnych argumentów. Patrzył bez słowa, jak jego dzieci cierpią, i nie zmieniał decyzji, a teraz chce dać zgodę na podstawie dziwnego układu, w którym od początku stoi na przegranych pozycjach?! Wyglądało na to, że ojciec nie jest wcale takim mądrym człowiekiem, za jakiego jest uważany.

Ale dobrze, niech będzie i tak.

– I dajesz słowo, że się nie wycofasz? – zapytał jeszcze.

– Słowo.

Czesiek wyciągnął rękę i uścisnął mocną dłoń syna.

Umowa stała.

*

Marcin postanowił wziąć udział w tej grze, mimo dręczącego go przekonania, że godzi się na coś bezdennie głupiego. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy, jak bardzo zależy mu na ojcu i do czego potrafi się posunąć po to, by wróciły dawne czasy, kiedy normalnie rozmawiali i byli przyjaciółmi. Potrzebował aż trzech lat zmagania i bicia się z myślami, żeby sprzeciwić się ojcu i wziąć sprawę w swoje ręce. Skończył wtedy eksternistycznie liceum, do czego namówiła go dyrektorka szkoły, nie mogąc ścierpieć, że tak zdolny chłopak przez rodzica mógłby mieć zamkniętą drogę do kształcenia.

Czesiek Wilk miał rację, że nie ufał nauczycielom.

Zdradzili go wszyscy. Cała kadra spiskowała zgodnie, ustalając dla Marcina najlepsze terminy konsultacji i egzaminów, tak by jego ojciec w niczym się nie zorientował. Co więcej, wiele wskazywało na to, że ich bawiła ta konspiracja.

Tajne komplety, jak te lekcje nazywała pani dyrektor, pozwalały Marcinowi zachować przekonanie, że nie jest bezwolną kukłą przedstawianą przez despotycznego rodzica z miejsca na miejsce, a równocześnie nie zmuszały do konfrontacji z nim. Na to Marcin był jeszcze zbyt słaby. Tracił pewność siebie na samo wyobrażenie takiej rozgrywki. Wystarczyły nieustanne klótnie, w czasie których badał grunt i próbował swoich sił. Efekty zawsze były marne.

W końcu nadszedł dzień matury. Zdał ją doskonale. Droga na większość uczelni stała otworem. Marcin dojrzał. Konspiracja nauczyła go wiary we własne siły i przekonała, jak wielu ma przyjaciół. Także w rodzinie. Bo i rodzina zdradziła Czeška Wilka. Byli to wprawdzie krewni jego żony, ale jednak rodzina.

Mieszkający we Wrocławiu wujek Tadek, dowiedziawszy się o sytuacji siostrzeńca, najpierw o mało nie dostał apopleksji z oburzenia, przez dwa tygodnie buntował telefonicznie całą rodzinę, a potem zadzwonił do Czeška i tak się pokłócili, że stosunki rodzinne zostały zerwane. Od tej pory wujek wspierał potajemnie kształcenie siostrzeńca, a później zaproponował mu pokój w Wrocławiu na czas studiów. Na początku sierpnia Marcin załatwił wszystkie formalności, pozostało tylko odbyć z ojcem decydującą rozmowę i o wszystkim go powiadomić.

Dzień mijał za dniem, a jemu ciągle brakowało odwagi.

Propozycja ojca, mimo że głupia, właściwie była mu na rękę. Dawała pretekst, by polubownie załatwić tę trudną sprawę.

Marcin wstał wcześniej, by jak najszybciej uporać się z pierwszym punktem umowy.

Ojciec dał mu sporą ilość gotówki, bo obaj nie mieli pojęcia, ile taki najdroższy pierścionek może kosztować.

Wystroił się w najlepszą koszulę i jedyne porządne, firmowe dzinsy, jakie miał, zasadniczo bowiem gardził firmowymi ciuchami. Spryskał się wodą kolońską, choć jej również nie cierpiał, i uczesał się starannie.

Postanowił uczciwie podejść do sprawy.

Układ, który jeszcze wczoraj uważał za banalnie łatwy, dziś wydawał mu się wręcz niewykonalny. Kupić pierścionek, to było proste, ale wzdragał się na myśl, że będzie musiał wygłupić się przed Weroniką, i czuł w sobie opór nie do pokonania. Już raz to przeżył. Miał wtedy piętnaście lat i żarliwe przekonanie, że romantyczne oświadczenia mogą zaimponować Weronice, w której kochał się wówczas rozpaczliwie.

Trzeba przyznać, że dziewczyna zachowała się z klasą, a nie było to łatwe, bo Marcin imał się wszelkich środków, jakie tylko może wymyślić zakochany na zabój piętnastolatek, by zwrócić na siebie jej uwagę.

Za piątym razem Weronika nie wytrzymała i odbyła z nim rozmowę, którą pamiętał do dziś. Powiedziała mu o swoich uczuciach, o trudnym życiu i o tabunach narzucających się facetów. Wiele czasu potrzebował wówczas, żeby zrozumieć, o czym mówiła, i trzymać się na dystans, dużo wody upłynęło w miejscowej rzece, zanim rzeczywiście stracił wiarę we własne szanse, a jeszcze więcej, nim opanował ból. W końcu jednak dojrzał i do tego. Gorące uczucie przeobraziło się w głęboką sympatię i życzliwość, a upływające lata pokazały, że dziewczyna mówiła prawdę. Kochała tylko Konrada i nie zainteresowała się nigdy żadnym innym mężczyzną.

Nie mógł teraz, jak jakiś niepoważny idiota, stanąć przed nią z kolejną propozycją małżeństwa. Nie dzisiaj, kiedy Konrad wyjeżdżał i faceci, jak te durne osły, chcieli wykorzystać nadarżającą się, ich zadaniem, okazję.

Trzeba to będzie jakoś inaczej załatwić.

By ojciec był syty i Weronika cała.

Jedyne, co mógł zrobić, zgodnie z daną ojcu obietnicą, to kupić najdroższy pierścionek w którymś z trzech sklepów jubilerskich w mieście.

Miał wrażenie, że w pierwszych dwóch nikogo nie zdziwiła jego obecność, zdawało się, że doskonale tam wiedzą, dla kogo szuka pierścionka. Zanim zdążył zapytać, już podawano mu najdroższe okazy, a szef pierwszego sklepu rzucał całkiem jednoznaczne aluzje.

To nieprawdopodobne – zdumiał się Marcin – ojciec musiał chyba z kimś rozmawiać, bo niby skąd ludzie mogliby o tym wiedzieć. Domyślić się tego nikt nie byłby w stanie.

W trzecim sklepie sprzedająca dziewczyna wyglądała na zaskoczoną. Marcin przez chwilę poczuł się jak normalny klient. Już chciał powiedzieć, po co przyszedł, gdy z zaplecza wyskoczył właściciel, zatarł ręce z zadowoleniem i wyciągnął z tylnej gabloty małą aksamitną podstawkę, na której znajdowało się pięć pierścionków. Ceny zapierały dech w piersiach, z całą pewnością były najwyższe.

– Dla najpiękniejszej dziewczyny najwspanialsze brylanty – zawołał szef wesolutko, a stojąca za nim dziewczyna wyraźnie zbladła.

Ma na imię Kasia, przypomniał sobie Marcin. Skończyła liceum dwa lata temu. Pracowała. Pamiętał też, że była wesoła, ale teraz stała blada i chmurna, nawet słowem się nie odzywając.

Marcin, któremu w gruncie rzeczy było kompletnie obojętne, jaki kupi pierścionek, wybrał szybko najdroższy, przypadkowo nawet dosyć ładny, i zapłacił szokującą cenę. Wyszedł, odprowadzany do drzwi przez tryskającego humorem szefa, wysłuchując gratulacji z powodu spodziewanego szczęścia.

Więc tu także wszystko wiedzą...

Przed sklepem natknął się na Rogóz, sąsiadkę, która odpowiadając na jego uprzejme dzień dobry, uśmiechnęła się znacząco i powiedziała:

– A widzę, że wszystko na dobrej drodze. A ładny chociaż ten pierścionek?

Marcin przystanął zaskoczony.

– O czym pani mówi?

– Oj, nie bądź taki niedzisiejszy, wszyscy wiedzą, że się żenisz z Weroniką.

– No właśnie, tak to chyba wygląda. A skąd wiedzą? Czy od mojego ojca?

Sąsiadka postawiła z ulgą ciężką reklamówkę na ziemi i zastanowiła się rzetelnie.

– Nie – odrzekła po namyśle – od twojego ojca, to Bogiem a prawdą, nic o tym nie słyszałam.

– To skąd w takim razie? Kto to powiedział?

Kobieta zamyśliła się głęboko.

– No, kto pierwszy, to nie wiadomo. Skąd ludzie wiedzą, to też właściwie nie da się powiedzieć.

Nagle ją olśniło.

– Po prostu do takiego doszliśmy wspólnie wniosku. A co? Niesłusznie? – roześmiała się zadowolona i sama sobie odpowiedziała: – Słusznie. To i reszta nieważna. A teraz pokaż ten pierścionek.

*

Marcin szedł do domu zgnębiony, martwiąc się, czy te dziwne domysły dotarły już do Weroniki, i zastanawiając się nad fenomenem plotki, która potrafi oblecieć całą okolicę, najskrupulatniej omijając osoby, których dotyczy.

Myślał, że długo przyjdzie mu czekać na jakąś okazję dającą pretekst do spotkania Weroniki, kiedy przypomniało mu się, że to właśnie dziś wieczorem ma się odbyć pożegnalne ognisko u Konrada.

Został zaproszony osobiście przez swego dawnego kolegę szkolnego, który wpadł na krótko; rozmowa jakoś się nie kleiła. Marcin miał wiele pytań, ale Konrad nie dał mu szansy, by zadał choć jedno.

Wieczór się zbliżał, a Marcin siedział na balkonie i miętosząc w ręce pudełko z pierścionkiem, zastanawiał się, co robić dalej.

Nic mu nie przychodziło do głowy.

Patrzył na sad i owoce na drzewach. Co roku zbiory były coraz obfitsze, a matka nigdy nie dopuściła, by zmarnowały się choćby jedna wiśnia czy jabłko.

Zamiast szukać rozwiązania swoich problemów, zaczął myśleć o mamie. Dzielna kobieta, całe gospodarstwo i dom praktycznie były na jej głowie, odkąd ojciec zajął się firmą. Do cięższych prac wynajmowali wprawdzie robotników, lecz i tak ona wszystko organizowała.

A przecież nie musiała. Mogła korzystać z dobrodziejstw bycia żoną właściciela firmy i odpoczywać. Było ich na to stać. Ale ona nigdy tego nie zrobiła. Zastanawiał się, czy takie kobiety jak ona doczekają się kiedyś nagrody.

Jaką nagrodą były na pewno miłość i szacunek dzieci, czy to jednak nie za mało?

Zapatrzył się przed siebie na zielone góry, ale nie dostrzegał ich piękna. Góry jak góry, zawsze tu były, to są i dzisiaj. Porzucił rozważania o mamie i wrócił do palącego problemu.

Słońce zachodziło powoli, minuty mijały, a pomysł nie nadchodził.

W końcu pewna zuchwała myśl pojawiła się razem z przepływającą chmurą, której leniwy bieg Marcin obserwował od dłuższej chwili. Dość śmiała, ale miała znamiona sensu, a tego w całej tej absurdalnej sytuacji bardzo potrzebował. Była też porażająco prosta.

Trzeba powiedzieć Weronice prawdę i szczerze porozmawiać.

Istniała szansa, że zrozumie. Poglądy Cześka Wilka na naukę syna były wszystkim znane.

Tylko co jej powiedzieć? Jak zacząć? I dlaczego ojciec postawił taki dziwny warunek, czyżby coś wiedział?

Nagle Marcinowi zrobiło się gorąco, chociaż słońce już zaszło, schowało się starannie za tą samą co zawsze górą.

A jeżeli Weronika wyrazi zgodę? Konrad przecież wyjeżdża, może się pokłócili, a ojciec się o tym dowiedział?

Marcin zjrzał w głąb własnego serca i nie znalazł już starej miłości. Ile czasu by

potrzebował, żeby na nowo się zakochać? Zastanowił się nad tym.

Jakieś piętnaście sekund, no może dwadzieścia, choć niewykluczone, że i dziesięć by wystarczyło.

A jeżeli Weronika odmówi, to cóż, już sobie z tym przecież raz w życiu poradził, teraz też przeżyje.

A gdyby się zgodziła...

No to oczywiście, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, stawia czoła temu wyzwaniu.

Wstał z krzesła, otrzepał spodnie, schował do kieszeni pierścione i zabrał tacę z ciastem przygotowaną przez mamę oraz małą reklamówkę z prezentem pożegnalnym dla Konrada. W garażu, dyskretnie schowane przed mamą, stały kwiaty dla Weroniki.

Przed domem spojrzął z westchnieniem na przepiękną górę, pod którą stał dom Konrada, i nie zaszczycając jej urody swoją uwagą, obliczył, ile czasu zajmie mu dojście na ognisko piechotą. Uznał, że zdąży.

Postanowił najpierw udać się do Weroniki. Ścisnął mocno kwiaty w dłoni, sprawdził, czy pudełeczko z pierścionkiem tkwi na swoim miejscu, odetchnął jeszcze raz czystym, świeżym powietrzem i ruszył. Na samą myśl o różnych możliwych opcjach zakończenia dzisiejszego wieczoru zakręciło mu się w głowie.

*

Kasia siedziała wbita w fotel, niezdolna do żadnych działań. Dzień był straszliwie wyczerpujący. Najpierw wizyta Weroniki w sklepie, później Marcin kupujący w najlepsze wspaniałe pierścione dla tej, która twierdziła, że plotki o ślubie są bezzasadne. Potem musiała wysłuchać z kamienną twarzą przechwałek szefa, który twierdził, że pięć najdroższych pierścionków zakupił tylko z myślą o Weronice, i chciał się koniecznie założyć z Kasią, że wszystkie dzisiaj sprzeda. I, nie da się ukryć, sprzedał. W sklepie pojawiali się kolejni klienci, mniej lub bardziej otwarcie przyznający się do swoich nadziei związanych z dzisiejszym ogniskiem i wyjazdem Konrada.

O drugiej godzinie, będąc u kresu wytrzymałości, Kasia poprosiła szefa o zgodę na wcześniejsze wyjście. Nie robił problemu i sam zaproponował jej dzień urlopu, żeby odpoczęła.

Odpoczywała już od godziny, ale bez widocznych efektów.

O szóstej była umówiona z Weroniką. Powinna już iść do niej, tymczasem nie mogła się ruszyć z miejsca.

Wszystko wskazywało na to, że Marcin rzeczywiście ma zamiar oświadczyć się Weronice. A czy ona nie zmieni zdania w ostatniej chwili?

Kasia siedziała jak skamieniała. Siła nowej przyjaźni, sympatii do Weroniki i ciekawości pchała ją do działania, do pośpiechu, natomiast zazdrość, rozpacz, wynikające z poczucia własnej bezsilności, wpychały ją w fotel.

Prawo fizyki mówi, że ciało, na które działają dwie równoważące się siły, pozostaje bez ruchu. Okazało się doświadczalnie, że fizyka ma rację.

*

Iskry leciały z trzaskiem w stronę dalekiego nieba.

Goście bawili się świetnie. Konrad z dużym zaangażowaniem, choć z mniejszą wprawą, czynił honory domu.

Weronika nie przyszła, co wszyscy zauważyli i dyskretnie komentowali. Była to niespodzianka, od której przybyłe dziewczyny rozkwitły. Błyszczały humorem i wdziękiem.

Konrad też zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Był otwarty i chętny do rozmowy. Nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego. Rozmawiał ze wszystkimi, opowiadał o podróży i swojej przyszłej pracy, o której wiedział niewiele, a prośby o wyjaśnienie, dlaczego nie przyszła najbliższa sąsiadka, kwitował krótkim: nie wiem.

Wyglądał na pogodnego, zadowolonego gospodarza. Były to tylko pozory. Zaciśnięte ręce wepchnął głęboko w kieszenie, zmarszczkę na czole i smutek w oczach miał zawsze, ludzie

przyzwyczaili się już do tego, a nad ciągłą ochotą, by spoglądać w stronę domu Kościelniaków, panowała jego żelazna wola. Wszystko było pod kontrolą. Bolało, ale ból nie był niczym nowym. Wiedział, jak go znosić i skutecznie ukrywać, a dzisiaj był gospodarzem i chciał, by goście, pierwsi w tym domu od wielu lat, bawili się dobrze.

Zależało mu także na samopoczuciu matki.

Nie umiał jednak cieszyć się jej uśmiechem i wyraźnie dobrym humorem. Rozżalenie i rozpacz rosły w jego sercu z każdą minutą. Im ciemniej i piękniej było nad strumykiem, im wyżej iskry sypały się w niebo, im radośniej śmiały się dziewczyny, tym bardziej oczywiste stawało się, że Weronika nie przyjdzie.

*

Była ósma. Kasia postanowiła zostać w domu.

I tak było późno. Ognisko pali się już pewnie w najlepsze, wystrojona Weronika robi furorę, a Marcin krąży gdzieś w mrokach, szukając dogodnej okazji, by się jej oświadczyć.

Nic nie mogła zrobić, by zmienić sytuację, ale przynajmniej nie będzie na to patrzeć.

Wstała z fotela i poszła pod prysznic. Przez szum wody usłyszała dzwonek do drzwi. Ktoś przyszedł do mamy.

To dobrze – pomyślała – mama przestanie zadawać pytania.

Przyjemna, ciepła woda działała uspokajająco.

Kiedy wreszcie wyszła z łazienki, ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła Weronikę Kościelniak, pięknie ubraną, wyraźnie w nie najlepszej formie, wbitą w ulubiony fotel Kasi.

– Kasiu. – Weronika poderwała się z miejsca, pięknie się prezentując w swojej nowej kreacji. – Co się stało? Bardzo się martwiłam. Czemu nie przyszedłeś? Czekałam, w końcu postanowiłam sprawdzić, myślałam, że wybrałaś się sama.

– Nie, nie wybrałam się sama – odpowiedziała Kasia.

Usiadła na wersalce, zdjęła mokry ręcznik z głowy i sięgnęła po grzebień.

Weronika była tak piękna w haftowanej bluzce, ze srebrnym łańcuszkiem na szyi i z rozpuszczonymi włosami, że niemal nierealna. W niczym nie przypominała sympatycznej dziewczyny ze sklepu. Była znów wiedźmą Weroniką, najpiękniejszą w całej okolicy. Z taką nie da się nawet spokojnie rozmawiać, a co dopiero przyjaźnić.

Kasia rozczesywała starannie włosy, grając na zwłokę. Starła się wymyślić jakiś sposób na pozbycie się niechcianego gościa. Co za pomysł próbować się zaprzyjaźnić z Kościelniakówną? Weronika usiadła obok niej.

Milczenie się przedłużało. Kasia zastanawiała się, co by tu powiedzieć. Z mokrych włosów, doskonale już rozczesanych, kapąca na szlafrok woda. Obok też coś kapnęło. Weronika płakała.

W końcu się opanowała, bo Kasia, która nie ośmieliła się podnieść głowy, usłyszała:

– Wiesz, który raz mnie to już spotyka? Policzyć nie potrafię, ale w sprawach bardzo dla mnie ważnych, czwartym.

Tak traktowała mnie babcia. Kochała mnie na swój dziwny sposób, ale nigdy nie było między nami szczerości. Nie rozmawialiśmy o najważniejszych sprawach, nie opowiadała o swoim dzieciństwie ani o rodzinie. Na najmniejszą wzmiankę o mamie robiła się bardzo surowa i milkła na dłuższy czas, a wierz mi, jej milczenie nie było łatwe do zniesienia. Miało w sobie potężną moc oskarżenia i odrzucenia, przestawałam wtedy dla niej istnieć. Wszystko odbywało się w ciszy i nikt się mną nie interesował. Wychodziłam się bawić i nikt nie patrzył, gdzie jestem i co robię, wracałam, nikt się nie odzywał. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki to koszmar dla dziecka, które było tak bardzo samotne jak ja. Szybko nauczyłam się omijać niedozwolone tematy, choć do dzisiaj nie wiem, co złego zrobiłam, dlaczego moja prośba: Babciu, opowiedz mi o mamie. Ja jej prawie nie pamiętam – wyzwalala w niej taką złość.

A tata? Ten jest prawdziwym mistrzem w milczeniu. Rozmawialiśmy – i tak jest do dziś – tylko o sprawach domowych, kto pójdzie do sklepu, czy ja ugotuję obiad, czy tata coś kupi

gotowego, ile pieniędzy mi trzeba i czy nie wyrosłam z butów. Wyobrażasz sobie małą dziewczynkę, która rośnie w takim świecie?

Oczywiście cały czas z poczuciem winy, bo cała wieś trąbi o tym, jak to ojciec namiętnie kochał mamę i jak się cieszył z narodzin córeczki. Musiałam go później solidnie rozczarować, skoro stracił dla mnie serce. Gdyby nie Konrad, jego mama, która okazała mi wiele serdeczności, nie wiem, co by się stało.

Wcale się nie dziwię, że niektóre dziewczyny są okrutne, cyniczne i twardo stąpają po ziemi. Może nie miały tyle szczęścia co ja i nie spotkały kogoś, komu by się chciało zastępować obcemu dziecku mamę.

Tata milczy albo wrzeszczy, ale nie odpowiada na żadne pytania. I do dziś nie wiem, dlaczego tak się zachowuje.

Weronika westchnęła.

– Potem zaprzyjaźniłam się z Konradem. On zawsze ze mną rozmawiał, choć teraz z perspektywy czasu widzę, że też chętniej słuchał, niż mówił. Wiesz, ja go nigdy nie pytałam o sprawy domowe, bo wiedziałam, że nie chce o tym opowiadać, a poza tym czy ja nie wiem, co tam się działo? Nieraz przecież było słyhać krzyki, awantury.

Jednak schemat był ten sam: on milczał na pewne tematy, a ja nie pytałam.

Ale kilka miesięcy temu nagle bez jakiegokolwiek przyczyny, bez kłótni czy jakiegoś nieporozumienia przestał się do mnie odzywać. Rozumiesz? I nic mi nie chce wyjaśnić. Schowałam honor do kieszeni, chodziłam za nim, prosiłam, wręcz błagałam, żeby mi powiedział, o co chodzi, ale nie chciał i ciągle mnie unika. A teraz wyjeżdża i nawet nie przyszedł się pożegnać.

Wychowaliśmy się razem, razem obiady jedliśmy, godzinami ze sobą rozmawialiśmy – tyle lat. Zawsze mógł na mnie liczyć. Choćby ze względu na przyjaźń i bliskie sąsiedztwo powinien się odezwać. A on nic.

A ja znowu nie wiem, o co chodzi, i zostaję sama z potężnym poczuciem winy, no bo coś musiałam sknocić do tego stopnia, że nawet Konrad nie chce niczego wyjaśnić.

No i teraz ty. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Takiej w moim wieku. Czekałam na ciebie długo i bałam się bardzo, że znowu coś się stało. No i miałam rację. Ty też masz zamiar milczeć, prawda?

Kasia podniosła głowę.

– Nie mogłabyś wyłamać się z tej okropnej reguły i zanim wyjdę, choć w dwóch zdaniach powiedzieć, o co chodzi? Co złego zrobiłam?

– No dobrze. – Kasia pozbierała już myśli. – Powiem ci. Sprzedałam dzisiaj siedem zaręczynowych pierścionków dla ciebie. W tym jeden Marcinowi. Przyszłam do domu, siadłam w fotelu i... Nie wiem, co więcej powiedzieć.

Weronika odwróciła się i spojrzała Kasi prosto w oczy.

– Przysięgam ci, że nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć. Jeśli chcesz, tak pogonię tego twojego Marcina, że już nigdy nie ośmieli się do mnie odezwać – zawołała i rozplakała się na dobre.

Kasia odłożyła wreszcie szczotkę, przysunęła się do Weroniki i objęła ją.

– Nie martw się. Jakoś się wszystko ułoży.

– Jasne.

– Powiem ci szczerze, nie rozumiem. Masz tylu facetów do wyboru, a płaczesz z powodu jednego.

– A ty byś chciała wszystkich albo któregośkolwiek? To czemu się nie zakochasz w swoim szefie, przecież to wdowiec, do tego niebrzydki?

Kasia wyprostowała się dotknięta do żywego.

– Widzisz, a myślisz, że ja jestem z innej planety – ciągnęła Weronika. – Pewnie, że chciałabym się zakochać jakoś bardziej praktycznie, na przykład z wzajemnością, ale po pierwsze, myślałam, że tak właśnie jest, a po drugie, nie mam na to wpływu, że mnie tak ogromnie ciągnie tylko do Konrada. Że się skręcam na samą myśl o tych jego ciemnych, gęstych włosach, szerokich ramionach i przepastnych oczach. Powiedz, co zrobić, żeby mi przeszło, a zrobię to.

Weronika mówiła to z prawdziwą rozpaczą i Kasia ze zdumieniem stwierdziła, że jej samej na myśl o Marcinie aż tak bardzo nie skręca – owszem ładny, owszem boli, że lata za inną, ale nie do tego stopnia, żeby tak bardzo cierpieć.

Cierpię bardziej – skarciła się w duchu. – Tylko nie umiem tego tak ładnie opowiedzieć.

– Myślisz, że wszyscy tak mają? – zapytała Kasia. – Cierpią, męczą się, a potem pławią w szczęściu do końca życia. W takim razie dlaczego większość małżeństw jest nieszczęśliwa?

– Na te wszystkie pytania to najlepiej ja bym wam odpowiedziała – rozległ się nagle jak huk pioruna wesoły głos babci.

Dziewczyny podskoczyły przerażone.

– Babciu, podsłuchiwałaś – oburzyła się Kasia, aż jej łzy stanęły w oczach. – Jak mogłaś?

Weronika stała jak sparaliżowana, pierwszy raz komuś się zwierzyła i od razu taka przykra wpadka. Wiadomo, jakie są babcie, jutro cała wieś będzie trąbić o tym, co tu zostało powiedziane.

Babcia otworzyła szerzej uchylone drzwi, za którymi stała, kto wie jak długo, i spojrzała na dziewczyny.

– Nic się nie stało, nie stójcie jak te słupy.

– Jasne, nic. Tylko podsłuchujesz, jak mogłaś?

– Ja nikomu nie powiem, a mogłabym wam niejedno opowiedzieć.

– O tym, jak to było pięćdziesiąt lat temu. Tylko kogo to obchodzi?

Kasia włożyła spodnie pod szlafrok, złapała sweter i weszła szybko do łazienki.

– Weronika! – krzyknęła przez drzwi. – Czy możemy pójść do ciebie? Przecież w tym domu nie da się rozmawiać.

– Oczywiście – odpowiedziała Weronika skrzępowana obecnością starszej pani, świdrującej ją wzrokiem.

– Ciebie przede wszystkim mam na myśli. – Babcia Jaworska wycelowała w Weronikę palcem. Nie wiedziałam, że to tak u was w domu było, twoja babcia zawsze umiała odwrócić kota ogonem.

Weronika się zaczerwieniła i spuściła głowę.

– Nie ma się co czerwienić, każdy ma w domu jakieś swoje smutki. Ja to mam dopiero kłopot z rodziną.

– Jasne. – Kasia wystrzeliła z łazienki, złapała w jedną rękę kurtkę, drugą pchnęła Weronikę w stronę drzwi i krzyknęła: – Wychodzę, jestem pełnoletnia, nie wiem, kiedy wrócę. W tym domu naprawdę nie da się wytrzymać – mamrotała jeszcze pod nosem, przechodząc szybko przez podwórko.

Weronika biegła za nią.

Młodzi zawsze pędzą przed siebie – pomyślała babcia Jaworska – a czasem nie ma innej rady, trzeba się zatrzymać. Nierzadko warto też posłuchać starszego.

– Ale na to nie ma chyba najmniejszych szans – dodała z westchnieniem.

*

W szybkim tempie pokonały kamienistą drogę w dół, przeszły przez mostek i zaczęły wspinać się pod górę, zwalniając mimo woli.

Kasia żaliła się gorączkowo Weronice i nie zostawiła na własnej rodzinie suchej nitki. Była tak wściekła na babcię i na mamę, które do wszystkiego się wtrącały, że zupełnie zapomniała, jak bardzo babcia ją kocha, zawsze kochała i nigdy nie odmówiła wsparcia, podobnie zresztą jak mama. Ale teraz Kasia dostrzegała w nich tylko wady.

– U ciebie w domu przynajmniej jest spokój – zakończyła litanię skarg.

– To prawda, spokoju u mnie nie brakuje i ciszy też nie – potwierdziła Weronika sarkastycznie. – Samotności też mam pod dostatkiem, choć wolałabym co innego.

Wypowiedziała to chyba w złą godzinę. Kiedy tylko weszła na własne podwórko, na ławeczce pod lipą zobaczyła czterech facetów w milczeniu trzymających w dłoniach piękne bukiety. Ich zamiary były aż nadto oczywiste. Stanęła zaskoczona.

Kasia westchnęła znacząco, już miała rzucić jakąś zgryźliwą uwagę, ale kiedy spojrzała na

zrezygnowaną, zmęczoną Weronikę, ścisnęła ją tylko za rękę.

– Nie daj się – szepnęła.

– Panowie do mnie? – zapytała Weronika. – Wszyscy?

Odpowiedział jej zbiorowy pomruk potwierdzenia.

– Domyślam się, że w tej samej sprawie.

Tym razem nikt się nie odezwał.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewacie, jeśli dam wam odpowiedź zbiorowo?

Znów nikt się nie odezwał.

– Przykro mi. Wracajcie na ognisko.

Grupka milczących chłopaków się rozstała, Weronika otworzyła drzwi. Kasia śmiała się ubawiona, ale Weronice nie było do śmiechu. Już miała wejść do kuchni, gdy usłyszała wesoły głos ojca i jeszcze jeden, wyraźnie młodszy.

Zamarła. Ścisnęła Kasię za łokieć i szepnęła:

– Przyszedł, jednak przyszedł. Wiedziałam, że nie wyjedzie bez pożegnania.

– Może tu zaczekam? – zapytała Kasia.

– Nie, no co ty. My tylko chwilę porozmawiamy i pójdziemy razem na ognisko. Przecież nie może tak długo zostawić gości samych. Och, Kasiu, tak się cieszę.

Otworzyły drzwi, weszły i obu zrzedły miny.

W towarzystwie dumnego Kościelniaka i mrożonej wódeczki siedział wystrojony Marcin

Wilk.

Rozdział 2

Mały czerwony bus pędził z dużą prędkością wąskimi drogami, nie zwalniając nawet na ostrych zakrętach. Co jakiś czas kierowca hamował gwałtownie i zatrzymywał się, by zabrać kolejnych pasażerów.

Stali oni w specjalnie wyznaczonych, znanych tylko wtajemniczonym, miejscach. Jedni, żegnani wylewnie, wsiadali ze smutkiem na twarzy, inni – starzy rutyniarze – rozsiadali się wygodnie i rozpoczynali wesołą rozmowę z kierowcą.

Konrad przyglądał się pasażerom, szukając wzrokiem kogoś, kto też sprawiałby wrażenie, że jedzie po raz pierwszy i czuje się niepewnie, ale nikogo takiego nie znalazł.

Kierowca szybko i sprawnie ładował torby do bagażnika, po czym gwałtownie ruszał dalej. Za trzy godziny był umówiony z kolegami, jadącymi w tym samym kierunku, na stacji BP, a miał jeszcze sporo kilometrów do pokonania. Pędził więc po wyboistych drogach małopolskich wiosek z prędkością godną niemieckich autostrad. Busik przechylał się niebezpiecznie na zakrętach, silnik buczał ponuro, ale prawie nikt nie zwracał na to uwagi.

Tylko jakaś młoda kobieta pod oknem, usiłująca czytać zapisaną drobnym drukiem książkę przy nędznym świetle zachodzącego słońca, patrzyła ze strachem w oczach na barczyste plecy kierowcy. Wykonywał on właśnie niebezpieczny manewr wyprzedzania na zakręcie, rozmawiając równocześnie przez telefon komórkowy. Tłumaczył komuś zawzięcie, że jeżeli samochód, który on sam sprowadził przedwczoraj z Niemiec, a wczoraj sprzedał w doskonałym stanie, dzisiaj nie jest zdolny do jazdy, a mechanik odkrył w nim poważne usterki, to nie jest to jeszcze powód, by mu zawracać głowę, bo on do tego już nic nie ma. Prowadzony w tym czasie jedną ręką pojazd cudem bezpiecznie zakończył wyprzedzanie, zjechał z głównej drogi i wpadł z dużą prędkością na stację benzynową. Kierowca wysiadł bez słowa i pobiegł w kierunku sklepu. Jak się wkrótce okazało, po papierosy.

Potem ruszył dalej i po zignorowaniu kolejnych ograniczeń prędkości spotkał się z kolegami na umówionej stacji. Tam nagle przestało mu się spieszyć, siedział i melancholijnie popijał kawę oraz jadł smażoną kiełbasę. Niczym oaza spokoju i opanowania. To złudne wrażenie rozwiało się, kiedy usiadł z powrotem za kierownicą. Natychmiast nerwowo ruszył z miejsca i znowu zaczął zachowywać się jak uczestnik wyścigu Formuły 1.

W nocy, na autostradzie, było jeszcze gorzej. Auto pędziło, silnik buczał, karoseria klekotała na wszystkich złączach, a wystraszona kobieta siedząca z przodu nie mogła spać.

Konrad wpatrywał się w ciemne okno i zastanawiał, czy jest w ogóle sens snuć jakiegokolwiek plany na przyszłość, kiedy się siedzi w tak niepewnym środku lokomocji. W końcu zasnął i śniły mu się zwiewne czarnowłose postacie unoszące się dookoła wielkiego ogniska. Tego, na którym Weronika się nie pojawiła.

Wyjechał bez pożegnania i bolało go to bardziej, niż przypuszczał. Niełatwo być skończonym durniem i zdawać sobie z tego sprawę.

O trzeciej w nocy busik zatrzymał się gwałtownie na dużym nieoświetlonym podwórku i Konrad został niezbyt delikatnie obudzony przez sąsiada.

– Wsiadasz – ryknął mu do ucha siedzący obok mężczyzna dość pokaźnych rozmiarów, nie posiadając się zapewne z radości, że dalszą podróż odbędzie bardziej komfortowo, na podwójnym fotelu.

Konrad zdenerwował się i natychmiast poderwał się z miejsca popędzany spojrzeniami znużonych współpasażerów oraz kierowcy, któremu oczywiście się spieszyło. Pozbierał w bladym świetle wszystkie swoje rzeczy i nie całkiem jeszcze przytomny wysiadł z ciepłego busa w wilgotny chłód nocy. Kierowca sprawnie wypakował jego torbę, pożegnał się i odjechał. Konrad został sam.

Początkowo miał wrażenie, że znajduje się w szczerym polu. Wszędzie było cicho i ciemno. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że prawdopodobnie stoi na jakimś dużym placu.

Z przodu białł wielki dom, obok słabo oświetlone niskie budynki.

Nikt tu na niego nie czekał. Konrad pamiętał dokładnie, jak jego znajomy zapewniał, że na miejscu ktoś będzie go oczekiwał. Teraz jednak w to zwątpił.

Co robić? Konrad rozejrzał się dookoła. Dom znajdował się na jakimś odludziu otoczony ogromnymi polami, których granice ginęły w ciemności. Wiatr powiewał i w absolutnej ciszy słyhać było szum zbóż albo wysokiej trawy.

Strach ścisnął Konrada za gardło. Otaczał go wielki, nieznaną świat, potężne ciemne niebo, jakieś tajemnicze pola. Czy tu jest w ogóle stadnina koni? Wszędzie było tak cicho. Czy konie w nocy nie wydają żadnych odgłosów? Urodził się i wychował na wsi, a nie wiedział tego.

Co robić?

Czekać do rana czy też pukać do drzwi białego domu?

Nagle cicho skrzypnęły drzwi, a Konrada z przerażenia oblała fala gorąca. Stał jak wmurowany, w tej bowiem sekundzie dotarło do niego ostatecznie, jak idiotycznym przedsięwzięciem jest wyjazd za granicę bez znajomości języka, w nieznaną miejsce, samotnie.

Wyprostował się i właśnie próbował błyskawicznie zdecydować, czy lepiej zanurkować w szumiącą obok ciemność, czy czekać na rozwój wypadków, gdy zobaczył zbliżającego się wysokiego mężczyznę, który naciągał sweter i przeczesywał palcami włosy.

– A toście szybko zasuwał, jeszcze czwartej nie ma, a ten już mi światłami po oczach wali – rzekł, wyciągając rękę do Konrada.

Ulga do tego stopnia odebrała Konradowi mowę, że nie był w stanie wymyślić żadnego sensownego zdania. Wystękał tylko z trudem jakieś powitanie, a mężczyzna przyjrzał mu się uważnie i w zadumie pokiwał głową.

– Takiego wygadane go chłopca nam połamało, a przysłałi jakiegoś studenta. Ty się nawet nie odezwij, żeś wykształcony, bo cię zaraz wywał. I lepiej nie bądź zmęczony – rzekł, rzucając przenikliwe spojrzenie na podkrążone oczy i bladą cerę Konrada. – To nie jest dobre miejsce dla zmęczonych. Za dwie godziny zaczynasz robotę, a nasz bauer czeka na prawdziwego chłopca ze wsi, krzepkiego górala, więc się nie zbłaźnij.

Konrad chciał odpowiedzieć, że nie jest wcale wykształcony ani zmęczony, ale nie mógł, mimo szczerych chęci.

Podniósł z ziemi torbę i reklamówkę z jedzeniem, po czym posłusznie pomaszerował za swoim towarzyszem. Tej nocy był prawdopodobnie bezpieczny, ale jeżeli jutro rano to miejsce okaże się jakąś przekłętą katownią z pracodawcą tyranem, po prostu ucieknie. Pobłogosławił w myślach przewidującą matkę, która uparła się i wykupiła, za pożyczone pieniądze, bilet w obie strony.

Jednak zanim drewniane drzwi niskiego budynku się otworzyły, wpuszczając Konrada do ciepłego pomieszczenia, chęć ucieczki, bez względu na okoliczności, zmniejszyła się.

Przypomniał sobie twardą rzeczywistość, którą zostawił za sobą, dom – rozpadającą się ruderę i brak jakichkolwiek perspektyw na wybudowanie nowego.

I te słowa: Jesteś żaloszny – które wciąż brzmiały mu w uszach.

Postanowił wytrwać za wszelką cenę.

Weszli do dużego pomieszczenia. Pod ścianami stały rzędy łózek. Mężczyzna zapalił małą lampkę stojącą na nocnej szafce.

– Tu będziesz spał – powiedział. – A tu masz trochę miejsca w szafce – dodał ciszej, upomniany gwałtownie przez leżących w pokoju mężczyzn. – Najlepiej od razu kładź się spać i gaś światło.

– Dokładnie, gaś światło. A ty, Zbyszek, wynocha – rozległo się obok.

Mężczyzna wyszedł, a Konrad usiadł na łóżku i posłusznie zgasił lampkę. Powoli zaczął rozsznurowywać buty, pochylił się, aby je ściągnąć, a sprężyny zaskrzypiały cicho.

– Te, mały, nie skrzyp, zlituj się, bo jak ja ci rano skrzypnę przez łeb...

Rozległ się cichy śmiech, skonsternowany Konrad milczał, nie wiedząc, czy ma do czynienia z żartem powitalnym, czy rzeczywistą groźbą. Wyprostował się, wstrzymując oddech, i starając się nie czynić żadnego hałasu, powoli i ostrożnie próbował położyć się na łóżku. Sprężyny

zajęczały głośno.

– No co za cholera jedna? Skrzypi i skrzypi, pieron, choć mu się po dobroci mówi, że ma być cicho.

Śmiech z sąsiednich łóżek był już całkiem wyraźny.

– Przepraszam – wystękał zawstydzony Konrad.

– Nie przepraszaj, tylko nie skrzyp – odpowiedział mężczyzna wśród głośniego śmiechu, bo Konrad próbując położyć głowę, zaskrzypiał na cały pokój.

*

Ledwie zdołał wyprostować ciało zbolące po długiej podróży w ciasnocie i przymknąć powieki, a już w pokoju rozpoczął się ożywiony ruch. Jęczały sprężyny, zapalano lampki nocne, trzaskano drzwiami do wspólnej łazienki.

Konrad usiadł na łóżku, usiłując zgromadzić dostateczną ilość energii fizycznej i umysłowej, by zrozumieć, co się dzieje i czego w związku z tym oczekuje się od niego.

Okazało się, że wymagania są wysokie.

Nie dość że należy natychmiast wstać, umyć się w trzy minuty, bo tyle czasu przysługiwało każdemu z robotników na korzystanie z łazienki, to jeszcze zaraz potem z energią i zapalem trzeba rozpocząć pierwszy dzień pracy.

Chwilę później, popędzany przez innych, nieumyty i zdenerwowany wyszedł na zewnątrz, by w świetle dnia zobaczyć miejsce, do którego przybył.

Pierwsze nocne spostrzeżenia w większości się potwierdziły. Znajdowali się wśród szczyrych pól, chociaż nie na pełnym pustkowiu, w dali widać było podobne domostwa otoczone polami. Niski budynek, w którym spali pracownicy, teraz całą gromadą wysypujący się na podwórko, przylegał z jednej strony do przeszklonego biura, a z drugiej do szeregu długich szklarni. Z przodu wznosił się duży biały dom ozdobiony drewnianymi listwami. Nigdzie nie było widać koni.

Zapytał stojącego obok mężczyznę, dlaczego w stadninie koni jest tyle szklarni, a ten roześmiał się serdecznie i powiedział, że hodują tu, owszem, ale tylko kwiaty, i poklepał Konrada mocno po łopatce, radząc, żeby się niczym nie martwił, bo wszystko się wyjaśni we właściwym czasie.

Nie było innego wyjścia, jak się z nim zgodzić, bo wszyscy już się organizowali i rozchodzili do swoich codziennych obowiązków. Do Konrada też podszedł jakiś mężczyzna imieniem Tobiasz, który przedstawił się jako zastępca szefa. Razem poszli zameldować się u pracodawcy.

*

– Co on powiedział? – zapytał Konrad po beznadziejnej próbie odczytania z twarzy właściciela gospodarstwa sensu pierwszego polecenia wypowiedzianego po niemiecku.

– Trzeba przerzucić wielką hałdę ziemi, co leży z tyłu za kotłownią – przetłumaczył mu Tobiasz – do pięciu pierwszych szklarni, mniej więcej po równo. Zaczynaj, a jak chłopaki skończą rozładunek towaru, to ci pomogą. Potem ci wszystko opowiem, jak tu jest, na razie muszę iść przypilnować tamtych.

Tobiasz pobiegł w stronę zaparkowanych na dziedzińcu ogromnych ciężarówek i po chwili jego donośny głos niósł się daleko po okolicznych polach.

Konrad westchnął i przeszedł na drugą stronę podwórka. Minął coś, co wyglądało na kotłownię, i skierował się w stronę wskazaną mu przez Tobiasza, a po chwili znalazł się na dużym placu obok ciągnących się równym szeregiem szklanych drzwi do poszczególnych szklarni.

Leżała tam rzeczywiście ogromna góra świeżo zwalonej ziemi. Wielka hałda, którą należało podzielić na pięć równych części.

Ale jak?!

Latać z łopata do każdej szklarni i rozdzielać sprawiedliwie? To będzie trwało wieczność, poza tym nigdzie nie było widać ani łopaty, ani żadnych innych narzędzi. Konrad postanowił się nie

poddawać. Wiadomo, jak to jest na początku. Każdy chce, aby nowy szybko się usamodzielniał, a nie męczył innych pytaniami o podstawowe rzeczy.

Rozejrzał się po placu. Pięcioro identycznych potężnych drzwi do szklarni. Murowana szopa, za nią łąka, a za łąką granica posiadłości. Dalej pola sąsiada. Konrad zapatrzył się mimo woli na hektary przepięknej pszenicy w ostatnim stadium dojrzewania. Jakie wspaniałe pole. Żyzna, czarna ziemia. Pełne kłosy w kolorze szlachetnego kruszcu kołysały się, łagodnie szeleszcząc. I nagle wydało mu się, że widzi na tym polu Weronikę z rozpuszczonymi włosami, które falują na wietrze. Poczul ból serca, aż musiał przysiąść na trawie. Na moment stracił dech, ale zaraz wezbrała w nim straszna wściekłość.

Do jasnej cholery, żeby się żółte kłosy z czarnowłosą dziewczyną kojarzyły. Nie ma w niej, psiakrew, nic pszenicznego.

Postanowił nie dopuszczać do siebie żadnych takich sentymentalnych myśli. To i tak zamknięty rozdział, a tylko człowiek traci siły.

Wstał i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Przerzuci tę ziemię, choćby ją miał nosić rękami. Kopnął ze złością większą grudę, leżącą obok, i poszedł w stronę pierwszej szklarni. Żadnych narzędzi nadających się do tak ciężkiej pracy nie znalazł. Poszedł do drugiej. Po dłuższej chwili w kącie za skrzynkami zobaczył łopatę. Średniej wielkości, dość poręczna, nie była może idealna, ale lepszej najwyraźniej tutaj nie mieli. Rozejrzawszy się raz jeszcze, pożegnał się z marzeniem o taczkach i radykalnie zmienił zdanie na temat rozwoju cywilizacyjnego Niemiec. Żeby głupiej łopaty czy taczek nie było, to już szczyt wszystkiego.

Nie czekając dłużej, mrużąc pod nosem rozmaite przekleństwa i tłamsząc targającą nim furię, porwał łopatę i wziął się zapalczywie do roboty.

Szybko wymyślił system pracy. Najpierw ziemia do pierwszej szklarni, potem stamtąd po kolei do następnych. Było to czasochłonne, ale chyba jedyne możliwe rozwiązanie.

Rzucił się energicznie na hałdę ziemi, przewalając z siłą i rozmachem koparki ciężkie grudy pod pierwszą szklarnię.

– Jasna cholera, dam temu radę. – Zaparł się z całej siły, o mało nie łamiąc trzonka łopaty, i przełożył kolejną bryłę. – Zresztą jaka jasna cholera? Takie życie to skurwysyństwo. Skurwysyństwo skurwysyński skurwysynizm.

Splunął usatysfakcjonowany, że udało mu się tak trafnie zdefiniować zasady rządzące tym światem. Otarł czoło i ruszył do walki. Sam nie wiedział dokładnie z kim – z górą ziemi, opornie poddającą się jego działaniom, czy z myślami o Weronice, które ani na chwilę nie chciały go opuścić.

Temu też dam radę. Nie mnie pierwszego coś takiego spotkało, jakiś sposób musi być, skoro inni przez to przeszli i żyją. Trzeba tylko trochę czasu.

Pod pierwszą szklarnią urosła już całkiem spora pryzma ziemi. Konrad myślał o pożegnalnym ognisku, a zimna furia, ogarniająca go na samo wspomnienie tego okropnego wieczoru, dodawała mu sił. Mimo że ręce drżały mu już ze zmęczenia, łopata nabierała ziemię bez przerwy i coraz szybciej.

– Pewnie dali mi specjalnie taką głupią robotę, żeby mi udowodnić, że się nie nadaję. Niedoczekanie.

Przypomniał sobie dom rodzinny. Drewnianą podłogę w korytarzu całkowicie zmurzałą pod linoleum maskującym katastrofę, i w każdej chwili grożącą zawaleniem. Dach chylący się wyraźnie w stronę ziemi, koślawie podpierany.

Tego domu nie dało się już uratować. Nawet gdyby mieli pieniądze, było za późno. Lata zaniedbań, nieudolne remonty, często przerywane, bo ojciec w najmniej odpowiednim momencie robił sobie przerwę na jednego i miesiącami nie wracał. No i upływ czasu. Ten dom wybudowali jeszcze dziadkowie. Liczył sobie już wiele lat, miał prawo popaść w ruinę.

Konrad złapał trzonek łopaty i nagle wstąpiła w niego nadzieja.

Wybuduję dom – postanowił – zrobię to, choćbym miał przenieść każdą grudę ziemi gołymi rękami.

Już go widział. Na łagodnym wzniesieniu, żeby był bezpieczny w czasie powodzi, ale

w takim miejscu, gdzie ziemia na pewno się nie osunie.

Mały, nowy dom z pięknym, solidnym dachem. Parkiety. Duże okna. Jasna kuchnia z szerokim stołem, pokoje dla dzieciaków. Poczucie bezpieczeństwa.

Ręce pracowały coraz wolniej, ale ziemia konsekwentnie przesuwała się pod kolejne szklane drzwi.

*

Pan Schmidt, właściciel gospodarstwa, był od rana w fatalnym humorze. Najpierw pokłócił się przy stole z synem, który przyjechał na parę dni do rodziców, ale nie przejawiał najmniejszej chęci przejęcia gospodarstwa. Przejawiał tylko chęć natychmiastowego wydania pieniędzy, które można by otrzymać z jego sprzedaży.

Schmidt zgrzytnął zębami i poszedł w stronę pracowników rozładujących ciężarówkę z towarem. Wszystkiego musiał dopilnować osobiście, bo robotnicy pomimo tysięcznych napomnień wciąż nie mogli zrozumieć, jak cenne są sadzonki, które właśnie przyjechały, i jak delikatnie trzeba się z nimi obchodzić.

Denerwowało go również, że nadal w jego kieszeni jest klucz, po który miał się zgłosić nowy pracownik przed rozpoczęciem pracy. Minęły już trzy godziny, za chwilę ziemia będzie pilnie potrzebna w szklarniach, a jego wciąż nie ma.

Tak trudno znaleźć kogoś, na kim można polegać. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżali nowi, w szefa wstępowała nadzieja, lecz trwała krótko. Byli uczciwi, ale kompletnie niesamodzielnymi. Niepilnowani, pracowali wolno i nie potrafili podjąć żadnej decyzji. Dlatego stał się więźniem własnego gospodarstwa, nie mógł go na dłużej opuszczać i ta sytuacja coraz bardziej mu ciążyła.

Wreszcie rozładunek tira się zakończył i Schmidt poszedł szukać nowego pracownika. Nie chciał prosić o załatwienie tej sprawy Tobiasza, żeby go nie zmuszać po raz kolejny do świecenia oczami za rodaka. Postanowił upomnieć gościa lub w ostateczności go zwolnić. Pierwszy dzień zawsze jest trudny, ale zmarnowanie czterech godzin na płątanie się po okolicy to jednak przesada.

Nowego nigdzie nie było – ani w pomieszczeniach do spania, ani pomiędzy budynkami, ani na podwórku.

Pewnie polazł do szklarni, może go jakiś osioł wpuścił i teraz niewprawnymi rękami robi, co do niego nie należy – Schmidt irytował się coraz bardziej.

Siłą woli powstrzymał się od natychmiastowego biegu i ratowania ukochanych kwiatów, by tak dla porządku, czysto formalnie sprawdzić jednak, czy przypadkiem nowy nie siedzi na zwalonej ziemi i nie czeka, aż klucz sam do niego przyjdzie.

Wściekły przeszedł pomiędzy kotłownią a szopą, minął wielki krzak czarnego bzu i stanął jak wryty.

Nowy najwyraźniej pracował.

Przed każdą szklarnią znajdowała się już spora część przesypanej ziemi. Schmidt pomacał kieszeń. Klucz spokojnie leżał na swoim miejscu.

No jasne, mają drugi, pewnie dorobili – pomyślał.

Potem spojrzął na drzwi do narzędziowni. Były zamknięte na żelazną zasuwę.

Zamknął za sobą, żeby się nie zorientował, to cwaniak.

Podszedł do magazynu, sprawdził nienaruszoną kłódkę... i wtedy to zobaczył.

Chłopak przewalał ziemię łopatą.

Schmidt zdębiał. Na wszelki wypadek rozejrzał się jeszcze raz, poszukując koparki i spychacza, bez których ta praca była nie do wykonania. Tak mu się przynajmniej do tej pory wydawało

Koparki nigdzie nie było, o spychaczu nie wspominając.

Chłopak powoli przewalał ziemię łopatą. Patrząc na efekty jego czterogodzinnej pracy, trudno było nie czuć podziwu. Prawie połowa roboty została wykonana, a przecież koparką nieraz przerzucali przez trzy godziny. Schmidt nie potrafił sobie wyobrazić powodu, dla którego ktoś mógłby podjąć się tak katorżniczego zadania.

Zrobiło mu się żal chłopaka i poczuł wstyd za Tobiasza, którego zaczął podejrzewać o jakiś brzydki kawał. Ktoś przecież musiał dać temu biedakowi łopatę do ręki.

Poszedł szukać Tobiasza, żeby wyjaśnić tę sprawę. Jeżeli zastępca chciał się w ten sposób zabawić kosztem nowego, co było do niego zupełnie niepodobne, lub wyrównać jakieś osobiste porachunki, to naprawdę wybrał sobie zły czas i miejsce.

Schmidt stanął na podjeździe i rozejrzał się uważnie. Postanowił zrobić Tobiaszowi porządną awanturę.

*

Musiał odpocząć.

Jego ręce drżały z wysiłku i brakowało mu siły, by podnieść ciężką łopatę. Dłonie miał miejscami obtarte do krwi i pełne bąbli. Ponad połowa pracy była wykonana, reszta zdawała się przekraczać jego możliwości.

Usiadł, ciężko oddychając. Pot lał mu się po plecach i spływał z czoła. Przymknął oczy i oparł się o ziemię. To nierówne, pełne grud legowisko wydawało mu się najwspanialsze na świecie. Był zmęczony do granic wytrzymałości. Ledwie jednak odetchnął, gromki krzyk postawił go na nogi.

– Nowy, gdzie do jasnej cholery jesteś? – usłyszał donośny głos zastępcy szefa.

Pewnie jest wściekły z powodu tej nieprzepisowej przerwy – pomyślał Konrad i wstał z rezygnacją, otrzepując spodnie z ziemi. – Nie dam rady, trzeba będzie wrócić do domu na tarczy – westchnął.

– A tu żeś się schował – ryknął mu zwierzchnik prosto w twarz. – Co ci przyszło do głowy, żeby, kurwa, łopatą ziemię przewalać? Nie wiesz, jęlopie, że to się koparką robi? Taki dostałem opiernicz za ciebie, jak jeszcze nigdy. Gdzieś ty się, kurwa, urodził, w średniowieczu?

Konrad stał przed nim i nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Patrz, sieroto.

Tobiasz z wściekłością otworzył kłódkę murowanej szopy i pokazał spore wnętrze, w którym karnym rzędem stały trzy małe czerwone koparki i zgrabny spychacz. Były też inne maszyny, ale ich przeznaczenia Konrad chwilowo nie był w stanie odgadnąć. Pod ścianą poukładano wszelkie narzędzia, jakich tylko można było pragnąć.

– Narzędziownia, wiesz, co to jest? Tu są, kurwa, wszystkie maszyny, których potrzebujesz. Klucz jest u szefa albo u mnie. Coś ty myślał, że to jakaś karna kompania?

Konrad, który tak właśnie myślał, milczał dyplomatycznie. Zastanawiał się, czy zwolnią go natychmiast i czy bus podjeżdża tu codziennie, czy też nie.

– No gadaj coś wreszcie – krzyknął Tobiasz.

– Nikt mi nie powiedział, że mam się zgłosić po klucz?

– Zapomniałem, niech to jasny szlag trafi, czemuś się nie spytał?

– Nie chciałem robić kłopotów.

– No to ci, chłopie, się udało.

– Zwolnisz mnie?

– Nie mogę. – Tobiasz spojrział na Konrada, kręcąc głową i mimo woli się uśmiechając. – Zaimponowałeś samemu szefowi. Dziś masz wolne do wieczora, a jutro nie odstępujesz mnie na krok. I tak do odwołania. Zrozumiano?

– Tak jest. – Konrad się wyprostował, a Tobiasz klepnął go serdecznie, powodując przenikliwy ból wyczerpanych mięśni.

– Niezły jesteś, tak między nami mówiąc – powiedział, ale zaraz przypomniał sobie nieprzyjemną rozmowę z szefem. – No a teraz zapieprzaj do pokoju odpoczywać i żebyś mi się nie ważył czegoś tknąć po drodze.

*

Czesiek Wilk siedział na pniu za domem, palił trzeciego już papierosa i wpatrywał się w zachód słońca.

Był zły jak wszyscy diabli. Wszystko poszło nie tak.

Marcin wrócił z ogniska bardzo szybko. Wszedł do kuchni i bez słowa położył przed siedzącym przy stole ojcem ogromnych rozmiarów bukiet kwiatów o nieco oklapłych główkach i wygniezione pudełko z pierścionkiem.

– No – powiedział po dłuższej chwili – to by było na tyle. Za tydzień wyjeżdżam. Masz u mnie dług, zrobiłem z siebie głupka stulecia. Tylko dlatego, że o to poprosiłeś.

– Gdzie wyjeżdżasz? – przerwała mu gwałtownie matka.

Marcin podszedł do niej, wyjął jej z rąk ścierkę i nóż, odwiązał fartuch i pocałował serdecznie w czoło.

– Chodź, mamó, do mnie, to wszystko ci wytłumaczę, tata dowie się później, myślę, że woli teraz być sam.

Wolał. Wszedł przed dom, żeby spokojnie pomyśleć. Jednak ledwie stanął na tarasie, usłyszał głos syna dobiegający z uchylonego na półpiętrze okna. Mimo że nie miał zwyczaju podsłuchiwać, słowa Marcina pociągnęły go jak stalowa lina. Podszedł bliżej, oparł się o ścianę. Po pierwszych zdaniach nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na ziemię, ale wysłuchał wszystkiego do końca.

Poznał wreszcie historię tajnych kompletów. Bez cenzury. Ze wszystkimi komentarzami i szczegółami. Usłyszał też wyczerpującą charakterystykę samego siebie. Najpierw z ust syna, a potem żony.

Tydzień dochodził do siebie. W niedzielę w miarę spokojnie pożegnał się z synem, szczerze życząc mu szczęścia na studiach.

Taki był dotąd z siebie dumny. Miał się za twardziela, który kontroluje swoje życie i kieruje nie tylko firmą, lecz także rodziną. Tymczasem wszyscy go oszukiwali i pewnie śmiali się do rozpuku.

W pierwszym tygodniu wściekłość targała nim bezustannie, w drugim wstydził się sam za siebie. Ze złości poszedł w pole, wziął łopatę i przesadził pół hektara malin. Skopał ziemię, przesyłał rzędy mieloną korą i równiutko obciął wszystkie pędy, nie słuchając protestów żony, że za wcześnie na te prace, bo krzaki jeszcze owocują. Tak się zapamiętał w tej czynności, że nie zauważył zdradliwego wiatru, który podstępnie wiał na jego zgrzane plecy, tak że Czesiek leżał później przez kilka dni w domu, nie mogąc się poruszyć. Klął i wrzeszczał bez opamiętania, rzekomo z powodu przeszywającego bólu.

W sobotę, po czterech dniach przymusowego leżenia, obudził się i zobaczył, że żona postawiła mu na stoliku obok łóżka herbatę i śniadanie.

Za oknem świeciło słońce, wstawał piękny dzień. Czesiek usiadł i oparł się o poduszki, rejestrując z zadowoleniem, że ból korzonków trochę zelżał. Spojrzał na tacę, na której znajdowała się przedziwna kombinacja żywnościowa. Wszystkiego po trochu.

No tak, przypomniał sobie wczorajszą awanturę, kiedy biedna Justyna cztery razy robiła nowe kanapki, bo ciągle był niezadowolony. Już miał ryknąć wielkim głosem i skrytykować żonę tym razem za rozrzutność, kiedy nagła myśl przeszła jego mózg jak piorun.

Kiedy żona po raz ostatni mu się sprzeciwiła?

Znosi jego gadanie bez słowa, machinalnie robi, co do niej należy, ale co naprawdę myśli?

Jak spędza czas, kiedy on jest w pracy?

Nagle zrobiło mu się gorąco i poczuł, że z nerwów całkowicie wyzdrowiał.

Wstał gwałtownie, wszedł na balkon, żeby zapalić papierosa. Walnął w metalowy stolik stojący w rogu. Rozległ się huk, jego żona nie zareagowała.

Co jest, kurczę? Nie zależy jej? Nie jest, do ciężkiej cholery, ciekawa, co się stało? Czy mąż nie zemdlał, nie dostał zawału, nie umarł?!

– Justyna! – ryknął jak tur obdzierany ze skóry – coś się przewaliło!

Żona spokojnym krokiem weszła na balkon, podniosła stolik, odwróciła się i odeszła.

Czesiek opadł bez sił na fotel stojący w rogu.

Siedział i myślał, a wnioski, które mu się nasuwały, nie były przyjemne. Uświadomił sobie, że coś stało się z jego rodziną. Nagle dotarło do niego, że od jakiegoś czasu nikt z nim nie

rozmawia – ani dzieci, ani żona. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Justyna odezwała się do niego pierwsza lub coś o sobie opowiedziała. Zimny pot spłynął mu wzdłuż kręgosłupa.

Wstał i kopnął ze złością barierkę balkonu. Przyszło mu do głowy, że może jego żona tylko udaje uległość, a potajemnie, podobnie jak Marcin, prowadzi swoje własne życie. Studiuje gdzieś albo, do cholery, ma kogoś na boku!

Balkon był zdecydowanie zbyt mały, by pomieścić targające Cześćmi uczucia. Wpadł raptownie do sypialni, chaotycznie ponakładał jakieś części garderoby, włożył buty na bosc stopy i wyleciał z domu. Trzasnął jak zwykle z impetem drzwiami i nagle zatrzymał się w biegu, prawie ryjąc czubkami butów w bruku. Coś mu się przypomniało.

Dawniej, gdy wychodził, żegnał się z żoną, mówił, gdzie idzie, kiedy wróci, i wspólnie ustalali, co będą w danym dniu robić. I całował ją na pożegnanie.

Kiedy to się skończyło? I właściwie dlaczego? Nie mógł sobie przypomnieć.

Powoli ruszył dalej, stopniowo przyspieszając kroku. Wyszedł na drogę i zaczął się wspinać pod górę. Pilnie potrzebował kogoś, na kim mógłby wyładować złość.

Czesiek skierował się do Kościelniaków. Może ojciec Weroniki ma dzisiaj wolne? Przyspieszył. Koniecznie chciał go spotkać i w odpowiedni sposób za wszystko podziękować.

Za rozbudzoną, jak się okazało, bezpodstawną nadzieję, że jego córce podoba się Marcin.

Dlaczego zresztą miałby się nie podobać? W końcu Weronika nie jest jakąś zakichaną księżniczką, tylko zwyczajną dziewczyną, i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby się w Marcinie zakochała. Najwyraźniej jednak tak się nie stało.

Kościelniak zapłaci za wszystko. Jasne, że to wszystko jego wina. Plecie jak baba, napuszcza niewinnych ludzi na własnych synów i to ma mu ująć na sucho?

*

Adam, ojciec Weroniki, właśnie zrobił sobie herbatę i usiadł przy stole. Kuchnia lśniła czystością. Trzeba przyznać, że Weronika była bardzo solidna. Sprzątała, bardzo dobrze gotowała i z poświęceniem, zupełnie niezwykłym u tak młodej dziewczyny, dbała o dom.

Sama urządziła kuchnię trzy lata temu, uparcie domagając się starego, wielkiego drewnianego stołu, chociaż mieszkali tylko we dwoje i chociaż zdobycie takiego mebla nie było wcale łatwe. Koledzy Kościelniaka radzili mu, by znalazł supermebel po okazyjnej cenie w IKEA. Ale on nie miał siły kłócić się z córką, to wymagałoby dłuższej rozmowy.

Zgodził się więc i najpierw pojechał do Wiktorii Jaworskiej, z którą dawniej blisko przyjaźniła się jego matka. Zawsze miał dziwne wrażenie, że Jaworska wszystko wie. Dlatego nie lubił z nią rozmawiać, ale w pilnej potrzebie była niezastąpiona. Tym razem też wiedziała, kto ma stary, niepotrzebny, dębowy stół. Pojechał pod wskazany adres i, wywołując dużą sensację, zażądał stołu ze strychu. Właściciele sprzedali go niechętnie, wężąc jakiś podstęp.

Myśleli, że Kościelniak chce stół odnowić, a potem sprzedać za dużo wyższą cenę. Tak jakby znał się na starych meblach.

Po tej przygodzie stanowczo odmówił udziału w dalszym urządzaniu kuchni. Resztę Weronika zrobiła sama.

Trzy dni jeździła po Krakowie w poszukiwaniu jakichś niebieskich kubków. Za bilety autobusowe mogłaby kupić w miasteczku najładniejsze porcelanowe filiżanki. Nawet na te drogie ze złotym paskiem wystarczyłoby jej pieniędzy, ale nie chciała. Nie mógł tego zrozumieć, lecz jak zwykle o nic nie pytał.

Bez słowa przybił też nad stołem drewnianą półkę, na której te zdobyczne kubki, niczym szczególnym się niewyróżniające, stały. I, ku nieustającemu zdumieniu Kościelniaka, nigdy nie były używane.

Obok Weronika powiesiła solidnych rozmiarów tablicę korkową, która też nie odgrywała żadnej widocznej roli. Był tam przypięty tylko malutki rozkład jazdy busów.

Kościelniak nic nie mówił, nie protestował, nawet kiedy Weronika miesiąc szukała zasłon, bo koniecznie musiały być w kolorze, którego nazwy nie potrafił sobie przypomnieć. Dawno już stracił nadzieję, że kiedykolwiek zdoła zrozumieć to obce dziecko.

Ale starał się być miły.

Weronika była przecież tylko młodą dziewczyną.

Bardzo się pilnował, by traktować ją uprzejmie i tak serdecznie, jak tylko potrafił. Dziecko niczemu nie jest winne, powtarzał często tę starą wyświechtaną myśl.

Nie było to jednak łatwe zadanie.

Mieszał herbatę, od dłuższej chwili pogrążony w niewesołych myślach, choć cukier dawno się rozpuścił.

Weronika przed godziną pobiegła gdzieś z Kasią. W ciszy pustej kuchni słychać było tylko głośne tykanie dziwaczego zegarka, który uparła się ustawić na lodówce. Jego dźwięk zawsze pogłębiał w Adamie Kościelniaku poczucie dojmującej samotności.

Tym razem jednak nie zdołał pogrążyć się na dobre w myślach ponurych jak mgła, bo w przedsionku dały się słyszeć energiczne kroki, ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, pociągnął równocześnie za klamkę.

W progu stanął Czesiek Wilk, lekko zgrzany i wyraźnie wzburzony.

– Ale spieszyłeś robotę – powiedział zamiast powitania.

– Ja? – Zdumienie Kościelniaka było tak szczere, że Czesiek aż się roześmiał. Zawsze można było liczyć na przekonanie ojca Weroniki o własnej niewinności.

Czesiek rozsiadł się wygodnie i zażądał piwa.

– Mów – rozkazał, otwierając jedną butelkę o drugą – na jakiej podstawie sądziłeś, że powinienem wysłać Marcina do twojej córki?

Kościelniak zachmurzył się.

– Co, znowu wszystko zepsuła? Chyba oczywiste, że to byłoby najlepsze wyjście, skoro nie chce wyjechać.

– Wyjście za mąż nigdy nie jest najlepszym wyjściem – próbował smętnie zażartować Czesiek, myśląc o własnej sytuacji domowej.

– Może i masz rację. Ja też popełniłem ten błąd i do tej pory żałuję.

– Tego, że się ożeniłeś?

Czesiek nadstawił uszu. Słyszał oczywiście plotki na temat małżeństwa sąsiada, lecz sam Kościelniak milczał jak zakłęty.

Teraz też milczał, ale Czesiek siedział cierpliwie i czekał.

– Była młodsza o dziesięć lat. Mówiła, że to jej pierwszy raz. Zakochałem się. A potem, kiedy się okazało, że ona była już w ciąży, gdy mnie spotkała, i wszystko to zaplanowała z zimną krwią, prawie oszalałem. Uwierzyłem, że to miłość, a ona tylko szukała frajera, który da dziecku nazwisko, i znalazła, nie da się ukryć. Za każdym razem kiedy na nią patrzę, widzę tego gościa i myślę, jaki musiał być przystojny. Po kimś przecież Weronika odziedziczyła urodę.

– Ale skąd to wiesz? Czy Magda ci się przyznała? – zapytał Czesiek, wyraźnie przejęty tym, co przed chwilą usłyszał.

– A skąd, nigdy. Zresztą nigdy też z nią o tym nie rozmawiałem.

– Jak to nie rozmawiałeś. W ogóle?!

– Tak jakoś nie wychodziło. Ona też nie próbowała – dodał wojowniczo.

– To skąd możesz wiedzieć?

– Matka mi powiedziała. Znała takie historie. A dziecko samo stanowiło żywy dowód.

Czesiek, u nas w rodzinie nikt nie ma kręconych włosów, ani takich ciemnych oczu. No i popatrz, jaka ona jest piękna. A ja? Zwykły chłop i Magda też była zwyczajną dziewczyną, choć mnie się wydawała ósmym cudem świata. Skąd by nam się wzięło takie dziecko?

– A może trzeba by szukać w jej rodzinie, nie pytałeś?

– Ja nie, ale moja matka dokładnie Magdę przepytwała, kiedy Weronika miała pół roczku i pewne rzeczy zaczęły być widoczne. Powiedziała, że nie wie, po kim dziecko odziedziczyło urodę. Na początku też nie mogłem uwierzyć mojej matce, pojechałem nawet do Przemyśla, do teściowej. Chciałem szczerze pogadać, wszystko jej opowiedzieć. Ale ona tylko na mnie nawrzeszczała. Potem przyjechała do nas i zrobiła mojej matce straszną awanturę. Pokłóciły się na zawsze. Od tej pory na oczy jej nie widziałem. Chciała wtedy zabrać dziecko i Magdę do siebie, ale

ona się nie zgodziła.

– A ty – zapytał Czesiek – nie uwierzyłeś teściowej?

– Nie. Po pierwsze, moja matka powiedziała, że tak każda się zachowuje i kłamie w żywe oczy, a po drugie, rzeczywiście nie była w stanie wskazać ani jednego przodka o ciemnych oczach. Coś tam mówiła, że może we wcześniejszych pokoleniach, ale...

– A Magda? Co ona na to?

– Milczała i tylko tak na mnie patrzyła, jakby to była moja wina. Więc przestałem z nią gadać, no bo jakim sposobem mogłaby to być moja wina. Ja jej przecież nie zdradziłem.

Kościelniak zamilkł na chwilę.

– A potem – dodał – zostałem sam i musiałem wychować to cudze dziecko. Niby niczemu niewinne, ale na każdym kroku swoim wyglądem o wszystkim przypominające. Jak długo to jeszcze będzie trwać? Zdała maturę, niech jedzie na studia. Uczelnie teraz same poszukują studentów, a ona mi mówi, że nie może się nigdzie dostać już trzeci rok. Za granicę też nie chce, bo będzie tęsknić. Uwierzysz? Za czym? Za tą dziurą na końcu świata?

Czesiek zdziwił się, ale się nie odzywał. Upił łyk piwa i pomyślał, że lubi miejsce, w którym mieszka, i zupełnie nie rozumie zgorzkniałego sąsiada.

– Za Marcina też nie chce wyjść – ciągnął dalej Kościelniak.

– A za Konrada? – rzucił Czesiek.

– Nie – burknął zawzięcie Adam. – Za niego nigdy.

– Dlaczego, widać na kilometr, że coś ich ciągnie do siebie.

– I co, zamieszkają u mnie? Bo przecież oprócz swojej wielkiej miłości nic nie ma. A sama miłość nic nie jest warta.

– Przesadzasz.

– Wcale nie. Dobrze wiem, co byłoby dalej. Pięcioro dzieci takich jak Weronika biegających po całym moim domu i przypominających mi o wszystkim, a do tego jeszcze może Jarzębscy w komplecie, bo ta ich chałupa w końcu się zawali.

Czesiek się zamyślił. Cała złość gdzieś się ulotniła.

– Wszystkie kobiety są takie same – mruknął po chwili Kościelniak. – Zdradzają, oszukują.

Czesiek podskoczył gwałtownie. Postawił butelkę na stole, pożegnał się i wyszedł. Słowa Kościelniaka zapadły mu głęboko w serce.

*

Schmidt, dwa tygodnie po przyjeździe Konrada, ciągle w nie najlepszym humorze po kolejnej stresującej rozmowie telefonicznej z synem, szedł w stronę szklarni. Był zły na siebie, bo nakrzyczał właśnie niemiłosiernie na jednego z pracowników za nierówne ustawianie pustych doniczek. Rzecz była istotna, ale niewarta aż tak karczemnej awantury.

Dawniej nie zdarzały mu się podobne sytuacje. Nie musiał wyładowywać na podwładnych swoich frustracji. Teraz byle drobiazg wyprowadzał go z równowagi. Czuł, że ostatnio coraz gorzej znosi monotonię dni wypełnionych kontrolą – podlewania, temperatury i wzrostu roślin. Pragnął jakiejś zmiany. Ale na tak drastyczne posunięcie jak sprzedaż firmy, sugerowane mu nieustannie przez całą rodzinę, absolutnie nie był gotowy. Ciągle miał nadzieję, że Michael w końcu zmadrzeje, dorośnie i wróci do domu.

Czy jednak będzie umiał prowadzić taką działalność? Hodowla roślin to nie zawód, to pasja. A w jedynym synu nawet śladu takiego hobby nie było.

Dlaczego nie mieliśmy więcej dzieci?

Kopnął ze złością pustą doniczkę, która nie wiadomo dlaczego leżała na trawie, postanowił obciąć premię odpowiedzialnemu za ten bałagan i, westchnąwszy ciężko, otworzył drzwi ostatniej szklarni.

Stanął przy wejściu i długo patrzył na równe rzędy kwitnących roślin. Codziennie, od dzieciństwa, wchodził rano do tej najstarszej szklarni, zbudowanej jeszcze przez ojca. Z zamkniętymi oczami mógłby wskazać każdy rosnący tu kwiat, nazwać go, określić kolor, historię, kraj pochodzenia.

Przechadzał się, jak zawsze, między rzędami, dotykał liści i kwiatów, przyglądał się, ile urosły w ciągu nocy. Obserwował rozwijające się pąki i wciąż podziwiał tajemną siłę wypychającą z małych, suchych ziaren bujną roślinę. Mógłby tak spędzić cały dzień. To była jego największa radość.

Kochał rośliny miłością szczęśliwą, bo odwzajemnioną. W jego szklarniach nawet najbardziej wymagające i delikatne okazy rosły zdrowo i kwitły obficie.

Kiedyś te chwile były niczym niezmaconą radością. Ostatnio coraz częściej, gdy dochodził do drugiego końca szklarni, wdychał ciężko, bo docierała do niego smutna prawda, że jest sam i nie ma się z kim podzielić pasją swojego życia.

Przez zakurzoną nieco szybę (trzeba będzie natychmiast obciąć komuś za to premię) zobaczył nowego pracownika. Przystanął z zaciekawionym, bo ten Polak był dość intrygujący. Milczący, trochę jakby smutny i bardzo, bardzo pracowity. Od dwóch tygodni każde powierzone mu zadanie wykonywał szybko, z wielką starannością i coraz częściej ujawniającym się talentem.

Schmidt nagle nabrał ochoty, by poznać bliżej tego chłopaka. Porozmawiać z nim. Oczywiście było to możliwe tylko za pośrednictwem Tobiasza. Młody Polak nie znał niemieckiego. Westchnąwszy, Schmidt postanowił i jemu zaproponować kurs językowy.

W ten sposób sprawdzał wszystkich pracowników. Kurs nie był drogi, ale uczestnik musiał wysupłać trochę pieniędzy z własnej kieszeni, poświęcić czas, popracować wieczorami.

Dla wielu był to próg nie do pokonania. Oszczędzali, by z jak największą ilością pieniędzy wracać do domu. Niektórzy z nich od piętnastu lat wyjeżdżali do kraju w przyszłym miesiącu. Nie chcieli uczyć się języka, bo twierdzili, że na cztery tygodnie nie warto.

Kurs ukończył Tobiasz i dlatego został szefem. Uczyla się też Klaudia, studentka, która przyjechała na roczny urlop dziekański. Już wcześniej знаła podstawy niemieckiego, szybko robiła postępy, zarządzała więc biurem. Doświadczenie mówiło, że uczyć się wieczorami i godzić kurs z ciężką pracą potrafią tylko wyjątkowo ambitni i pracowici, więc był to dla Schmidta prosty sposób na sprawdzenie, z kim ma do czynienia.

Ciekawiło go bardzo, jak zachowa się ten nowy. Zapukał w szybę i używając zrozumiałej dla każdego gestykulacji, zawołał Tobiasza i Konrada.

Test wypadł pomyślnie. Nowy, wyraźnie zaskoczony, ucieszył się z propozycji. Jak chyba jeszcze nikt do tej pory.

*

Klaudia pomalowała ostatni paznokieć, skontrolowała całość dzieła i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Delikatny french manicure uznała za najbardziej odpowiedni.

Konrad. Bardzo ładne imię. Chłopak piękny i dość inteligentny. Oczywiście zbyt biedny i prosty, żeby wiązać się z nim na poważnie, ale dostatecznie interesujący, by przeżyć przygodę, zdobyć kolejny okaz do kolekcji i nie wyjść z wprawy.

Klaudia podeszła do lustra i z zadowoleniem obejrzała swoją idealną figurę. Wierzchem dłoni, by nie zniszczyć lakieru, odgarnęła opadające na czoło idealnie proste blond włosy. Spojrzała w swoje błękitne oczy, po raz kolejny dziękując w duchu naturze za ten hojny dar. Kolor nieba połączony z rozbajającym uśmiechem rozkładał na łopatki największych cyników i twardzieli.

Tylko że to było jakiś czas temu. Tutaj cyników ani twardzieli nawet na lekarstwo by nie znalazł.

Konrad pojawił się w odpowiednim momencie. Już padała z nudów. Nie było na kim potrenować swoich umiejętności, nie było z kim zwyczajnie się rozerwać.

Schmidt wiecznie zestresowany, mały i gruby należał do bardzo nielicznej grupy, którą Klaudia klasyfikowała jako bogaty, ustawiony, ale niestety kochający swoją małżonkę. Sprawa beznadziejna, rzecz niewarta zachodu. Takiego, nawet jeżeli wielkim wysiłkiem uda się zdobyć, szybko dopadają wyrzuty sumienia, cierpi i obwinia o to dziewczynę, która, jego zdaniem, sprowadziła go na manowce. Mała przyjemność, a sporo kłopotów. Dlatego ze Schmidtem łączył ją pełen profesjonalizmu układ zawodowy.

Pracowała tutaj od pięciu miesięcy. Roczny urlop dziekański przeznaczyła na zbieranie

pieniędzy na specjalnym koncju, którego stan rósł dość szybko. Uprawiała gimnastykę, dbała o figurę, szlifowała niemiecki na dodatkowym kursie, za który płacił szef, i doskonaliła sprawność manipulowania mężczyznami.

W ten sposób przygotowywała się do podróży życia, do Monachium. To tam chciała kontynuować studia i znaleźć wymarzonego kandydata na męża. Powinien być bogaty, ustawiony, przystojny i ogólnie fascynujący. Wiadomo, takiego niełatwo jest upolować, ale ona była naprawdę świetnie przygotowana.

Flirtowała intensywnie z licznymi pracującymi tu mężczyznami. Wprowadzała w ich życie sporo zamętu, czasem była przyczyną nieszczęścia, ale nie przywiązywała do tego wagi.

Ostatnio pozostawała w luźnym związku z Tobiaszem, ponieważ on najlepiej zarabiał i miał coś do powiedzenia w firmie, ale brakowało jej fascynacji. Straszliwa nuda. Tobiasz był zakochany i ciągle marudził o zaręczynach.

W Polsce starała się wiązać z różnymi mężczyznami, nie wiedziała przecież, jaki typ będzie reprezentował ten właściwy facet, na którego w odpowiednim czasie zarzuci się. Tutaj wszyscy stanowili jednolitą grupę, wyjątkowo łatwą do rozpracowania i rozkochania. Najprostsze sztuczki, w połączeniu z samotnością i oddaleniem od rodziny, czyniły z nich łatwą zdobycz.

Żadnych wyzwań.

Od czasu do czasu ktoś ciut bardziej odporny jako jedyne urozmaicenie.

Co mogła zrobić? Musiała popracować tutaj jeszcze kilka miesięcy, by zebrać potrzebną sumę pieniędzy. W Monachium trzeba będzie wynająć odpowiednie mieszkanie i dbać o urodę. Nie chciała wyglądać jak uboga poszukiwaczka męża, lecz jak kobieta silna, samodzielna i spełniona, a to wymagało środków finansowych.

Ucieszyła się bardzo z przyjazdu Konrada. Sprawiał wrażenie trudnego przeciwnika.

Kiedy się poznali, wieczorem pierwszego dnia, oceniła go jako naiwnego, pracowitego chłopca, więc zaledwie ułamek sekundy trwało podjęcie decyzji o poprawieniu zbyt głębokiego dekoltu i ułożeniu twarzy w wyraz doskonałej niewinności. Posłała mu skromny uśmiech i zapytała, czy jadł już kolację, żeby pokazać, jak bardzo troskliwą i sympatyczną jest dziewczyną.

Jej taktyka nie przyniosła spodziewanych efektów. Konrad odpowiedział grzecznie, lecz haczyka nie połknął.

Klaudia się ucieszyła. Miała szczerze dość banalnych facetów tracących język w gębie i zgadzających się na wszystko po pięciu minutach rozmowy. Cieszyła się nowym wyzwaniem i starannie planowała kolejne posunięcia.

Skromna, wartościowa, pracowita dziewczyna. Na taką chciała się wykreować na jego użytek. Walizka kryła niewymyślne bawełniane bluzeczki i dziewczęce spódniczki imitujące naturalną prostotę. Kosztowały one majątek w firmowych sklepach, ale Konrad nie wyglądał na takiego, który się zna na markowych ciuchach. Da się nabrać.

A jego koledzy, nawet jeżeli ich zaskoczy zmiana wizerunku Klaudii, nic nie powiedzą. Zresztą Konrad i tak nie uwierzy, tak samo jak oni sami kiedyś nie uwierzyli, gdy próbowano ich ostrzec.

I tak ma być – pomyślała Klaudia z zadowoleniem, zamykając energicznie buteleczkę z lakierem.

Wreszcie coś się zaczęło dziać. Szef zaproponował Konradowi kurs językowy, a ona zasugerowała, że załatwi wszystkie formalności. Oczywiście tak to zrobiła, by ich grupy miały zajęcia w tych samych godzinach.

Zadowolona włożyła kurtkę i zawiązała szalik. Za piętnaście minut była umówiona z Konradem na parking.

*

Na kurs miał jeździć firmowym autem z Klaudią, dziewczyną z biura. Połączeń autobusowych z miasteczkiem nie było. Miejscowi korzystali z własnych samochodów.

Konrad stał stremowany, ściskając w garści zeszyt, który dał mu Tobiasz. Zrobił to bardzo niechętnie. Wszyscy już wiedzieli, że z powodu nowego Klaudia dała swojemu dotychczasowemu

chłopakowi kosza i tym samym pogrzebała wszelkie jego plany na przyszłość.

Tylko Konrad, jak to często bywa, nie był tego świadom i nie rozumiał licznych sarkastycznych uwag, którymi ostatnio częstował go zastępca szefa.

Samochód podjechał i Konrad otworzył tylne drzwi.

– Gdzie ty wsiadasz? – roześmiała się dźwięcznie Klaudia.

– Chodź do przodu – zaprosiła i podjechała mu przednimi drzwiczkami pod sam nos. Wsiadł zaskoczony, w ostatniej chwili chroniąc stopy przed rozjechaniem, i machinalnie zapiął pas.

Minęli bramę gospodarstwa i równiutką, asfaltową drogą powoli pojechali w stronę miasta. Konrad milczał, rozmyślając o kursie. Dawno ukończył szkołę, nigdy specjalnie dobrze się nie uczył, a jego wspomnienia ze szkolnych lat nie były miłe. Teoretycznie nauczyciele rozumieli jego sytuację, ale tak naprawdę zawsze mógł liczyć tylko na siebie. Nie było mu łatwo.

Teraz wdzięczny szefowi, że może się uczyć, jednocześnie bał się bardzo, że będzie to kolejna porażka i wstyd, że znowu nie dał rady. Pograżony w ponurych myślach obracał w dłoniach zwinięty zeszyt i patrzył w okno, nie zwracając uwagi na Klaudię.

Ona początkowo spoglądała ukradkiem, licząc, że Konrad w końcu zacznie z nią rozmawiać, że zauważy doskonały strój skromnej, sympatycznej dziewczyny, jaki specjalnie dla niego skomponowała. Zdjęła płaszcz i było jej zimno, a on tylko wyglądał przez okno.

Westchnęła zrezygnowana i postanowiła przerwać milczenie.

– Coś taki smętny? – zapytała. – Pewnie zostawiłeś w Polsce narzeczoną? – zaczęła od razu mocnym akcentem, chcąc uzyskać najbardziej pożądaną informację.

– Nie – odpowiedział Konrad poważnie. – Nie mam tyle szczęścia co ty. Tobiasz to bardzo dobry chłopak.

Klaudia zamilkła. Nie spodobała jej się ta odpowiedź.

– Wiesz – odezwała się po chwili. – My z Tobiaszem tak naprawdę nie jesteśmy parą, to był taki niezobowiązujący układ, który właśnie się zakończył.

Konrad spojrzał na nią zdziwiony, bo zupełnie co innego opowiadał mu tuż po przyjeździe rozpromieniony Tobiasz o swojej, jak się wyrażał, narzeczonej. W okamgnieniu zrozumiał zły humor szefa i zrobiło mu się przykro. Zdążył już polubić Tobiasza.

– O, to nie moja sprawa – rzucił szybko i zmienił temat. – A jaki jest ten kurs? Trudny? Dużo się trzeba uczyć w domu?

Widząc, jak ofiara zręcznie się wymyka, Klaudia postanowiła błyskawicznie zmienić taktykę. Wariant numer cztery – porzucone piskłę z dramatycznym życiorysem.

– Wiesz, na początku było dość trudno – powiedziała łagodnie – ale ja jestem przyzwyczajona do pracy.

Konrad spojrzał na nią uważnie i pojęła, że jest na dobrej drodze.

– Wychowałam się na wsi. Nigdy nie było łatwo. Uczyłam się, bo to była moja szansa. Teraz też pracuję, żeby zarobić na studia.

Uwaga Konrada wyraźnie skupiła się na rozmówczyni, a spojrzenie stało się jawnie życzliwe.

Mam cię – pomyślała Klaudia i postanowiła zagrać *va banque*. Wariant c – nieszczęśliwe dziecko alkoholika.

– To jest trudne do zrozumienia dla tych, którzy mieli zwyczajne dzieciństwo, ale wiesz, tata miał problem z alkoholem.

Konrad wyprostował się gwałtownie i odwrócił wzrok, a Klaudia pogratulowała sobie w duchu. Gość był rozpracowany.

*

Słońce grzało niemiłosiernie od rana, jakby zupełnie zapomniało, że już wrzesień. Weronika postanowiła, zgodnie z wcześniejszym planem, upiec placek drożdżowy, zanim ojciec wróci z pracy.

Właściwości tego ciasta w zakresie tworzenia atmosfery rodzinnej, szeroko opisywane w literaturze, miała zamiar wykorzystać dzisiaj po południu. Ten zapach jak wiadomo sprawia, że

dom staje się miejscem przytulnym, do którego chętnie się wraca. Stwarza niepowtarzalny nastrój – wszyscy członkowie rodziny zasiadają przy wspólnym stole, jedzą, chwają i czują się wspaniale.

Kunszt pieczenia tego ciasta opanowała doskonale. Drożdżówki wychodziły spod jej ręki pulchne, mięciutkie i z chrupiącą złotą kruszonką. Wciąż nie traciła nadziei, choć z coraz większym trudem znosiła fakt, że ojciec zjada wszystko bez słowa, popija herbatą, po czym idzie do swoich zajęć i nie ma najmniejszego zamiaru rozsiadać się wygodnie, rozmawiać i chwalić.

Weronika otarła wierzchem dłoni pot z czoła. Skończyła wyrabianie. Bolały ją już ręka i plecy, ale efekt wart był wysiłku. Gładkie, puszyste ciasto błyszczało i odchodziło od dłoni i miski. Dokładnie tak jak zalecają mistrzowie sztuki.

Włożyła je do blaszki i przykryła czystą lnianą ściereczką.

Usiadła na krześle pod otwartym oknem. Zza firanki gorące powietrze lało się do środka.

Piec się rozgrzewał i też buchał ciepłem. Weronika znowu wytarła spocone czoło i wyszła przed dom. Delikatny wiatr owiał jej twarz, chłodząc przyjemnie policzki. Usiadła na ławeczce pod lipą, na swoim ulubionym miejscu, i już miała się pogрузić w rozpamiętywanie licznych smutków i zmartwień, gdy zobaczyła Kasię, energicznie maszerującą w jej stronę.

– Cześć, Kasiu, masz dzisiaj wolne? – ucieszyła się i przybrała dziarską minę, żeby nie martwić przyjaciółki.

– Tak – odpowiedziała Kasia, całując ją serdecznie w oba policzki. – Wzięłam sobie urlop i postanowiłam sprawdzić, jak żyjesz, czy nie myślisz niepotrzebnie wiesz o czym i tak dalej.

– Myślę tylko potrzebnie, choć szczerze powiedziawszy, miałam zamiar trochę, ale...

– No to całe szczęście, że przyszłam w porę.

Kasia usiadła na ławeczce, popiła wody z małej butelki, schowała ją i zamknęła torebkę.

– A teraz – zarządziła – zwierzaj się.

Weronika uśmiechnęła się mimo woli.

– Tak jest, pani kapral. Zwierzenia punkt pierwszy. Dobrze nie jest. Długo by zresztą mówić. A tu słońce świeci, szkoda czasu na moje zmartwienia.

– Jakie zmartwienia, kurczę. W kółko to samo? Czekaj, już ja cię rozweselę. Właśnie dzisiaj opracowałam specjalny autorski program rozwiązania wszystkich twoich problemów. Poddasz mu się i będziesz jak nowo narodzona. Patrz na mnie!

Weronika posłusznie popatrzyła na przyjaciółkę, która aż promieniała radością.

– Patrz! – powtórzyła Kasia. – Mam złamane serce. Marcin wyjechał przygotowywać się do studiów i o mnie wcale nie myśli. A czy ja rozpaczam?

Weronika nic nie odpowiedziała.

– No właśnie. Patrz i ucz się, jak należy przeżywać zawody miłosne. Lekcja pierwsza: głowa do góry. Dobrze wyglądać, promiennie się uśmiechać. A jak ty wyglądasz?

Kasia spojrzała na Weronikę.

Minimalistyczny podkoszulek na symbolicznych ramiączkach, stare spodnie, przepocone włosy zwinięte w rozczochny kok.

Kurczę, nawet w tym niedbałym stroju Weronika wyglądała superponętnie i atrakcyjnie.

– Zaczniemy od zakupów – powiedziała stanowczo. – Pojedziemy natychmiast do galerii i pięknie cię ubierzemy, kupimy mnóstwo niepotrzebnych, niepraktycznych i bardzo drogich rzeczy, damy się naciągnąć reklamom i nabijemy kasę podstępny specem od marketingu. To kobietom poprawia nastrój.

– Tobie też?

– Rzadko, szczerze powiedziawszy, ale poświęcę się dla ciebie.

Weronika westchnęła.

– A nie mogłabyś mi tego darować? Wiesz, że nie lubię wyrzucania pieniędzy i nie chce mi się stroić.

– Zapomnij. Nie ma litości. Jedziemy nieodwołalnie. Dzisiaj, za godzinę. A teraz idź, zmyj to ciasto z czoła, bo wyglądasz jak porzucona gospodyni domowa, a nie spełniona trendy singielka. Włóż coś, żeby cię można było ludziom pokazać, i jedziemy się rozerwać.

Weronika wstała z rezygnacją. W sumie i tak nie miała nic lepszego do roboty. Ciasto może poczekać. Nie umiała go przecież przyrządzić na tyle dobrze, żeby odegrało swoją rolę. Czas w końcu spojrzeć prawdzie w oczy.

Uświadomiwszy to sobie, zamknęła za sobą drzwi łazienki, rozebrała się i weszła pod prysznic. Chłodna woda była wspaniała.

*

Popołudnie w galerii handlowej minęło naprawdę przyjemnie, niczego jednak nie zmieniło. Wieczorem trzeba było wrócić do domu.

Była godzina ósma, ale u Kościelniaków w żadnym oknie nie paliło się światło. Ojciec znów siedział w pracy po godzinach. Weronika westchnęła, a Kasia ze złością stwierdziła, że akcja rozweselania dała gorsze efekty, niż można się było spodziewać.

Przyjaciółka opornie poddawała się terapii, Kasia jednak nie należała do tych, co to zniechęcają się z byle powodu.

Miała już kolejny pomysł na jutro.

Pożegnały się już właściwie ze trzy razy, mimo to nadal stały pod domem Kościelniaków, bo Kasi nie chciało się iść samej do siebie.

– Może mnie odprowadzisz? – zaproponowała. – Twojego taty i tak chyba nie ma w domu, nie musisz się spieszyć.

– Masz rację, wrzucę tylko torby z zakupami do pokoju.

Przeszły przez sad i na przełaj przez łąki, potem stromą drogą w dół i chciały zatrzymać się na moście, żeby jeszcze chwilę porozmawiać, ale zobaczyły jakąś postać opartą o barierkę i zrezygnowały.

Przechodząc rozpoznały Anię, którą we wsi nazywano Hanką Mostowiak, bo prawie codziennie, od dwóch lat, stała wieczorami na moście i czekała na swojego chłopaka, który wracał tą drogą z pracy.

Rzeka w tym miejscu tworzyła zakole i niedaleko stąd był drugi most. Tam stanęły, oparły się o barierkę i, rzucając do wody listki zrywane ze zwisających obok gałęzi, rozmawiały w najlepsze. Kasia starała się wlać w Weronikę maksimum otuchy i dobrych myśli, opowiadała wesołe anegdotki z pracy, starannie omijając wszystkie tematy, w których bohaterami byłiby jakaś babcia, mama, tata czy miłość. Mało było tych tematów.

Ale Weronika wyraźnie poweselała, więc Kasia postanowiła ją odprowadzić do domu, żeby smutki jej nie dopadły, kiedy będzie wracać sama w ciemnościach. Anki już na moście nie było, widocznie Adam wrócił z pracy i poszli razem.

Noc była piękna – ciepła, rozśpiewana świerszczami i pachnąca. Żaby kumkały zawzięcie, a psy poszczekiwały do siebie o swoich sprawach.

Szlag by to trafił – pomyślała Kasia. – To nie ze mną Weronika powinna w taką noc wracać do domu.

Po kilkunastu minutach znów stanęły w sadzie Kościelniaków. Usiadły na trawie pod starą jabłonią. Kasia położyła reklamówki z zakupami obok.

– Gdybym wiedziała, że jeszcze tutaj dziś wrócę, tobym zostawiła te toboły u ciebie. Ile takich rund jeszcze zrobimy?

– Myślę, że to już ostatnia, ale szczerze powiedziawszy, przedtem też tak myślałam.

– No właśnie.

Kasia wyciągnęła komórkę z kieszeni, sprawdziła, lecz żadnych wiadomości ani nieodebranych połączeń nie było. To znaczy że rodzina jeszcze nie podniosła alarmu. Aż dziw, bo dochodziła już dziesiąta. Odprowadzanie jest zajęciem czasochłonnym. Oparła głowę o chropowaty pień. Pachniało jabłkami.

Weronice ten zapach przypomniał kąpiele w strumyku płynącym w lesie niedaleko jej domu. Powiedziała o tym Kasi, a ta roześmiała się.

– Tak, pamiętam, babcia cię tak pewnego razu za to sprąła, że nauczyciele chcieli pedagoga wzywać.

– Ciągle lała mnie za to. Tam jest przecież zawsze lodowata woda, nawet w lecie. Usta sinieją, skóra cierpnie. Okropność.

– To czemu ciągle to robiłaś? Weronika, zaczynam cię podejrzewać o jakieś dziwne skłonności.

– Odpowiedź jest banalna. Dla niego. Miałam dziesięć lat, kiedy pierwszy raz poszliśmy nad strumyk i zamoczyłam czubek palca, a on powiedział, że taka woda musi być wspaniała. No to ja na to, niewiele myśląc, powiedziałam, że uwielbiam zimne rześkie kąpiele. Chciałam mu trochę zaimponować. Myślałam, że się roześmieje, a on zaczął ściągać buty. Wiesz, że tylko w jednym miejscu można się wykąpać, bo strumyk jest przecież płytki. W zakolu pod wielkim korzeniem znajduje się taka głębinka, dla dwóch dzieciaków w sam raz. Tylko że tam zawsze jest cień i zimno jak nie wiem. Ale co było robić? Zaciskałam zęby i kąpaliśmy się tam każdego lata.

Widzisz, ja chyba rzeczywiście muszę stąd wyjechać. Bo tutaj wszystko mi się za bardzo z nim kojarzy, nie mam szans zapomnieć. Jabłka leżą spokojnie na trawie, a ja myślę o nim.

Tylko w ogóle nie potrafię sobie tego wyobrazić. Byłam w Anglii, u wujka, cały miesiąc. Tata miał nadzieję, że mi się tam spodoba, ale nic z tego. Wszystko było ciekawe, ciocia miła i serdeczna, jednak na zawsze za nic nie chciałabym tam zostać.

Byliśmy we Włoszech na wycieczce. Super, tylko że to świat całkowicie mi obcy. Tylu stąd chce wyjechać, marzy o tym, a ja nie.

– Teraz to coraz mniej – zauważyła Kasia. – Wielu wróciło, widać za granicą cudów też nie ma.

Weronika westchnęła znowu.

– Wiesz – powiedziała Kasia z rezygnacją. – Ty to byś mogła robić za odnawialne źródło energii. Tyle się nawzdychasz w ciągu jednego dnia, że spokojnie mały wiatrak można by uruchomić.

– No dobrze – roześmiała się Weronika – już nie wzdycham. Chodź, odprowadzę cię. U mnie w domu, jak widzisz, nadal ciemno, tata śpi albo gdzieś poszedł, nie chce mi się wracać.

Znowu przystanęły na moście i w milczeniu patrzyły, jak w granatowej wodzie mrugają odbite gwiazdy. Dziewczyny były zmęczone.

W końcu się pożegnały. Weronika wracała samotnie do domu. Wokół panowała cisza. Wieś spała – ludzie, świerszcze, psy i żaby. Gwiazdy migotały uspokajająco. Obręcz z gór obejmowała dolinę mocnymi ramionami.

Jak by to Kasia ujęła? – zastanowiła się Weronika. – Szlag by trafił, kocham to miejsce. Jest moje.

*

Po prawie czterech tygodniach Konrad czuł się, jakby spędził w gospodarstwie Schmidta co najmniej dziesięć lat.

Wstawał bladym świtem i wraz z Tobiaszem, dość milczącym i ponurym, pracowali do siedemnastej.

Czasem była to ciężka robota. Przerzucanie ziemi, pikowanie tysięcy sadzonek, ale coraz częściej Tobiasz zabierał Konrada do najmniejszej szklarni, gdzie w specjalnych warunkach rosły najcenniejsze rośliny. Konrad nauczył się ich nazw i szybko przyswajał wiadomości dotyczące optymalnych warunków rozwoju tych ulubieńców szefa. Często przychodził do nich wtedy Schmidt i pokazywał Konradowi, jak wykonywać kolejne czynności, posługując się rękami, nogami oraz Tobiaszem, w celu nawiązania kontaktu. Każde takie spotkanie kończyło się sakramentalnym pytaniem, jak idzie nauka niemieckiego.

A szła nawet nie najgorzej. Poddany presji szefa, Tobiasza i Klaudii, Konrad zapisał się na kurs intensywny, trzy razy w tygodniu. Wszystkie popołudnia, wieczory, a często i noce spędzał albo na kursie, albo nad zeszytem.

Na zajęcia jeździł zawsze z Klaudią. Polubił tę, jego zdaniem, wrażliwą dziewczynę, choć nieraz zupełnie jej nie rozumiał. Raziła go jej bezpośredniość i różne propozycje czynione wprost. Traktował je oczywiście jak żarty, ale często zupełnie nie wiedział, jak reagować, by nie wyjść na

gbura, a równocześnie dać wyraźnie do zrozumienia, że flirt to naprawdę ostatnia rzecz, jaka w tej chwili mogłaby go interesować.

Klaudia nie ustawała w wysiłkach.

– Widzisz tego gościa na ławce pod ścianą? – zapytała, gdy czekali przed zajęciami na szerokim korytarzu wypełnionym różnojęzycznym i wielonarodowościowym tłumem kursantów.

– Widzę – odpowiedział. – Podoba ci się?

– Nie, ale mogę się z tobą założyć, że w ciągu minuty okręcę go sobie wokół palca.

– Klaudia, proszę cię.

– No nie bądź taki sztywny. – Eksponując doskonałą figurę, oparła się z wdziękiem o ścianę z drewnianą gablotką z informacjami, jak należy postąpić w wypadku pożaru.

Konrad znów poczuł na sobie spojrzenia obecnych w pomieszczeniu mężczyzn, ze starym, surowym portierem włącznie. Uważani tu byli za parę, a Klaudia robiła, co mogła, by podtrzymać te złudzenia. Wściekał się z tego powodu, ale bez widocznego skutku.

– Nie jestem, do cholery, sztywny – zdenerwował się – tylko uważam, że to głupie.

– Dobrze. – Klaudia machnęła pojednawczo dłonią i zmieniła pozę. Odsunęła się od ściany i przełożyła długie włosy na jeden bok. Wyglądała uroczo z opadającymi lekko na twarz jasnymi kosmykami, spod których patrzyły na świat oczy pełne absolutnej niewinności.

– Zostawię gościa w spokoju – powiedziała – ale tylko dla ciebie. I pamiętaj, że jesteś za mnie odpowiedzialny, bo przez twoje zasady wychodzę z wprawy.

*

– Dużo miałaś zadane? – zapytał następnego dnia, kiedy wyjechali za bramę. – Ja już ledwie ciągnę.

– Po co tak długo wczoraj siedziałeś, ty kujonie? – Klaudia wrzuciła luz i pozwoliła, by samochód bezwładnie toczył się z góry, co uwielbiała, a czego Konrad nie cierpiał.

– A co? Miałem nie odrobić ćwiczenia? – oburzył się. – Nie ma głupich, dość się najadłem wstydu w podstawówce.

– No dobrze już, dobrze, nie denerwuj się. Nawet nie wiesz, jak żałuję, że nie jesteś ze mną w tej samej grupie, nic bym nie musiała robić.

– Tym lepiej dla ciebie, że jesteśmy osobno. Przynajmniej się czegoś nauczysz. – Konrad poprawił się w fotelu i odetchnął.

– I tak bym się nauczyła, bo jestem, jak wiadomo, bardzo zdolna, a byłoby o wiele przyjemniej. Odrabianie zadań niezbyt mnie pociąga.

Obejrzała pod światło smukłą, delikatnie opaloną dłoń z idealnie pomalowanymi paznokciami.

Konrad milczał.

Spojrzała na niego ukradkiem, sprawnie zmieniając bieg, i powiedziała słodko:

– Mogę ci za to zdradzić, co mnie pociąga.

– Lepiej nie – odparł Konrad stanowczo, zdecydowany nie dać się wciągnąć w kolejne bezsensowne przekomarzania.

– Czemu nie chcesz? – Klaudia zwolniła i samochód toczył się wolno wśród pól kukurydzy. Odwróciła się w stronę chłopaka, uśmiechnęła promiennie i spojrzała mu prosto w oczy z taką mocą, że zmiękł i nie zdobył się na przygotowaną wcześniej stanowczą odpowiedź.

– Jakoś się boję – rzekł tylko.

– A niesłusznie, bo to ty mnie pociągasz – rozpromieniła się Klaudia, zadowolona, że rozmowa przebiega zgodnie z jej planem, i dodała gwałtownie gazu.

– Widzisz, nie na darmo się bałem.

– Konrad, ja mówię poważnie.

– Ja też. Powiedz lepiej, czy jadłaś coś dzisiaj? – spróbował skierować rozmowę na inne tory.

Klaudia spojrzała na niego zaskoczona.

– Coś tam jadłam, dlaczego pytasz?

– Bo ukradłem dla ciebie dwa serdelki i bułkę w stołówce. Nie było cię na obiedzie, więc pomyślałem, że może oszczędzasz.

Klaudia z piskiem zahamowała na poboczu, a Konrad poleciał całym ciężarem ciała do przodu.

– Co zrobiłeś?

– No przepraszam – odpowiedział, masując sobie stłuczony łokieć. – Głupi jestem, takie beznadziejne jedzenie, nie gniewaj się, ale nie było cię ani na śniadaniu, ani na obiedzie i...

– Ty mi to robisz z premedytacją.

– Co ci robię?

– Chcesz, żebym się w tobie na śmierć zakochała.

Konrad, zdenerwowany, nieświadomie gniótł trzymane w ręku parówki.

– Bo buchnąłem dla ciebie kiełbasę?!

– Bo się o mnie troszczysz. I jesteś z tymi swoimi serdelkami tysiąc razy bardziej romantyczny niż niejeden w srebrnym mercu z diamentami w dłoni. – Powiedziała to i spojrzała na niego tak wymownie, że aż wcisnął się z całej siły w fotel, uciekając przed aż nadto wyraźnie zasugerowaną propozycją.

Znów nie zdołał zdobyć się na brutalną stanowczość. Nagle zrobiło mu się gorąco.

*

Zpracowany i wiecznie niewyspany Konrad nawet nie zauważył, kiedy minął miesiąc i kazano mu się ustawić w kolejce w biurze.

Pierwsza wypłata. Magiczny moment.

Konrad poszedł za szklarnie i dobrze ukryty za krzakiem czarnego bzu oglądał otrzymane banknoty. Nie miał jeszcze konta, więc pierwszy zarobek otrzymał w gotówce. Schmidt pracujący od wielu lat z Polakami przyzwyczyił się już, że niektórzy z nich wolą wypłatę w tej staroświeckiej formie.

Konrad stał, a promienie zachodzącego słońca ozłacały banknoty, przydając im jeszcze większej mocy. Tysiąc pięćset euro, kilkakrotnie przeliczone i poukładane od największego do najmniejszego nominału. Tyle pieniędzy jeszcze nigdy nie miał w ręku. Koledzy zwinęli swoje wypłaty i schowali do kryjówek, a wielu pojechało, jak zwykle pod koniec miesiąca, do miasteczka, aby się rozerwać. Twierdzili przy tym, że Schmidt płaci śmiesznie mało, ale Konrad był innego zdania.

Tysiąc pięćset euro to sześć tysięcy złotych. To oznacza sześć tysięcy cegieł albo dwa tysiące pustaków przyzwoitej jakości. Spróbował sobie wyobrazić, ile to jest sześć tysięcy cegieł.

Nie znał się na budowlance, w przeciwieństwie do ojca, i jakoś nie palił się do tego fachu. Przypuszczał, że może wystarczy na jedną ścianę. Wyobraził ją sobie na tle zieleni ich lasu. Murowana, solidna, czerwona ściana z sześciu tysięcy cegieł.

Kawałek własnego domu.

Postanowił schować wypłatę w sejfie u Schmidta, jak robili to niektórzy, i nie roztrwonić ani jednej cegły, to znaczy ani nawet dwudziestu pięciu centów. Skromne wyżywienie tu dostawali, dach nad głową był.

Największym wyzwaniem było oszczędzanie na jedzeniu, bo przy tak wytężonej pracy fizycznej i umysłowej bez dodatkowych posiłków stale chodził głodny. Kolacja była o osiemnastej, a potem jechał na kurs i jeszcze uczył się wieczorami w jadalni lub w biurze razem z Klaudią. Głód ścisnął mu żołądek, a natrętne myśli o jedzeniu utrudniały pracę.

Późnym wieczorem wracał do wspólnego pokoju, w którym smakowite zapachy wypełniały powietrze. Konrad zaciskał pięści w spodniach, mył się, długo szczotkując zęby, i szedł spać. Byle do rana, o ósmej podawano śniadanie.

Ale jego młody organizm zaczął się buntować. Nieustannie śniło mu się jedzenie, kiełbasa – taka soczysta, z chrupiącą skórką, jaką jadł na swoim pożegnalnym ognisku, albo ta nieszczęsna bawarska golonka, którą na wynos kupowali sobie w miasteczku jego koledzy – wydawało mu się, że na tym świecie nie ma nic smaczniejszego. Albo bułki z żółtym serem i masłem czy choćby

zwykły suchy chleb, byle wreszcie pod dostatkiem.

Jeśli kiedyś będę miał pieniądze – pomyślał któregoś wieczoru, gdy w brzuchu tak mu burczało, że musiał wyjść na zewnątrz – to pójdę do największego supermarketu w Krakowie, wezmę najszerszy wózek i kupię tyle jedzenia, ile się zmieści. Potem wszystko zjem i pęknę.

Kiedyś. Kiedy dom już będzie stał; nie tylko jedna ściana z sześciu tysięcy cegieł, ale wszystkie ściany i okna, i dach. Oczywiście brązowy. Po raz tysięczny zapatrzył się w ciemne pola i wyobraził sobie własną łąkę pod lasem i piękny, choć malutki dom. W środku w przytulnych pokojach śpi rodzeństwo, a matka siedzi w kuchni i ogląda telewizję. Ilekroć to sobie wyobrażał, a robił to prawie codziennie, następował bolesny moment otrzeźwienia. Bo na ganku wymarzonego domu zawsze stała Weronika. Była cała przemoknięta, choć wcale nie padał deszcz, i patrzyła tak smutno, że od razu tracił ochotę na dalsze rozmyślania.

Wtedy też wrócił szybko do pokoju, bo wołał męki, jakie wywołuje zapach pieczonej bawarskiej golonki, niż ten koszmar nieustannych wspomnień.

Tęsknił za Weroniką rozpaczliwie w każdej chwili dnia i nocy.

Wieczorami wpatrywał się w ekran telefonu komórkowego, zupełnie bez sensu oczekując odpowiedzi na swoje niewysłane wiadomości. Codziennie opowiadał jej, co się wydarzyło, pisał o swoich uczuciach i planach. Potem wszystko kasował.

Nie był głupi, wiedział, że nie może inaczej.

Starał się też nie buntować zbyt i nie rozpaczać. Nie po raz pierwszy życie udowodniło mu, że jego uczucia nikogo nie obchodzą, że nie jest kimś na tyle ważnym, by domagać się jakichkolwiek praw. Zaciśnął zęby i starał się przetrwać. Jak zawsze. Tyle że teraz było to wyjątkowo trudne.

Wszedł do środka, położył się, przykrył kocem i mimo woli westchnął tak rozpaczliwie, że kartki ze słówkami, położone na stolyczku koło łóżka, sfrunęły równym ślizgiem na podłogę, a Tobiasz, który przyszedł na chwilę do kolegów, by wspólnie zjeść zamówioną golonkę, spojrział na niego badawczo spod nastroszonych brwi.

Po chwili namysłu wziął swój talerz i przysiadł na brzegu łóżka kolegi, a Konradowi aż się słabo zrobiło od smakowitej woni uderzającej go prosto w twarz. Oparł głowę na poduszce, by opanować mdłości, i z przerażeniem stwierdził, że chce mu się płakać.

A przecież był taki twardy. Już od wielu lat nie zmusił go do płaczu ani ojciec alkoholik, ani bieda, ani żadne inne problemy. Tymczasem wyglądało na to, że pokona go zwykła bawarska golonka. Spanikowany zaciśnął powieki i udawał, że śpi.

Dzięki temu Tobiasz przyjrzał mu się spokojnie z bliska. Konrad był bardzo blady, miał głębokie sińce pod oczami i wyglądał o wiele mizerniej, niż gdy miesiąc temu rozpoczął tu pracę. Początkowo Tobiasz myślał, że nowy kolega jest tak zaabsorbowany Klaudią, która wyraźnie wzięła go na celownik, że stracił apetyt. Nikt tu na dłuższą metę nie zdołał wytrzymać na oficjalnym wikcie i byli tacy, co na jedzenie tracili większość zarobków. Codziennie kursował samochód do miasteczka i ktoś zbierał zamówienia na produkty spożywcze. Tylko ten nowy nigdy niczego nie chciał.

Tobiasz sądził, że znienawidzi Konrada – faworyta szefa i przede wszystkim Klaudii, ale tak się nie stało.

Trudno było nie polubić kogoś, kto zawsze jest pod ręką, każdą pracę wykonuje dobrze, a przy tym się nie chwali, nie robi kariery i w żaden sposób nie wykorzystuje swoich sukcesów. Konrad zachowywał się tak, jakby ich w ogóle nie zauważał.

Dzień po dniu rósł szacunek Tobiasza dla chłopaka, który potrafił wykazać się całkowitą obojętnością na wdzięki Klaudii, natrętnie i na różne sposoby mu podsuwane, przy jednoczesnym zachowaniu wszelkich zasad dobrego wychowania. Konrad był dla niej tak grzeczny i opiekuńczy jak nikt wcześniej, ale jednocześnie stworzył dystans nie do pokonania. Po raz pierwszy od lat to ona płakała, wciskając głowę w poduszkę, i czekała na choćby najmniejszą oznakę wzajemności.

Tobiasz sądził, że to przemyślana taktyka, i podziwiał jej skuteczność, plując sobie w brodę, że sam na to nie wpadł.

Codziennie wieczorem patrzył przez okno, jak tych dwoje żegna się po kursie, i miękły mu

kolana, a krew pulsowała w skroniach na widok różnorodnych sztuczek, jakimi piękna Klaudia próbowała nakłonić Konrada, by ją odprowadził do pokoju.

Po dwóch tygodniach uwierzył w niemożliwe. Najwyraźniej Klaudia nie wszystkim była niezbędna do szczęścia.

Tego wieczoru, po raz pierwszy od zerwania, odetchnął swobodnie i uśmiechnął się szczerze. Przyszła mu do głowy zuchwała myśl, że może on także mógłby funkcjonować bez Klaudii. Początek swojego wyzwolenia zawdzięczał Konradowi i zdawał sobie z tego sprawę.

Ale prawdziwa sympatia do nowego kolegi narodziła się pewnego dnia podczas dziesięciu godzin wspólnej pracy, kiedy to w trybie pilnym trzeba było przesadzić setki sadzonek do osobnych pojemników. Rośliny wyjątkowo szybko wyrosły i należało sprawnie, a jednocześnie fachowo wykonać robotę, ponieważ była to bardzo droga odmiana. Tobiasz wybrał Konrada do pomocy i się nie zawiódł. Pracowało im się doskonale. Nowy szybko opanował technikę i robota sprawnie się posuwała.

Wtedy właśnie uporem i cierpliwością Tobiasz wydusił z Konrada informację, że jest on zakochany w dziewczynie, która pozostała w Polsce. Wprawdzie żadnych bliższych szczegółów nie udało mu się uzyskać, ale Tobiasz niewiele potrzebował, by szybko wyobrazić sobie blondwłosą piękność w typie Klaudii, która z zimną krwią rzuciła chłopaka. Wiedział bardzo dobrze, jak to boli, więc czuł się od tej pory szczególnie z Konradem związany, i przekonany, że łączy ich podobne traumatyczne przeżycie.

Teraz, patrząc na podkrążone oczy i zapadnięte policzki kolegi, zrozumiał następny element łamigłówki.

Nowy musiał być bardzo biedny. Pracowało tu już wcześniej kilka osób, które ze względu na trudną sytuację materialną oszczędzały na wszystkim, a zwłaszcza na jedzeniu, ale nikt długo tego nie wytrzymał. Ciężka praca robiła swoje, i albo wyjeżdżali po dwóch miesiącach, albo zmieniali radykalnie nawyki i przepuszczali wszystkie pieniądze, wiecznie planując zmianę swojego życia od przyszłego miesiąca. Nie chciał, żeby Konradowi coś takiego się przytrafiło. Szkoda by było chłopaka.

Spokojnie wziął scyzoryk, odkroił znaczną część golonki pokrytej chrupiącą skórką i położył na drugim talerzu. Konrad nie ukradł sobie, jak wszyscy inni, widelca ze stołówki, więc pożyczyl mu swój zapasowy.

Oparł się wygodnie o ścianę, trącił stanowczo śpiącego w ramię i powiedział:

– Hej, nie śpij, pomógłbyś koledze.

Konrad natychmiast otworzył oczy i wyprostował się gotów do działania.

– Co trzeba zrobić? – zapytał cokolwiek słabo, ale przytomnie.

Tobiasz spojrział na niego z mimowolnym podziwem.

– Widzisz, mam taki problem – zaczął – ta golonka jedzona w kółko od czterech lat tak mi obrzydła, że już nie mogę. Cieszyłbym się, gdybyś mi pomógł. Pogadalibyśmy.

Konrad chciał się oburzyć, zaprotestować, powiedzieć, że przecież nie potrzebuje i w ogóle, ale przeszkodził mu niekontrolowany napływ śliny do ust oraz bezceremonialnie podsunęty pod nos talerzyk i wetknięte do ręki sztucce.

– Nie będziesz chyba taki i nie odmówisz koledze? – naciskał Tobiasz.

– Nie będę – odparł cicho Konrad, który rozszyfrował podstęp, ale ponieważ łyzy, tym razem wdzięczności, znów zdradziecko omal się nie polały, nic więcej nie powiedział. Wziął widelec i wpakował sobie do ust wielki kawał mięsa.

Dzień pierwszej wypłaty zapamiętał na zawsze, nie tylko dlatego, że otrzymał tak bardzo potrzebne mu pieniądze, ale przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w życiu poczuł, jak smakuje bezinteresowna ludzka życzliwość.

*

Następnego dnia pracowało mu się wyjątkowo dobrze. Przed siedemnastą wszystko było zrobione, a on, umyty i przebrany, wsiadł do służbowego samochodu, w którym czekała już Klaudia.

Pięć minut później po dobrym nastroju pozostało jedynie smętne wspomnienie. Aluzje, dowcipy, szermierka słowna, a wszystko wokół jednego tematu. Jak zwykle.

Na zajęciach zupełnie nie mógł się skupić. Postanowił już nigdy nie dopuścić, by rozmowa z Klaudią wymknęła się spod kontroli. Choć wiedział, że ta wrażliwa i miła dziewczyna, która tyle przeszła w życiu, nic złego nie miała na myśli, był zdania, że posuwa się za daleko.

Nie da się już sprowokować i będzie rozmawiał z Klaudią wyłącznie o kursie i pracy. Nie gwarantowało to sukcesu, bo Klaudia każdą rozmową potrafiła tak pokierować, że zanim się obejrzał, już przerzucali się dwuznacznymi aluzjami. Z Klaudią nie było bezpiecznych tematów.

– Rozumiem, że przyjechał pan tutaj z piękną dziewczyną – usłyszał tuż obok po niemiecku.
– Ale gramatyka to też fascynująca sprawa – spróbowała zażartować nauczycielka prowadząca kurs, kiedy kolejna prośba, by Konrad przeczytał ćwiczenie, pozostała bez odzewu.

Nikt się nie roześmiał, bo nikt nie zrozumiał, co lektorka powiedziała. Konrad też nie wiedział, co miała na myśli, ale jej typowo belferski wzrok był dokładnie taki sam jak jej koleżanek w Polsce, więc pojął to, co najważniejsze.

Koniec rozmyślań o Klaudii w trakcie zajęć. Wziął ołówek do ręki i zmusił się do skupienia na omawianym właśnie ćwiczeniu.

*

Wracali na farmę, a rozmowa, mimo solennych postanowień Konrada, zaczęła toczyć się absolutnie nie tak, jak planował. Zanim zdążył dobrze zapiąć pasy, już się tłumaczył, odpieszał żartobliwe docinki i nie wiedział, co odpowiedzieć na prowokujące pytania.

– Przecież wiesz, że ja nic nie mam. Jestem biedny – próbował żartować, lecz był zły, kiedy Klaudia bez ogródek zaproponowała mu małżeństwo. – To wbrew twoim zasadom.

– Nie szkodzi, ale masz charakter, a to się najbardziej liczy. A wszystko, czego ci brakuje, zdobędziesz.

– Niekoniecznie.

– Och, jestem tego pewna. Albo ja zdobędę, bo też potrafię. A najlepiej jak zrobimy to razem.

– I co? – zapytał, kolejny raz dając się wciągnąć w dyskusję. – Zamieszkaż ze mną, z mamą i czwórką rodzeństwa na wsi, praktycznie na końcu świata, z dala od cywilizacji.

– Jak to z mamą? – zdziwiła się Klaudia. – Przecież masz zamiar wybudować dom.

– Tak, ale dla nas wszystkich. On nie będzie nigdy wyłącznie moją własnością, to dom rodzinny, rozumiesz?

– Niezupełnie i myślę, że taki okaz jak ty to powinni na wystawach za pieniądze pokazywać. Przecież możesz wybudować tylko dla siebie.

– No widzisz, nie rozumiemy się.

– Ależ oczywiście, że się rozumiemy, nic się nie martw, coś się wymyśli, ja też w końcu mam jakieś oszczędności.

– I chciałabyś mieć za męża faceta, który kocha inną? – Konrad sięgnął po ostateczny jego zdaniem argument.

– Czemu nie? – roześmiała się beztrąsko Klaudia. – Byłam już z takimi, co kochali inną. Po pewnym czasie to przechodzi i wszystko toczy się normalnie.

– Jesteś niemożliwa – powiedział Konrad, z pośpiechem wysiadając na parkingu przed biurem, szczęśliwy, że wspólna jazda wreszcie się skończyła. – Cześć!

– Jestem wspaniała – powiedziała słabo.

I tak pewnie nie usłyszał. Wysiadł szybko i poszedł w kierunku kwater.

Klaudia oparła głowę o kierownicę i zacisnęła powieki. Nie mogła opanować łez. Gorąca struga popłynęła jej po policzku. Wiedziała doskonale, że robi z siebie idiotkę, że Konrad nie znosi takiego nacisku, nie zna się na żartach, ale traciła przy nim zupełnie inwencję. Był odporny na aluzje, powłóczyście spojrzenia, prowokacje.

Pomysł, by wyjść za tego biedaka, był rzecz jasna absurdalny, nie miała zamiaru tego robić. Chciała tylko choć przez moment poczuć to miłe uczucie władzy nad nim, choćby przez chwilę

wiedzieć, że mu zależy.

Zaraz bym z nim zerwała – powtarzała sobie przez ostatnie tygodnie, lecz czuła coraz wyraźniej, że chyba nie zdobyłaby się na to.

W zbolełej duszy powoli zaczynało kiełkować rozpoznanie.

Zakochałam się – pomyślała z niedowierzaniem.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno, w pokojach pracowników gasły kolejne światła. Było zimno, ale Klaudia dalej siedziała w samochodzie, bez siły do dalszych działań.

*

Jesień okryła góry.

Wiktoria Jaworska szła sobie spokojnie pełną drogą, wydeptaną i wyjeżdżoną między dwoma dorodnymi łąkami przez pokolenia przodków. Tyle dziesiątków lat ta droga wszystkim służyła, teraz nikt jej nie chciał.

I tylko dlatego, że z drugiej strony położyli asfalt.

I co z tego? A do lasu którądy ludzie mają chodzić?! A do sąsiadów z drugiej strony potoku? Samochodem naokoło jeździć?

Szła do Kościelniaków, bo już nie mogła spokojnie patrzeć na to, co się dzieje. Weronika chudła i mizerniała, aż żal było patrzeć. Wiktoria Jaworska nie wiedziała, dlaczego Konrad uciekł od tej ślicznej i miłej dziewczyny tak daleko, choć mogła sobie wyobrazić, w przeciwieństwie do tych młodych kóz, że chciał zarobić. Ale dlaczego tak nagle, bez pożegnania? – jak kiedyś podsłuchiwała. Trzeba by to wyjaśnić.

Żal jej było Weroniki. Obydwie z Kasią nie miały szczęścia w miłości.

Kasia polubiła Marcina, ale on wyjechał i coś Jaworskiej mówiło, że z tego nic nie będzie. Ale Kasia trzymała się dobrze i była szansa, że sobie powoli poradzi z porażką. Weronice jednak należało podać rękę w imię starej przyjaźni.

Przyjaźniły się kiedyś z Kościelniakową, choć na pewno babcia Weroniki nie była skora do zwierzeń, ale wtedy takie były czasy, każdy miał jakieś tajemnice.

Jaworska minęła kolejne gospodarstwo. Pola ziały pustką. Trawa była wprawdzie skoszona, lecz zboża żadnego właściciela już nie siali, nawet ziemniaków nie sadzili. Nie opłacało się podobno.

Teraz to się już nic ludziom nie opłaca – pomyślała.

Przeskoczyła przez strumyk płynący na dnie jaru i wyszła z lasu na polanę. Widać już było dom Kościelniaków.

Piękny, murowany z czerwonej cegły, pomalowany na biało, z drewnianym gankiem i spadzistym dachem. Zawsze tego domu Kościelniakom zazdrościła. W czasach, kiedy go budowano, były tylko dwa projekty do wyboru. Piętrowy prostokąt albo parter z jaskółką. A Kościelniakowa uparła się i dostała pozwolenie na minidworek szlachecki, wprawdzie bez obowiązkowych kolumnienek, ale wdzięczny i oryginalny.

Od frontu ładny ganek zapraszał do wejścia, a duże brązowe okna ozdobione kwiatami błyszczały zawsze czystymi szybami. Z drugiej strony rozległy taras, również zatopiony w roślinach i wchodzący gładko w wypielęgnowany ogród i sad, zapraszał, by na nim leżeć i wypoczywać.

Jaworska weszła na podwórko. Przystanęła i z prawdziwą przyjemnością spojrzała na ogród. Podziwiała Weronikę. Młoda, a tak potrafiła zadbać o obejście. Ile codziennej pracy trzeba, by utrzymać w takim stanie bujny wiejski ogród? Bardzo dużo. Musiała to naprawdę lubić.

Jaworska nacisnęła klamkę, drzwi od ganku były otwarte. Sobota. Może Kościelniak jest w domu albo Weronika. Z nią też chętnie by porozmawiała na osobności.

*

Weronika leżała wyciągnięta na tapczanie i czytała jedną ze swoich ulubionych powieści. Z przyjemnością zanurzała się w świecie pełnym ciepła, w którym bohaterowie mieli dużo rodzeństwa, ich dom zawsze był pełen ludzi, serdeczny i otwarty, a cisza i milczenie nie ciążyły nad

kuchennym stołem jak chmura gradowa. Główne bohaterki po perypetiach zawsze szczęśliwie łądowały w ramionach ukochanych, wartościowych młodzieńców.

Te książki stanowiły jej źródło wiedzy o życiu rodzinnym. Kiedyś bardzo zazdrościła, prawdziwym i fikcyjnym postaciom, domu i rodziny. Potem postanowiła sama sobie stworzyć taką atmosferę. Nawet kuchnię urządziła zgodnie z książkowym opisem. Niewiele jednak osiągnęła.

Wokół pięknego drewnianego stołu nikt nie siedział dłużej, niż koniecznie musiał, nie pił herbaty i nie rozmawiał. Na tablicy korkowej, zawieszanej nad stołem, miały być zdjęcia, wiadomości i wszelkie ciekawostki dotyczące życia rodziny. Od dwóch lat świeciła pustką. W tym domu nie toczyło się życie rodzinne godne udokumentowania.

Weronika podniosła głowę znad książki. Od dłuższego już czasu mimowolnie rejestrowała rozmowę na dole. Nie zwracała na to uwagi, bo myślała, że któryś z sąsiadów przyszedł pogadać z ojcem, ale teraz, zaciekawiona, odłożyła książkę.

Głosy na dole stawały się coraz donośniejsze. Ktoś się kłócił. I to zawzięcie. Weronika pokręciła z niedowierzaniem głową.

Kto mógł sprowokować jej wiecznie zamkniętego i obojętnego ojca do tak gwałtownych reakcji?

Otworzyła cichutko drzwi i podeszła bosą do barierki przy schodach. Zdumiona rozpoznała głos babci Jaworskiej dobiegający z kuchni.

A cóż ona tu robi?

Weronika wychyliła się przez balustradę. Zobaczyła plecy kobiety i twarz ojca wykrzywioną jakimś nieznanym wściekłym grymasem.

– A nie przyszło ci do głowy – usłyszała Weronika – że możesz się mylić?

Twój ojciec wyrażała aż nadto widocznie, że taka myśl nigdy mu do tej pory w głowie nie powstała.

Prychnął tylko z oburzeniem i zaczął wkładać kurtkę.

Weronika cofnęła się.

– Wychodzę – usłyszała jego słowa. – Czy mam panią odprowadzić?

Babcia Jaworska nawet się nie poruszyła.

– Co zrobisz – zapytała – jeśli się okaże, że nie miałeś racji i twoja matka też jej nie miała?

Odpowiedziało jej milczenie.

Po chwili Weronika usłyszała trzaśnięcie drzwi. Znała ten głuchy odgłos. To ojciec uciekł. Jak zwykle, gdy rozmowa toczyła się w kierunku dla niego niewygodnym.

Weronika wstrzymała oddech. Co zrobi teraz Jaworska, czy będzie jej szukać po domu? Nie miała ochoty na rozmowę.

Ale Jaworska wstała i wyszła.

*

Konrad obudził się znowu o czwartej nad ranem.

Co za okropna godzina. Najtrudniej ciemnym światłem zapomnieć o tkwiących głęboko troskach.

Jesteś żaloszny – z tą myślą się ocknął i już wiedział, że nie zaśnie. Wstał, wziął swój plecak i wyszedł. Nikt nie zareagował, choć łóżko skrzypiało jak zawsze.

Nie on jeden nie mógł tutaj spać. Niby żartowali, pili, kiedy mogli, i trzymali fason, ale w głębi serca każdy ukrywał smutek.

Konrad naciągnął stary sweter i poszedł w stronę pierwszej szklarni. Całą noc paliło się tam delikatne światło wystarczające do odrabiania zadań domowych.

Otworzył książki i zaczął przepisywać zdania z ostatniej lekcji. Uczył się całych ćwiczeń na pamięć. Była to metoda dość żmudna, ale dawała nadspodziewanie dobre rezultaty.

Monotonne wkuwanie zdań odpędzało choć na chwilę ponure wspomnienia.

Nauka była jego sposobem na zajęcie myśli, a ponieważ często musiał uciekać się do tej metody, szybko robił postępy w przyswajaniu wiedzy i po dwóch miesiącach z prawdziwą satysfakcją zauważył, że rozumie już wiele z tego, co mówili Schmidt oraz nauczycielka na kursie.

Raz nawet roześmiał się z jej dowcipu, jako jedyny w grupie, bo wreszcie pojął sens. Dowcip nie był zbyt śmieszny, ale satysfakcja ogromna.

W połowie listopada spadł śnieg i zrobiło się bardzo zimno. Konrad z bólem serca zainwestował sto cegieł w buty, sweter i kurtkę zimową. Całe miasteczko udekorowano już świątecznie, choć do Bożego Narodzenia było jeszcze daleko.

W pracy wszyscy zaczęli powoli odliczać czas do wyjazdu. Raz w roku Schmidt dawał wszystkim pracownikom dwutygodniowy płatny urlop i pilnował firmy tylko z tymi, którzy nie chcieli wyjeżdżać.

Za pracę w dwa świąteczne tygodnie wypłacał podwójne wynagrodzenie, wielu więc kalkulowało, jak by tu pogodzić chęć spędzenia świąt w rodzinnym domu z pragnieniem dodatkowego zarobku. Do końca listopada trzeba było zgłosić w biurze swoje plany i wszyscy zawzięcie o tym dyskutowali.

– Jedziesz na święta do domu? – pytał Tobiasz Konrada w zimny, zasypany śniegiem poranek.

Zanim Konrad zdążył otworzyć usta, Tobiasz opowiedział mu, po raz kolejny, o własnych planach, charakteryzując barwnie swoją liczną rodzinę, życzliwą i ciepłą atmosferę, jaka zazwyczaj panowała u nich w czasie świąt, po czym zakończył smutnym wnioskiem, że jednak rodzice, siostra i wszystkie ciotki razem wzięte już mu jakoś do szczęścia przestały wystarczać.

Pomyślał o Klaudii, której miał zamiar oświadczyć się pod choinką, i spojrzał na Konrada, który starał się wyciągnąć roślinkę z doniczki delikatnie, ale bezskutecznie.

– Uważaj – powiedział odruchowo.

– A co niby cały czas robisz? Ale zaraz nie wytrzymam i jak ją prasnę...

– Jedziesz na święta do domu? – powtórzył Tobiasz pytanie.

– Jadę. – Twarz Konrada rozjaśniła się mimowolnie, natychmiast jednak okrył ją smutek.

– Bądź choć raz kolegą i opowiedz o tej dziewczynie, która cię puściła kantem. Niezły to musiał być, swoją drogą, kawał cholery.

Konrad wyprostował się gwałtownie, a trzymana do góry nogami doniczka spadła na rozłożoną na podłodze folię i mała, rzadkiego koloru, dalia zakończyła żywot, zanim zdążyła go na dobre zacząć.

– Uważaj, chłopie, pójdziesz z torbami, jak będziesz najlepsze sadzonki dekapitował.

Konrad się zdenerwował.

– Myślisz, że szef będzie bardzo wściekły? – zapytał.

Tobiasz pokiwał głową, po czym kopnął cenną dalię na kupę kompostu leżącą w kącie.

– Niech jej ziemia lekka będzie – powiedział. – Nie będziemy po niej płakać. – No, nie przejmuj się – dodał, widząc, że Konrad jest przejęty szkodą. – Zawsze coś się zniszczy, byleby nie za dużo. A poza tym tobie szef i tak wszystko wybaczy.

Konrad się uśmiechnął.

– Ciekawe, ile taka mała zaraza kosztuje? – zapytał, patrząc z jawną niechęcią na złamaną sadzonkę i setkę innych czekających na przesadzenie.

– Dokładnie nie wiem, na pewno nie jest taka droga jak orchidee. Choć chyba dużo kosztuje, bo szef się o nie trzęsie; trudno je zamówić, to wymaga czasu i wysiłku.

Konrad wstał na chwilę z klęczek i wyprostował zgarbione plecy. Spojrzał na długie rzędy równo ustawionych doniczek i przeliczył błyskawicznie na godziny pracy. Wyszło sporo.

Westchnął i klęknął z powrotem. Mógł usiąść przy specjalnie przygotowanym stole, ale tak mu się jakoś najlepiej i najszybciej pracowało. Tobiasz się do niego dostosował i wyglądali jak dwaj pokutnicy.

– Jadę na święta – powtórzył Konrad. – Wszyscy tam na mnie czekają. Budowę domu trzeba będzie powoli zacząć. Wybrać projekt i tak dalej. Podobno moje rodzeństwo nic innego nie robi, tylko od świtu do zmroku okupuje komputer i wybiera model. Bardzo się cieszą – dodał. – Mama też.

– A ty?

– Ja też, jasne – szybko odpowiedział Konrad.

– Wiem, wiem. – Tobiasz pokiwał głową. – Jak taka cholera człowiekowi za skórę zalezie, to już go nic nie cieszy.

Konrad zdenerwował się widocznie. Na wszelki wypadek odłożył trzymaną w ręce doniczkę na bok.

– Słuchaj – powiedział. – Muszę ci coś wyjaśnić. Ta dziewczyna jest bardzo dobrym człowiekiem.

– Jasne – rzucił sarkastycznie Tobiasz. – A Klaudia jest miła i nieszczęśliwa, prawda? Konrad milczał.

– No właśnie, tak się znasz na dziewczynach jak ja na sztuce współczesnej.

– To nie tak, ja tylko nie lubię o tym mówić.

– A to się akurat daje zauważyć.

– Ale chciałbym, żebyś wiedział, że ona mnie nie zostawiła, tylko ja ją.

– Co? – zdziwił się Tobiasz i przesunął na bok, przygniatając niechcący trzy cenne sadzonki.

– Jasna cholera – zaklął. – Znowu szkody. Schowaj to szybko pod odpadkami i pamiętaj, w razie czego zwalę na ciebie, bo tobie szef wszystko daruje. Zołza z tej twojej panny. Już cztery sadzonki się przez nią zmarnowały.

– Tobiasz, nie ma sprawy, zwal na mnie, ale nie mów tak o niej, proszę cię.

– Mówić nie muszę, ale swoje i tak wiem.

Tobiasz wstał, wyprostował zdrętwiałe kolana i zaklął szpetnie.

– Słuchaj, jestem tu szefem czy nie? – zapytał zniecierpliwiony.

– Jasne, że jesteś – odpowiedział zaskoczony Konrad.

– To rozkazuję ci siadać przy stole, bo mam już dość tej pozycji na mnicha.

– Dobrze, nie denerwuj się. – Konrad pozbiierał swoje rzeczy i usiadł przy stole. Z ulgą wyprostował kręgosłup.

Pracowali do późnej nocy, nie rozmawiali już jednak ani o świętach, ani o dziewczynach.

O dziesiątej zajrzał do nich szef, pochwalił za dobrze wykonaną robotę i obiecał premię, co rzadko mu się zdarzało. Przyniósł jeszcze jedną dobrą wiadomość. Dwóm dziewczynom pracującym tutaj od pięciu lat skończył się kontrakt. Zwalniały pokój dwuosobowy i Schmidt zaproponował Tobiaszowi i Konradowi przeprowadzkę.

Zgodzili się chętnie. Zdecydowali, że przeniosą się zaraz po świętach.

*

Wśród uczestników kursu też wyraźnie czuło się świąteczną atmosferę. Semestr kończył się za kilka dni i tradycyjnie na ostatnich zajęciach ogłaszano wyniki konkursu na najlepszego kursanta.

– Będziesz najlepszy, jestem pewna, że wygrasz – emocjonowała się Klaudia, jadąc z Konradem na ostatnie zajęcia. – Zdobędziesz sto euro i sławę.

– Nie pleć, Klaudia, w życiu nic nie wygrałem. Takim jak ja to się nie zdarza.

– Kto ci nabił do łba takich bzdur?

– Nigdy się dobrze nie uczyłem.

– I co z tego? Jakie to ma teraz znaczenie? Jesteś dorosły, tamto zostało w tyle, zamknięty rozdział.

– Żeby to było takie proste. Mówił ci kiedyś ojciec, że jesteś beznadziejna?

– Nie, wręcz przeciwnie, zawsze powtarzał, że jestem wyjątkowa i lepsza niż wszyscy.

– Widzisz, i to ma wpływ na ciebie do tej pory. Pewności siebie ci nie brakuje.

Klaudia zamyśliła się przez chwilę.

– Masz rację, obaj byli głupi, i twój ojciec, i mój. Kiedy my będziemy mieć dzieci, zawsze będziemy do nich mówić mądrze, dobierać słowa, żeby miały w życiu łżej.

– Klaudia, my nie będziemy mieć dzieci.

– Będziemy. Jak zechcesz, to nawet trójeczkę, poświęcę dla ciebie moją figurę, docień to.

– Proszę cię, nie żartuj.

– Ależ ja mówię poważnie. Po pierwsze, zawsze dostaję facetów, którzy mi się podobają, a po drugie, czy ty nie widzisz, jak my świetnie do siebie pasujemy? Jestem w stosunku do ciebie całkiem szczerą, co mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło, z nikim. I nie stosuję żadnych sztuczek, bo nie działają, niestety. A ty? Powiedz prawdę, przecież dobrze się ze mną czujesz.

– Tak – potwierdził Konrad po dłuższym namyśle. – Ale ja jestem już zajęty i to się nigdy nie zmieni...

– To zależy wyłącznie od ciebie, zrób tylko pierwszy krok.

– Klaudia, proszę cię, daj już spokój, bo będę musiał zrezygnować z naszych wspólnych jazd.

– Chyba żartujesz. I co, przestaniesz się uczyć?

– Nie, ale postaram się inaczej to zorganizować.

Klaudia już się nauczyła traktować jego słowa poważnie. Westchnęła smutno. Nie miała pojęcia, co by tu jeszcze powiedzieć. Jej baza danych nie miała żadnych wzorów postępowania z takim przypadkiem.

– Niech ci będzie, przestanę. Ale że będziesz najlepszy, tego jestem pewna.

– Nie będę.

– Załóż się.

– Nie ma mowy, z tobą nigdy w życiu. Na pewno bym przegrał.

Przegrałby, bo rzeczywiście był najlepszy.

Wrócił szczęśliwy, przyjął gratulacje i obietnicę dodatkowej premii świątecznej od zadowolonego Schmidta i nawet udało mu się samodzielnie, w miarę składnie, podziękować.

To byłby całkiem dobry dzień, gdyby nie szarpiąca tęsknota. Ogromne pragnienie, by pochwalić się sukcesem przed Weroniką. I przed jej ojcem. Pokazać mu.

Co pokazać? Ty głupku – skarcił sam siebie, kładąc się wieczorem do łóżka. – Jakiś nędzny dyplom ze szkoły wieczorowej? To ci dopiero sukces. Żalony jesteś, chłopie. Ojciec Weroniki miał rację. Naprawdę jesteś żalony.

*

Rano znalazł pod poduszką paczuszkę zapakowaną w różowy papier i przewiązaną wstążką. Trzymał ją w rękach ogłupiały, otoczony coraz liczniejszą gromadą rechoczących i gwizdzących kolegów.

– Otwieraj! – wołali.

– Może ci pomóc?

– Ty lepiej uważaj, żeby to nie była jakaś bomba.

– To jest na sto procent bomba i chyba nawet wiem od kogo.

– Otwórz, no bądź kolegą – poprosił Piotrek, który zajmował łóżko obok. – Mogę? – zapytał.

– Jasne – odpowiedział Konrad. – Myślę, że to w ogóle nie dla mnie, ktoś się chyba pomylił.

– No, wiemy nawet kto.

Piotrek rozdzierał błyszczący papier. Pod spodem było ładne pudełko. Podniósł wieczko i gwizdnął przeciągle.

– Ja nie mogę! – mruknął, wyciągając czerwoną koronkową koszulkę. Bardzo krótką, bardzo koronkową i niezmiernie przezroczystą.

Temperatura w pokoju wzrosła znacząco.

Konrad, wściekły, wyrwał Piotrkowi z rąk koszulkę i rzucił na łóżko.

– Głupie żarty! – krzyknął.

– Słuchaj – powiedział Piotrek, zbliżając się do niego niebezpiecznie. – Ty się może zdecyduj, czego chcesz, bo tak dziewczyny traktować nie można.

– Jestem, do cholery, zdecydowany, ale dzięki za radę.

– Palant jesteś i tyle. Jak mi by taka dziewczyna...

– Chcesz? – zapytał Konrad, rzucając w niego nieszczyśnym prezentem. – To bierz! –

krzyknął i wybiegł z pokoju.

*

Znalazł Tobiasza w wielkiej kotłowni; sprawdzał temperaturę pieców.

– Jak myślisz – zapytał – Schmidt byłby bardzo zły, gdybym zrezygnował z kursu?

– Byłby wściekły. Co ci się nagle stało? Przecież bardzo dobrze ci idzie.

Konrad westchnął.

– Dłużej tego nie wytrzymam. Może szef by zrozumiał?

– Zapomnij. On cię bardzo lubi, ale dobrze wiesz, że język to podstawa.

– Wiem, no to powiedz mi. Nie ma stąd jakiegoś autobusu do miasta?

– Już rozumiem. Klaudia.

– To taka delikatna sprawa.

– Z Klaudią nie ma delikatnych spraw, to bardzo twarda zawodniczka.

– Nie wiem, jak jest naprawdę. Jedno nie ulega wątpliwości. Dalej jeździć z nią nie mogę.

Czuję się odpowiedzialny.

– Co?! Czujesz się odpowiedzialny?! Za kogo? Za Klaudię, która tyle związków rozbiła?

– Dobrze. Sorry, Tobiasz. Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać. Muszę sam sobie poradzić. Nie gniewaj się, stary.

– Nic nie szkodzi. Męska przyjaźń ponad wszystko, Klaudiom na pohybel.

Tobiasz sprawdził ostatni zegar na piecu i wyszedł z kotłowni.

– Chodź – zawołał Konrad. – Stąd nie kursuje żaden autobus. Schmidt ci nie da samochodu służbowego, zresztą nie masz prawa jazdy.

– Mam kartę motorowerową.

– To bardzo dobrze, bo przyszła mi do głowy genialna myśl. Kupisz sobie motor.

– Mógłbym na motorze?

– Nie mógłbyś, ale to chyba jedyne wyjście. Do miasta w osiemdziesięciu procentach droga przez pola. Zostawisz motor na pierwszym parkingu i dalej na nogach. Nie jest daleko.

– A może bym sobie motorower...

– Daj spokój! Wstyd na czymś takim jeździć. Ja ci pokażę maszynę.

– Wiesz, ja nie mam za dużo pieniędzy...

– Tak, tak. Musisz oszczędzać, ale jak to zobaczysz, szczeka ci opadnie, chyba że z ciebie flak spleśniały, a nie mężczyzna.

*

Motocykl był przepiękny.

Czarny, błyszczący, świetnie utrzymany. Prawdziwe чудо. Nawet flak spleśniały chciałby go mieć, a Konrad był prawdziwym mężczyzną i zakochał się w tej maszynie od pierwszego wejrzenia.

Jazda próbna była jak dowód miłości – scementowała związek na wieki. Dwa dni później motocykl zmienił właściciela. Sprzedający żegnał się z nim czule i długo udzielał Konradowi złotych rad, jak się z tym cennym okazem obchodzić, w których to radach bezpieczeństwo pojazdu wybijało się zdecydowanie ponad troskę o kierowcę.

Konrad stał na parkingu i podziwiał nowy nabytek. Czegoś tak fascynującego jeszcze nigdy w życiu nie miał. Obaj z Tobiaszem zrobili już kilkanaście jazd próbnych, za każdym razem odkrywając nowe zalety.

– Ale czy wystarczy ta karta motorowerowa – wahał się nadal Konrad.

– Albo to, albo Klaudia trzy razy w tygodniu.

– Dobra – zdecydował się Konrad – jutro jadę na motorze.

– Musiała ci nieźle dopieć – rzekł Tobiasz bez satysfakcji i pochuchał w nieskazitelnie czyste lusterka.

*

Pod koniec grudnia z trzema wypłatami i porządną premią w kieszeni, czując się jak bogacz, Konrad wracał na święta do domu. Dwadzieścia tysięcy cegieł układało się w jego wyobraźni w kilka solidnych ścian.

Bus gładko sunął po równiutkich niemieckich drogach. Wszyscy pasażerowie spali, tylko on oparł głowę o chłodną szybę i zapatrzony w ciemność, przetykaną maleńkimi światełkami mijanych domów, rozmyślał.

W ręce trzymał włączoną komórkę i nadawał w myślach kolejny esemes do Weroniki, że już jedzie, że będzie w domu przez dwa tygodnie, tęskni niewyobraźalnie i kocha.

Wbrew wszelkiej logice wpatrywał się intensywnie w ekran telefonu w oczekiwaniu odpowiedzi na swoją niewysłaną wiadomość.

Tworzył kolejne komunikaty i wysyłał telepatycznie w noc.

Ciemność płynęła za oknami, kolejne światła gasły. Szczęśliwi ludzie kładli się do snu we własnych domach, otoczeni bliskimi.

Bus podskakiwał na dziurach w asfalcie, bo już minęli granicę.

Zmęczeni mężczyźni spali, ułożywszy się, jak kto mógł.

Gromada wędrowców gnana tam i z powrotem. Głowy oparte o szyby, skręcone niewygodnie długie nogi, wypchane torby pod stopami – tak przez kilkanaście godzin, po to by choć przez tydzień poczuć namiastkę prawdziwego życia we własnym domu.

Dla wielu z nich ich małżeństwa były już tylko fikcją, tak naprawdę istniały wyłącznie na papierze, o życiu swoich dzieci wiedzieli niewiele, a sztuczne świąteczne życie nie oddawało w niczym prawdy o ich rodzinach.

Konrad też ze ściśniętym sercem opuścił farmę. Pożegnał się ze Schmidtem i Tobiaszem, wspólnie z kolegami złożył szybkie życzenia Klaudii, po czym uciekł i tak się schował, że nie znalazła go aż do odjazdu busa.

Gardził sam sobą za to tchórzostwo, ale nie miał sił na konfrontację. W miarę jak nadchodziła godzina wyjazdu, tracił optymizm. A im bliżej było do domu, tym większy ogarniał go strach.

Gdy kierowca wysadził go o szóstej rano przy moście nad rzeką, odmawiając wjechania stromą drogą pod sam dom, był zmęczony, przybity i całkowicie pozbawiony nadziei, że coś dobrego może go jeszcze spotkać w życiu.

Kierowca wykręcił z trudem na skrzyżowaniu łączącym dwa mosty i buksując energicznie, ruszył w dalszą trasę, obsypując Konrada zamarzniętymi grudkami śniegu.

Od białych zasp odcinały się ciemne pnie drzew. Konrad ruszył powoli między nimi, rozpoznając w mroku zarys doskonale znanej drogi do domu.

*

Wyciągnął klucz ze schowka nad drzwiami i, starając się nie czynić żadnego hałasu, wszedł do domu.

Stanął w ciemnym przedsionku i zanim zapalił światło, zatrzymał się chwilę, chłonąc znajomy zapach domu rodzinnego. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że jego dominującą nutą były, podgrzane przez piec, pleśń i wilgoć oraz mokre drewno.

Włączył światło, a nieosłonięta niczym słaba żarówka oświetliła szeroką sień, przeszkłone drzwi do ogrodu, dokładnie naprzeciwko wejściowych, i odrapane ściany.

Konrad stał, nie mogąc się nadziwić, jak wielu rzeczy wcześniej nie zauważał. Zapadnięta podłoga, zniszczone drzwi, smród wilgoci. Do tej pory myślał, że po prostu są biedni. Teraz, po trzymiesięcznej nieobecności, zrozumiał, że sytuacja rodziny jest tragiczna.

Przygniotło go też nagle zrozumienie spoczywającej na nim odpowiedzialności.

Wziął głęboki wdech, wyprostował się, zacisnął mocno dłonie na torbach, z którymi przyjechał, i zakopał głęboko wszelkie myśli o Weronice.

Westchnął jeszcze raz, poćwiczył mięśnie twarzy i surowo oraz stanowczo przypomniał sam sobie, że jego jedynym celem w życiu jest zbudowanie domu, to znaczy budynku, który będzie schronieniem dla rodziny.

Jakiegolwiek marzenia o tym, że sam mógłby być w nim szczęśliwy z kimś dla niego bardzo ważnym, należy uznać za nierealne i po prostu głupie.

Żalodne.

To słowo wyjaśniało wszystko.

Wyprostował plecy, uśmiechnął się na próbę i nacisnął klamkę drzwi do kuchni. Ledwie delikatnie skrzyknęły zawiasy, rozległ się zbiorowy pisk radości słyszalny z pewnością na końcu świata. Czekali na niego wszyscy.

*

Święta mijają, a Konrad czuł się, jakby oglądał film z samym sobą w roli głównej. Wychodził z domu, tylko kiedy było to absolutnie konieczne, głównie do kościoła albo w dni powszednie do urzędów. Machinalnie wykonywał wszystkie czynności – jadł, składał życzenia, uśmiechał się i odpowiadał na liczne pytania. Ale żył tylko jedną myślą. Co zrobi, co powie, jeśli stanie z Weroniką twarzą w twarz?

A okazji nie brakowało. W przerwie między Bożym Narodzeniem a sylwestrem codziennie bywał w mieście. Rozpoczął żmudne starania o pozwolenie na budowę i z przerażeniem patrzył, jak pieniądze przeznaczone na cegły pochłaniają różnego rodzaju opłaty, których nie przewidział. Mur na tle własnego lasu małał w oczach, a lista wymagań, które trzeba było spełnić przed rozpoczęciem budowy, zdawała się nie mieć końca.

Szybkemu załatwianiu spraw nie sprzyjało też świąteczne rozleniwienie i spowodowany urlopem brak połowy urzędników uprawnionych do wbijania kolejnych pieczętek i wydawania zaświadczeń.

Konrad się zapał: brał na litość, straszył przełożonymi, nękał kilkakrotnie w ciągu dnia, stał tak długo przy biurku i nie dawał się odprawić, aż urzędnicy litowali się i w końcu znajdowali wyjście z sytuacji. Był nawet z prośbą o pomoc u samego burmistrza.

Bo piętrzyły się przeszkody, wydawałoby się, nie do pokonania. Konrad nie był właścicielem działki, sprawa o podział majątku trwałaby zbyt długo. Budowę domu, którego wyłączną właścicielką byłaby matka, wszyscy odradzali, stukając się obrazowo w głowę dla podkreślenia absurdalności pomysłu.

Ale Konrad, przemyślawszy wszystkie za i przeciw podczas jednej z wielu bezsennych nocy, uznał to za najlepsze, bardzo logiczne wyjście.

Przecież nie budował domu wyłącznie dla siebie.

To miał być dom rodzinny. Ten, którego nie zdołał duchowo ani materialnie stworzyć jego ojciec.

*

Unikał spotkania z Weroniką i czuł się z tym nieswojo.

Codziennie tłumaczył sobie, że postępuje słusznie, i zgadzał się z przytoczonymi przez siebie argumentami, ale nic to nie pomagało. Męczące wyrzuty sumienia towarzyszyły mu przez cały czas.

Późnym wieczorem, kiedy rodzeństwo kładło się już spać, a matka porządkowała kuchnię, siadał przy drzwiach do ogrodu i patrzył na widoczny przez szybę dom Weroniki. Na światło w jej oknie, palące się codziennie do późna w noc. Czekał godzinami, dopóki nie zgasło, i martwił się o nią.

Po tygodniu był tak zmęczony, że urzędnicy na jego widok sami dzwonili do swoich kolegów, by przyspieszyć procedury. Przed pierwszym styczniem matka zdążyła podpisać najważniejsze dokumenty i należało tylko czekać na odpowiedź.

Sprawa budowy była we wsi jednym z głównych tematów świątecznych rozmów. Chwalono Konrada za obrotność, spekulowano na temat sumy pieniędzy, którą przywiózł, i kłócono się

zaciekle, czy zdoła postawić ten dom, czy też nie.

Basia Smężyk po raz kolejny się obraziła, bo matka nie chciała jej powiedzieć, ile Konrad zarabia. Wszystkie siostry Jarzębskiej mieszkające w okolicy przyjmowały w tym roku wyjątkowo dużo świątecznych gości, bo zainteresowanie tą historią było duże, a ciekawscy nie mieli odwagi się zgłosić bezpośrednio do Konrada.

Jego postawa budziła uznanie i zjednywała sympatię.

Ludzie pukali się wprawdzie palcem w czoło na wieść, że haruje od rana do wieczora na dom dla matki, choć sam przecież niczego nie ma, ale podziwiali go w głębi ducha.

Po świętach wujek Janek, który był bardzo dobrym murarzem, choć oczywiście pokonanym przez nałóg, obiecał zarezerwować sobie miesiąc na wiosnę, wykopać z ekipą fundamenty i wznieść mury, wszystko za symboliczną opłatę.

Wujek wprawdzie miał swoje problemy, typowe dla przedstawicieli tego zawodu, ale domy stawiał wspaniale i Konrad był mu bardzo wdzięczny za ofiarowaną pomoc.

Mógł spać spokojnie i się nie martwić. Ale nie spał.

W rzadkich chwilach, które spędzał w łóżku, rzucał się bezradnie w pościeli, nie mogąc opanować tęsknoty za Weroniką.

Czasem miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć ukochaną. Wił się w udreće na samą myśl o tym.

Sen nie przynosił ulgi, wręcz przeciwnie; Konrad niczego nie bał się tak bardzo jak snu. Tam jego żelazna wola nie działała. Ukryte pragnienia i tęsknoty wymykały się spod kontroli i trzeba było zużywać wiele sił, by o nich zapomnieć i wrócić do rzeczywistości.

Nic dziwnego, że wyczerpany snuł się po domu jak cień i jedynymi dobrymi chwilami były rozmowy z braćmi i siostrą o budowie, która miała rozpocząć się wiosną. A oni mogli na ten temat rozprawiać bez końca.

Projektować, kłócić się oraz cieszyć niezmaconą i niewyczerpaną dziecięcą radością.

*

Jego sińce pod oczami i wiecznie zaciśnięte szczęki sprawiały, że Jarzębska nie mogła skupić myśli na wiosennych planach, a rozmowy o domu, który zawsze był jej marzeniem, nie cieszyły jej zupełnie.

Też słabo sypiała, bo rozmyślała o Konradzie i o Weronice. Rozłąka nie pomogła zbliznić ran i już pewnie nie pomoże. Z nadzieją na szczęśliwy finał trzeba będzie się pożegnać.

Weronika też sprawiała wrażenie głęboko nieszczęśliwej i nie miała najmniejszego zamiaru wyjeżdżać do wielkiego miasta, jak to sugerował w lecie jej ojciec.

Była już późna noc. Jarzębska usłyszała delikatne skrzypienie drzwi w pokoju Konrada.

No tak – pomyślała. – Dopiero teraz poszedł spać. Znowu.

Zerwała się z łóżka, spojrzała na śpiącą obok Natalkę i odruchowo poprawiła jej kołdrę. Potem narzuciła szlafrok i zaczęła chodzić od ściany do ściany, próbowała się uspokoić. Coś w tej sytuacji było okropnie nie w porządku i czuła gniotące poczucie winy. Dokładnie takie samo jak to, które ścisnęło jej żołądek, gdy mąż wracał w nocy i robił awantury, budząc śpiące dzieci, a one przerażone wpatrywały się w nią, oczekując obrony.

A ona nie wiedziała, co robić.

Sama wystraszona do granic, łagodziła sytuację, jak tylko mogła, ukrywała prawdę o nałogu przed dziećmi i wsią i starała się być dla dzieci i ojcem, i matką.

Ale wyrzuty sumienia pozostawały. Zła była na siebie, że nie umiała ich obronić, kiedy ojciec karał je niesprawiedliwie i krzywdził.

To paskudne, wywołujące mdłości uczucie powróciło tego ranka. Miała nadzieję, że Konrad będzie szczęśliwy.

Kiedy do niego dzwoniła, zawsze był zadowolony, opowiadał o pracy, którą polubił, miłym szefie, kursie językowym i Tobiaszu. Odnosiła wrażenie, że wszystko układa się dobrze.

Konrad nigdy nie pytał o Weronikę.

Ale kiedy go tylko zobaczyła pierwszego dnia w drzwiach, z uwieszonymi na rękach

i nogach braćmi, zrozumiała, że to tylko pozory. Konrad po prostu miał silną wolę i doskonale potrafił udawać. Sama go tego przecież nauczyła.

– Nie opowiadajcie w szkole, co się dzieje w domu – tłumaczyła dzieciom. – Nie przejmujcie się, tata nie jest pijakiem, tylko czasem dziwnie się zachowuje, bo jest zdenerwowany i zmęczony.

Otarła gorącą łzę i wyszła z pokoju. Zarzuciła długą kurtkę zimową na szlafrok, włożyła buty i wyszła na zewnątrz. Miała wrażenie, że głowa za chwilę jej pęknie. Albo serce.

Dlaczego znowu Konrad, czemu ciągle on? Najwięcej wycierpiał od ojca i znowu ma być nieszczęśliwy? Dlatego, że ona nie ma odwagi stanąć w jego obronie. Głupia, słaba kobieta.

Czy wtedy, w lecie, podczas rozmowy z Kościelniakiem nie dała sobie wmówić, że jej dziecko jest gorsze i musi się wycofać, bo jest biednym synem pijaka?

Na swoją obronę miała tylko jedno: była przekonana, że ojciec mówi w imieniu córki. Nie przynosiło jej to ulgi, bo dobrze pamiętała zaskoczone, przerażone spojrzenie dziewczyny, która nic złego jej nigdy nie zrobiła, a którą od tej pory codziennie okłamywała.

Była piąta rano, a ona miała wielką ochotę obudzić Kościelniaka i dać mu w pysk.

Jak mogła dać sobie wmówić, że Weronika stoi pod każdym względem wyżej od jej syna?

Chciała też spoliczkować solidnie siebie samą – tę dziewiętnastoletnią, za to, że zgodziła się chodzić z chłopakiem, od którego śmierdziało alkoholem, że nie zerwała z nim po pierwszej zabawie na weselu, kiedy upił się i wrzeszczał z kolegami, a ona doświadczyła gryzącego uczucia wstydu za ukochaną osobę.

Dlaczego nie umiała być bardziej stanowcza?

Trochę marudziła, obrażała się nawet, ale zawsze na krótko i Krzysztof Jarzębski, jej wielka miłość, szybko się przekonał, że ona zgodzi się na wszystko. Może wtedy jeszcze istniała jakaś szansa na zmianę.

W dniu ślubu sprawa była już przegrana. Krzysztof Jarzębski, który praktycznie bez żadnych warunków dostał wszystko, czego chciał, nie miał okazji się nauczyć, że rodzina to coś, o co trzeba walczyć, coś wartościowego i ważnego. Nauczył się tylko, że rodzina po prostu jest, zawsze. Bez względu na to, co on robi, zawsze może tam wrócić i po dłuższych lub krótszych dąsach wszystko zostanie mu przebaczone.

A potem nałóg zapanował nad nim i na jakąkolwiek zmianę było już za późno.

Nie umiała zawalczyć wtedy o przyszłego męża, bo była za młoda. Nie obroniła też dzieci, ale teraz nic już jej nie usprawiedliwiało.

Tylko tchórzostwo, wieczny strach.

Na samą myśl, że mogłoby dojść do konfrontacji, że musiałyby stanąć przed kimkolwiek i walczyć o swoje, cierpła jej skóra i miała ochotę się ukryć.

Pomyślała o Konradzie, którego pozwoliła skrzywdzić po raz kolejny. Mądrym, dobrym, pracowitym. Nie zaprotestowała, kiedy usłyszała, że nie jest dostatecznie dobry.

Wstyd palił ją tak bardzo, że nie czuła zimna przemoczonych nóg ani mrozu szczypiącego policzki.

Wróciła do domu z mocnym i stanowczym postanowieniem znalezienia wyjścia z sytuacji.

*

Weronika wkładała talerze do zmywarki. Było już bardzo późno. Ojciec spał.

Minął już na szczęście ostatni świąteczny dzień. Boże Narodzenie nie zostawiło miłych wspomnień.

Nie mieli bliskiej rodziny, bo Kościelniak był jedynakiem, a z krewnymi mamy nie utrzymywali żadnych kontaktów z nieznanymi Weronice przyczyn. Ojciec nie życzył sobie rozmowy na ten temat.

Wpadały tylko dalsze ciotki, kuzynki taty, ale zawsze na krótko, bo atmosfera świąteczna u Kościelniaków mroziła nawet najbardziej wytrwałych gawędziarzy. Gospodarz milczał i patrzył ponuro w obrus. Nie reagował na pochwały ani na miłe słowa i żaden temat nie wydawał mu się ciekawy.

Najbardziej lubił spędzać święta w milczeniu, ponuro zapatrzony w okno albo przed ekranem telewizora.

Ich Wigilia we dwoje to była co roku droga przez mękę. Na samą myśl o jednej nawet minucie spędzonej przy wigilijnym stole z ojcem, w absolutnym milczeniu, Weronika dostawała gęsiej skórki.

Dostali wiele zaproszeń od ciotek i od Kasi, by razem świętować ten wyjątkowy wieczór. Ale ojcowi oczywiście żadna z tych opcji się nie spodobała.

Dawniej Weronika przyjęłaby wszystko w milczeniu i połykała ukradkiem łyżę zamiast barszczu z uszkami. W tym roku po raz pierwszy zbuntowała się i postanowiła sama iść na Wigilię do ciotki Wandy, którą bardzo lubiła, by choć przez chwilę ogrzać się przy ich wesołym świątecznym stole i zapomnieć o kłopotach.

Kościelniak przyjął jej decyzję bez słowa i bez widocznych oznak smutku. W miarę jak zbliżały się święta, sprawiał nawet wrażenie zadowolonego z takiego obrotu sprawy.

W wigilię rano podarował Weronice skórzany portfel i życzył znalezienia właściwej drogi życiowej i kariery za granicą.

Weronika nie potrafiła z siebie nic wydusić. Tak było jej przykro, że tylko uściskała go nieśmiało i na tym zakończyli wspólne świętowanie.

Potem poszła na górę do swojego pokoju. Wykąpała się, starannie nałożyła odżywkę na włosy i ponad pół godziny leżała w wannie, dolewając gorącej wody, i starała się nie myśleć o niczym.

Wysuszyła włosy i włożyła czarną sukienkę. Długo układała fryzurę i malowała paznokcie. W końcu usiadła. Zegar na dole wybił jedenastą.

Do wieczora pozostało jeszcze niewyobrażalnie dużo czasu, którego zupełnie nie miała czym zapełnić. Chyba że rozmyślaniami, ale to stanowczo nie był dobry pomysł.

Zawsze o tej porze przychodzili Jarzębscy z życzeniami. Ciekawe, czy dzisiaj też przyjdą?

Nagle poczuła, że nie ma ochoty czekać i drzeć ze strachu na każdy dźwięk dzwonka. Konrad i tak z nią nie będzie chciał rozmawiać. Po co przeżywać to jeszcze raz?

Wstała z krzesła, ściągnęła z siebie czarną świąteczną sukienkę, złożyła ją w kostkę i schowała do reklamówki. Włożyła spodnie, zwykły sweter i zaplotła włosy w warkocz.

Nie będzie tu siedzieć. Pójdzie do cioci już teraz. Przed wieczorą jest mnóstwo roboty, przynajmniej na coś się przyda. Łatwiej było znieść mijające godziny w serdecznej atmosferze, w gwarze wielu głosów i pracy. Bo Konrad, na którego przyście jednak w głębi serca liczyła, nie pojawił się ani tego dnia, ani w ciągu całego swojego urlopu.

Widziała go wielokrotnie z okna, jak szedł drogą w dół lub wracał. Nie patrzył w stronę jej domu. Wieczorami światło w jego oknie rzadko się paliło. Widocznie wcześniej kładł się spać. Nie spędzał bezsennych pustych godzin na rozpaczliwych rozmyśleniach tak jak ona.

Tym samym sytuacja wyjaśniła się do końca. Dalsze robienie sobie jakiegokolwiek nadziei jest bez sensu, a wszelkie działania z góry skazane na klęskę.

Nic dziwnego, że Weronika się poddała. Już nie szukała okazji do spotkań, nie próbowała się dowiedzieć, dlaczego Konrad tak ją traktuje.

Nie miała tylko zupełnie pomysłu, co zrobić z resztą życia. Z całym tym czasem, jaki jej pozostał. Co zrobić z życiem nikomu niepotrzebnym?

*

Nadszedł dzień wyjazdu Konrada.

Na godzinę przed jego wyjściem z domu matka trzęsącymi rękami przygotowywała kanapki, które wypadły jej z rąk, a ich zawartość wysypywała się na blat kuchenny. Po głowie kołatała się bolesna myśl, że w żaden sposób nie zdołała pomóc synowi.

W domu panował pożegnalny rozgardiasz, dzieci biegały za bratem, pomagając w pakowaniu niewielkiego bagażu. Co chwilę ktoś się zjawiał, żeby o czymś ważnym powiedzieć, przypomnieć lub tylko po raz kolejny się pożegnać.

Chłopcy zdołali już włożyć kurtki, znaleźć każdy swoją parę rękawiczek, czapkę i szalik, nie bez trudności stwierdzić, co do kogo należy, i pokłócić się z Natalką. Siostra, wystrojona w otrzymany od Konrada komplet zimowy w modnym fioletowym kolorze, od piętnastu minut stała, zgrzana, przy drzwiach i popędzała braci.

Konrad uściśnął mocno matkę i wyszedł otoczony rodzeństwem oraz trzema psami. Cała gromada pomaszerowała w dół do mostu, gdzie Konrad był umówiony z kierowcą. Zasadniczo bus podjeżdżał po każdego pasażera pod dom, ale stroma, oblodzona droga okazała się nie do pokonania.

– Kiedy wrócisz? – dopytywał się Kuba, wciskając się najstarszemu bratu to pod jedno, to pod drugie ramię.

– Nie wiem, na pewno na wiosnę, jak zrobi się ciepło.

– Będziemy wtedy budować dom?

– No przecież już ci powtarzałem tyle razy.

– Ale czy ja też będę mógł?

– Ty na pewno nie – wtrącił się starszy Mateusz. – Jesteś za mały, tyle razy ci to mówiliśmy.

Kubie błysnęły w oczach łzy.

– Ale ja też bym chciał – powiedział załośnie.

– Będiesz budował – pospieszyła bratu z pomocą Natalka. – Będiesz najważniejszy, oni jak chcą, niech robią sami, a ty po prostu będziesz zarządzał.

Chłopcy nadęli się natychmiast, słysząc te słowa, psy czekały jak szalone, Konrad złapał Kubę wolną ręką pod pachę i pobiegł w dół, wołając:

– Oto nowy szef budowy, czapki z głów, panowie.

Za nim pędzili Mateusz z Bartkiem, a torba, którą nieśli, kolebała się i podcinała im nogi.

Wesoła i bardzo głośna gromada wzbudzała powszechne zainteresowanie, odsłaniano firanki, uchylano okna i machano Konrowi na pożegnanie, wykrzykując ostatnie dobre rady i żarty.

Tylko jeden dom stał pusty i milczący. Nie drgnęła w nim nawet firanka. Konrad wiedział o tym, choć nie patrzył w tamtą stronę.

*

Jarzębska stała przed domem. Rozkrzyczana gromada zniknęła już za drzewami porastającymi głęboki jar biegnący wzdłuż drogi. Ośnieżone gałęzie błyszczały setkami iskier, ale ich obraz rozmazywał się we łzach.

Otarła oczy rękawem i rozejrzała się. Zobaczyła jakąś postać w ogrodzie sąsiadów ukrytą za rozłożystym świerkiem.

Szczupła sylwetka w czarnym, długim płaszczu i białej czapce z charakterystycznym pomponem. To na pewno była Weronika.

Jarzębska poczuła falę gorąca przepływającą od serca aż po zmarznięte czubki palców. To była jej ostatnia szansa.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, pobiegła w dół wąską ścieżką prowadzącą do domu sąsiadów, która w tym roku, nietknięta ludzką stopą, tonęła w śniegu.

Przedzierała się przez zasy, odtwarzając w pamięci bieg niewidocznej dróżki. Łapiąc otwartymi ustami mroźne powietrze, które paliło aż w płucach, i przewracając się raz po raz w śnieg, dobiegła do posesji Kościelniaków. Pokonała idealnie odśnieżone podwórko, okrążyła dom i wbiegła do sadu, zanurzając się w zasy po pas.

Kierując się widocznymi w śniegu głębokimi śladami pozostawionymi przez Weronikę, dotarła pod świerk.

Staneła, z trudem łapiąc oddech.

Zaskoczona Weronika patrzyła na nią, przyciskając oszroniony szalik do twarzy, cała obsypana drobnym śnieżnym puchem, który od rana okrywał okolicę. Musiała już długo tak stać.

– Witaj, dziecko – przywitała się niezręcznie Jarzębska.

Weronika odwróciła głowę i wbiła wzrok w ścianę lasu. Milczenie stawało się coraz bardziej krępujące. Matka Konrada oddychała ciężko po mozolnym biegu.

– Może ciocia wejdzie do domu – zaproponowała Weronika. – Szuka ciocia pewnie taty. Jest w kuchni, ogląda telewizję.

– Nie, ja do ciebie przyszedłam, muszę szybko ci coś wytłumaczyć, bo nie masz ani minuty do stracenia, musisz się spieszyć.

– Ja? Wręcz przeciwnie, ja mam bardzo dużo czasu...

– Weroniczko, oni zaraz odjadą, czekają tylko na Wojtka Sochnała, a wiesz, że on się zawsze spóźnia, w tym cała moja nadzieja. Długo by to wszystko trzeba tłumaczyć, to moja wina, powinnam przyjść do ciebie już wcześniej. Teraz chciałabym cię tylko prosić, żebyś dała mojemu synowi ostatnią szansę, żebyś za nim pobiegła.

Weronika uśmiechnęła się na te bezsensowne słowa.

– Jesteś mądrą dziewczyną – mówiła niezrażona Jarzębska. – Zrozumiesz, że on nie wie, co robić, ale bardzo cię kocha, trzeba za nim iść, przecież wy nie możecie tak dalej oboje cierpieć.

Twarz Weroniki rzeczywiście zastygła nagle w widocznym bólu.

– Niech się ciocia nie gniewa – zawołała. – Ja pójdę, ale do domu. I dajcie mi wszyscy wreszcie spokój.

Odwróciła się i z trudem zaczęła przedzierać przez zasy.

– Weronika, proszę cię, on cierpiał przez całe święta. Jemu ktoś głupot nagadał i nie ma odwagi, ale jedno z was musi się przełamać. Weronika! – krzyknęła jeszcze głośno, bo dziewczyna zniknęła już za rogiem domu.

Spojrzała na drogę niknącą w zapadającym szybko mroku i ujrzała wracające dzieci. Szły blisko siebie, w zupełnej ciszy. Nie przypominały rozhukanej niedawno gromady, którą słyhać było w całej okolicy.

Jarzębska zatrzęsała się z zimna i żalu.

Wszystko na nic. Konrad pojechał, Weronika uciekła i pewnie obraziła się na dobre. Znikąd ratunku.

Powoli ruszyła z powrotem.

Trzęsąc się z zimna, przeszła przez podwórko Kościelniaków pokryte puszystym nalotem. Śnieg robił co mógł, żeby zniweczyć efekty pracy pedantycznego ojca Weroniki, który niedawno równiutko i do czysta odgarnął wszystko łopatą i nawet pozamiatął kostkę brukową przed wejściem.

Weroniki nigdzie nie było. Jarzębska popatrzyła na solidne brązowe drzwi i przez chwilę poczuła ogromną chęć, by wejść do środka.

Nie wystarczyło jej odwagi. Zatrzęsała się tylko i spuściwszy głowę, powlokła się do domu.

*

Weronika stała w ciemnym pokoju i patrzyła przez okno. Mali Jarzębscy minęli już trzy rosnące w połowie drogi lipy i powoli szli dalej. Weronika gryzła róg rękawiczki i myślała gorączkowo. Iść do tego durnego Konrada po raz kolejny, znowu się zbłąźnić, znowu się dowiedzieć, jak bardzo jest mu obojętna?

Nawet nie próbuj, idiotko – skarciła się w myślach – mało ci jeszcze tego narzucania się? Ile razy trzeba ci powiedzieć: nie, żebyś zrozumiała?

Odpowiedzi na te pytania pojawiały się same. Ale Weronika stała nadal w pokoju, nie zdejmując kurtki.

W słowach Jarzębskiej odnalazła sens, którego od miesiący bezskutecznie poszukiwała. Musiało się wtedy w lecie stać coś ważnego, o czym ona nie wie.

Bez przyczyny Konrad by się przecież tak nie zmienił.

Weronika gryzła w nerwach koniec zamarznętej rękawiczki. Z ośnieżonego płaszcza kapąły powoli na czystą podłogę bure krople wody. Dziewczyna nic nie czuła.

Myślała. Spróbować jeszcze raz? Znowu zaryzykować?

Na podjęcie decyzji być może i tak było za późno. Natalka, Kuba, Piotrek i Michał zniknęli już za zwałistą stodołą i pewnie dochodzili teraz do domu.

Bus z Konradem też prawdopodobnie odjechał.

Weronika zdjęła czapkę, bo śnieg zaczął się topić i po jej karku ciekła nieprzyjemna strużka wody.

Biła się z myślami. Albo pobiegnie teraz, licząc na to, że Wojtek Sochnał na pewno się spóźni, albo za chwilę będzie po wszystkim. Szansa przepadnie.

Przestała się zastanawiać. Zaciągnęła, miejscami mokry, a miejscami sztywny od lodu, szalik mocniej wokół szyi, włożyła czapkę, strzepnąwszy wodę na dywan, i wybiegła na korytarza. Stały tam jej kompletnie przemoczone buty i suche śniegowce ojca. Bez wahania wskoczyła w suche śniegowce i wybiegła.

Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Mróz iskrzył się na śniegu i skrzypiał pod butami. Śnieg rozjaśniał trochę okolicę. Nie namyślając się, Weronika zlekceważyła pięknie odśnieżoną drogę i pobiegła na skróty przez pola. Pomysł nie był dobry. Cztery razy zgubiła buta i musiała po niego wracać w skarpetkach. Ostry mróz wdzierał się pod szalik i kurtkę tak, że po chwili poruszała się w swoim ubraniu jak w zbroi.

Łąka skończyła się przy domu sąsiada. Weronika wybiegła na drogę i ślizgając się, zbiegła w dół w pobliże mostu. Zza dużego drzewa wyrzała, co się dzieje.

Na moście stał bus. Zapalone światła i pracujący silnik sugerowały gotowość do natychmiastowego odjazdu. Trzasnęły drzwi, ktoś wysiadł i klnąc siarczyście, oglądał coś z tyłu samochodu. Weronika, trzęsąc się z zimna, weszła głębiej w las. Zapadła się natychmiast po pas w zaspę, do butów nasypał jej się śnieg, ale to już nie miało znaczenia. Zimniej i tak już być nie mogło.

Powoli przedarła się w dół i wzdłuż strumyka doszła do rzeki. Stała przy ostatnim drzewie i zrozumiała, co się stało. Kierowca najwyraźniej chciał zawrócić na wąskim mostku i zakopał się w zaspie. Teraz wsiadł do busa i postanowił wyjechać za wszelką cenę. Silnik zawył, płosząc śpiące wrony, a spod tylnych kół wytrysnęła fontanna zamarznętego śniegu.

Weronika podskoczyła parę razy, bo zaczynała przymarzać do podłoża. Nie miała pomysłu, co robić dalej. Zapukać do busa i wywołać Konrada na chwilę rozmowy? Co można sobie wyjaśnić w tak krótkim czasie?

Bus wył na moście rozpaczliwie, nie mogąc wydostać się z zasy. Znowu trzasnęły drzwiczki i trzech osiłek wyskoczyło, żeby go popchnąć. Jeden zapadł się natychmiast w śnieg i, nie kryjąc swojej opinii na ten temat, zaparł się potężnie. Silnik ryknął ponownie, mężczyźni zostali obrzuceni grudami spod kół, a Weronika pobiegła brzegiem rzeki, nie kryjąc się. I tak nikt by jej nie zauważył.

Rzeka w tym miejscu zakręcała. Za zakolem był drugi mostek, na który wdrapała się nie bez trudu i wyszła na drogę. Na białej płaszczyźnie świecił jasny prostokąt światła padającego z drzwi balkonowych pobliskiego domu. Postanowiła stanąć w tym miejscu, doskonale oświetlona, i czekać. Konrad ją na pewno zobaczy i jeżeli ma w sobie choćby odrobinę ludzkich odruchów, wsiądzie.

Bus, rycząc na całą okolicę, wyskoczył w końcu z zasy, by zakopać się przednim kołem po drugiej stronie, ponieważ kierowca nie zdążył w porę skręcić. Wszystkie znane i nowo utworzone przekleństwa popłynęły w mrok.

W domu, obok którego stała Weronika, skrzypnęły drzwi i wyszedł ojciec z dwoma dorosłymi synami. Weronika cofnęła się w krzaki i ciemność. Trzej mężczyźni zbliżyli się do busa i zaczęli coś tłumaczyć kierowcy, który schował w końcu honor do kieszeni i wysiadł. Jeden z chłopaków zajął jego miejsce. Lekko dodał gazu, ojciec z bratem popchnęli auto, które łagodnie wytoczyło się na drogę. Podjechali jeszcze kawałek do zakrętu, za którym zaczynała się już szeroka i na tym krótkim kawałku nawet prosta droga.

Kierowca szedł z tyłu ze spuszczoną głową i przysięgał sobie solennie nigdy więcej na ten most nie wjeżdżać. Odbieranie pasażerów spod domu i rozwożenie ich było wizytówką firmy

i dawało przewagę nad konkurencją, ale bez przesady.

Młody mężczyzna wysiadł, kierowca podziękował mu pośpiesznie i odjechał czym prędzej. W ostatniej chwili wyminął jakąś ciemną postać, która wyskoczyła mu z krzaków pod samiotkie koła, lecz już nawet kląć nie miał siły.

Konrad rozcierał zmarznięte ręce. Do butów, mimo wysokich cholewek, nasypało mu się sporo śniegu, ale na szczęście zdążył go wytrześć, zanim ruszyli. Zdjął szalik, złożył w kostkę i starał się nie zauważać pełnych potępienia spojrzeń dwóch pozostałych pasażerów, a na kierowcę nawet nie podnosił wzroku. Wszyscy najwyraźniej byli zdania, że konstrukcja mostu, zakręt rzeki oraz gwałtowne opady śniegu zostały przez niego precyzyjnie zaplanowane.

Atmosfera w busie nie sprzyjała przypomnieniu, że wciąż nie ma jeszcze Wojtka Sochnała i trzeba by na niego poczekać. Kierowca, któremu odtajały szczęki, przypomniał sobie wszystkie znane przekleństwa i teraz wymieniał je precyzyjnie, żadnego nie pomijając.

Konrad wyciągnął komórkę i, z trudem trafiając w klawiaturę zmarzniętymi palcami, wybrał numer Wojtka. Ten to jeszcze nigdy nie zdołał zdążyć na czas. Może go ktoś podwiezie do dworca i jeśli się pośpieszy, zdąży ich złapać na następnym przystanku. Sygnał w komórce przemienił się w skoczną muzykę, ale nikt nie odbierał.

Bus skręcił gwałtownie na bok, jakaś postać wyskoczyła nagle na jezdnię.

Pewnie znowu ktoś wraca nietrzeźwy do domu – pomyślał Konrad.

Osunął się niżej na siedzeniu, otulił szczelnie kurtką i starał się nie myśleć o dzieciach czekających gdzieś na tego pijaka.

*

Weronika stała zmarznięta na środku drogi. Światła busa zniknęły już za zakrętem, za chwilę samochód pokaże się na sąsiedniej górze, po czym zniknie na dobre, uwożąc ze sobą Konrada oraz wszelkie jej głupie i naiwne nadzieje.

Spróbowała się poruszyć, ale okazało się to niezmiernie trudne. Zupełnie nie czuła nóg, dłoni również. Za to głowa bolała ją straszliwie, a czoło i policzki były rozpalone.

Zrobiła parę kroków, po czym musiała oprzeć się o drzewo, bo nagle zrobiło jej się słabo.

Z sąsiedniego mostu wyłoniła się jakaś postać. Spokojnie, noga za nogą, bez najmniejszych oznak stresu, zbliżał się Wojtek Sochnał.

– Dobry wieczór – powiedział niepewnie. – Czy pani się... Weronika to ty? Co tu robisz? Wyglądasz jak śmierć na drodze – powiedział i sam się roześmiał z własnego żartu.

Po chwili spoważniał. Weronika się nie odezwała, powoli oderwała się od drzewa, podeszła do niego jakoś dziwnie sztywno, po czym osunęła się na ziemię.

– Kurde, dziewczyno, co ci się stało?

Rzucił w zasy torby podrózne, które trzymał w rękach, i podniósł Weronikę.

– Wychodzi na to, że bus będzie musiał na mnie zaczekać – rzekł z rezygnacją. – Taki mój los, zawsze coś się wydarzy i muszę się spóźnić. Nie zostawię przecież tej biedaczki na drodze.

Wziął dziewczynę na ręce, zaskoczony, jak bardzo była lekka. Cały jej ciężar to chyba ta zamazana kurtka.

– Weronika, obudź się. – Potrząsnął nią, ale bez widocznego rezultatu.

Poczuł lęk. Co jej się mogło stać? Czemu włożyła się tu na zimnie, zamiast siedzieć w domu?

Rozpaczliwie zastanawiał się, co robić. Zadzwoić na pogotowie? Oparł dziewczynę o kolano i jedną ręką zaczął szukać komórki w kieszeni, ale nie mógł jej znaleźć.

– Znowu, psiakrew, zapomniałem.

Trzymając ją mocno, pobiegł przez most i stromą drogą pod górę. Buty ślizgały się na śniegu, oddech stawał się coraz krótszy, a Weronika wbrew pierwszemu wrażeniu była coraz cięższa.

Minął zagajnik z obsypanymi śniegiem drzewami i znalazł się przy łące Kościelniaków. Jeszcze jedno strome podejście i będzie w domu. Już widział światelka z ich kuchni przeblyskujące przez gałęzie drzew z sadu.

Sił mu powoli ubywało, lecz strach o Weronikę nie pozwalał zwolnić. Spoczywała w jego ramionach jak jakieś bezbronne pisklę. Przyciskał ją mocno do serca, żeby choć trochę ogrzać, i czuł, że mógłby tak biec z nią i ochraniać już zawsze.

Nawet nie zauważył, kiedy zgubił obydwie jej buty. Stanąwszy przed drzwiami jej domu, łokciem otworzył sobie drzwi, po czym, bez pukania, wpadł do kuchni Kościelniaków.

Ojciec Weroniki zerwał się zaskoczony z wersalki. Leżał tam wygodnie na poduchach i oglądał jakiś mecz siatkówki.

– Co się tu do diabła dzieje? Coś ty zrobił Weronice?! – zawołał.

– Ja nic – odpowiedział Wojtek zadowolony z siebie – oprócz tego, że chyba uratowałem jej życie.

– Co uratowałeś?

– Życie. Zemdlała na drodze. Gdzie ma pan telefon? Trzeba dzwonić na pogotowie!

Działać, a nie gadać.

Położył Weronikę na wersalce i zaczął rozcierać jej dłonie. Ściągnął szalik i zdjął z trudem sztywną od lodu kurtkę. Dziewczyna była bardzo blada i oddychała słabo.

Kościelniak stał nad nimi, nic nie mówił i nic nie robił.

Wojtek oderwał się od dziewczyny nie bez pewnego wysiłku i złapał słuchawkę stojącego na stoliku telefonu.

– Jaki jest, do cholery, numer pogotowia?!

– Nie wiem, może dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem?

– Dobra, dzwonię.

Wojtek wybrał numer i po kilku sygnałach usłyszał głos w słuchawce.

– Straż pożarna? – zdenerwował się. – Jasna cholera, potrzebuję pilnie numeru na pogotowie.

– Już podaję, a kto mówi? – zapytał znajomo brzmiący głos.

– Wojtek Sochnał, cholera, Weronika zemdlą.

– Wojtek? Weronika zemdlą u ciebie? Mówi Jurek, mam dzisiaj dyżur, co się stało?

– Długa historia. U mnie nie zemdlą, na drodze.

– Na jakiej drodze?

– A czy to do cholery ważne? Pogotowie potrzebne, bo dziewczyna w ciężkim stanie.

– Dobra, nie denerwuj się, zaraz się zadzwoni i przyjadą do ciebie.

– Mówię ci, baranie, że nie do mnie, tylko do Kościelniaków. I pospiesz się... Powiedz im, że droga pięknie odśnieżona, powinni dojechać bez problemu.

– Powiem, ale potem musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Guzik ci opowiem, spadaj – warknął Wojtek do słuchawki, bo tamten już się rozłączył.

Teraz pozostało tylko czekanie.

Usiadł przy Weronice, rozcierał jej sine palce, odgarniał włosy z czoła i otulił kocami. Serce mu przy tym topniało jak wosk. Jarzębski przyglądał się temu zły i jakby sparalizowany, bez słowa i jakiegokolwiek ruchu. W końcu jednak trochę się odblokował. Podszedł do córki, bezceremonialnie odsunął Wojtkę, wziął ją na kolana i zaczął uderzać dłonią po policzkach.

– Weronika! Obudź się! Zemdląś, obudź się – wołał, jakby teraz dopiero do niego dotarło, co się stało.

Wojtek siedział obok zły.

Weronika otworzyła oczy i obaj pochylili się nad nią, waląc się z całej siły głowami.

– Co się stało? – zapytała słabym głosem.

Coś do niej nieskładnie i gwałtownie mówili, ale nic z tego nie mogła zrozumieć. Bolała ją potwornie głowa i piekły usta, a w nogach i rękach czuła dziwną słabość.

W korytarzu rozległo się energiczne tupanie, potem ktoś zapukał i, nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, panie Kościelniak – powiedział młody pielęgniarz mieszkający w sąsiedniej miejscowości. – Podobno córka panu zemdlą.

Wojtek Sochnał powstrzymał się resztką sił, by nie splunąć zamasyście na czyściutką

podłogę i nie zakląć od serca. Bo pielęgniarz jeszcze nie wszedł dobrze do środka, a już zwęszył sensację. Oczy mu się podejrzliwie zaświeciły i biegał wzrokiem po całym pomieszczeniu, próbując zobaczyć i zrozumieć jak najwięcej.

Wojtek postanowił policzyć się z nim przy najbliższej okazji, jak tylko się spotkają prywatnie, podobnie jak z tym głupkiem ze straży i Konradem, bo na pewno miał coś z tą historią wspólnego. Po krótkim namyśle uznał, że Kościelniakowi też by się należał sierpowy, ale postanowił się powstrzymać. Miał zamiar kontynuować znajomość z Weroniką. A wlać i tak było komu.

Tymczasem musiał zakończyć rozważania. Lista osób, z którymi należało się policzyć, wydłużała się niebezpiecznie. Pojawił się na niej lekarz pogotowia, który początkowo spokojnie i profesjonalnie badał Weronikę. Ale kiedy zadał jej kilka pytań, na które cicho odpowiedziała, pozaglądał w jej oczy, potrzymał za dłonie, zmierzył puls i wykonał jeszcze mnóstwo innych, jak się Wojtkowi zdawało, zupełnie niepotrzebnych czynności, nagle nabral niezdrowych rumieńców. Rozcierał jej dłonie, trzymał rękę na czole i popadał w jakieś dziwne zamyślenie. A tu przecież nie było nad czym dumać, tylko trzeba było ratować.

Wojtka krew zalała. Podszedł energicznie do lekarza, mimo wcześniejszego wyraźnego nakazu, żeby wszyscy się odsunęli, i krzyknął:

– Co jest, do diabła, ratuje ją pan czy nie? Jest jakaś diagnoza czy mam dzwonić po inne pogotowie?!

Lekarz spojrział na niego i spytał:

– A pan kim jest dla chorej i jakim prawem pyta?

Wojtek zdenerwowany do granic, bo lekarz trzymał Weronikę cały czas za rękę i głąskał powolnym delikatnym ruchem, ryknął bez namysłu:

– Narzeczony.

W pokoju momentalnie zrobiło się gorąco, pielęgniarz rozluźnił szalik, a jego oczy zrobiły się jak dwie anteny satelitarne.

Ojciec zbladł, zrobił dwa kroki do przodu, po czym cofnął się i wyglądał na kompletnie oglupiałego. W końcu jednak podszedł bliżej.

– Jak to narzeczony? Ja o niczym nie wiem.

– A pan kim jest? – spytał lekarz.

– Ja jestem ojcem – rzekł dumnie – a ten tutaj... – wskazał na Wojtkę.

– Co ten tutaj? – przerwał mu Wojtek. – Ja jestem narzeczonym, znalazłem ją na drodze, uratowałem życie, łączy nas nierozdzielna więź.

– Nie byłbym taki pewien.

– A ojcostwa jest pan pewien? – wypalił Wojtek z grubej rury, bo już go całkiem poniosło. – We wsi różnie o tym mówią. Panie doktorze, taki on ojciec, jak pan profesjonalista i niech pan puści rękę mojej narzeczonej.

Lekarz wstał całkowicie wyprowadzony z równowagi, bo Wojtek wyrwał mu brutalnie dłoń Weroniki.

Kościelniak, najwyraźniej po raz pierwszy w życiu gotów do czynów brutalnych, złapał Wojtkę za sweter, przyciągnął do siebie i już miał się uciec do rękoczynu, gdy Weronika z oszołomieniem przyglądająca się tym całkowicie niezrozumiałym scenom, znowu zemdląca.

Zauważył to tylko pielęgniarz, który na szczęście jako jedyny nie stracił zimnej krwi i zawołał:

– Uspokójcie się, pacjentka zemdląca.

Wywołało to oczekiwany efekt. Wszyscy rzucili się w kierunku wersalki i, odpychając się nawzajem, próbowali ocucić Weronikę.

Lekarz oprzytomniał jako pierwszy na tyle, by zażądać noszy i podjąć decyzję o natychmiastowym przewiezieniu dziewczyny do szpitala.

– Nikogo z was do ambulansu nie zabiorę – oświadczył twardo, widząc jak Wojtek i Kościelniak sięgają po kurtki. – Jeżeli ktoś uprawniony – podkreślił – chce, to może jechać własnym samochodem za nami.

Kościelniak spokojnie zasunął zamek w kurtce i spojrzał z pogardą na Wojtkę.

– Narzeczonego pan nie weźmie? – spytał ten żałośnie.

– Przede wszystkim narzeczonego – odpowiedział zimno ojciec Weroniki. – To, czego mam w życiu najbardziej dość, to narzeczonych i miłości. Już raz w życiu tego na własnej skórze doświadczyłem. Wystarczy.

Nawet lekarz, który ostrożnie przełożył nieprzytomną Weronikę na nosze, zatrzymał się i spojrzał na niego zaskoczony. Wojtek też jakoś stracił concept, co by tu powiedzieć, i nagle wszyscy zaczęli się spieszyć.

Lekarz z pielęgniarką wynieśli nosze, Kościelniak szukał książeczki zdrowia w szufladzie, a Wojtek ubrał się i postanowił gnać do Grzeška, znajomego, który mieszkał niedaleko, żeby go podwiózł do szpitala.

Nikt się już więcej nie odezwał.

Rozdział 3

W marcu śnieg stopniał, pola stały się bure, słońce świeciło krótko i niemrawo.

Zwykle czynności, które Konrad wykonywał każdego dnia, nużyły bolesną monotonią i nie dawały ani cienia satysfakcji.

Tylko kwiaty w szklarniach kwitły jak szalone.

We wszystkich możliwych kolorach, w setkach odmian odjeżdżały załadowane na potężne samochody do cieplejszych rejonów Niemiec, gdzie zakładano już wiosenne ogródki.

Konrad wchodził czasem do szklarni, by popatrzeć na długie rzędy czystego piękna, którym według Schmidta były te rośliny, i próbował, jak szef, czerpać z nich energię.

Ale ilekroć patrzył na szeregi identycznych doniczek z kwiatami, pedantycznie poustawianych w precyzyjnie odmierzone kwadraty, przypominał sobie most na drodze do domu i rwącą, nieregularną, miejscami głęboką, a miejscami zupełnie płytką, rzekę. Kamienie na dnie, z których każdy miał inny kształt i kolor.

Na podmokłych brzegach setki kaczęńców układały się w naturalne, całkowicie asymetryczne dzieło sztuki.

Myślał o strumyku płynącym w głębokim jarze, którego wysokie brzegi były o tej porze całkowicie pokryte zawilcami, pierwiosnkami i innymi kwiatkami o nieznanym mu nazwach, a żaden rodzaj ani odmiana w procesie przypadkowego przecież rozsiewu nasion i bulw nigdy nie ułożyły się w prostą linię ani regularny kwadrat.

Dlatego nie umiał dostrzec tego wyhodowanego piękna, o którym tyle mu szef opowiadał, choć trzeba przyznać, że chwile tam spędzone dawały, mimo wszystko, trochę wytchnienia i spokoju. Przynajmniej na moment udawało mu się zebrać myśli i podjąć próbę, jak do tej pory zawsze nieudaną, znalezienia odpowiedzi na pytanie – co dalej?

Umowa kończyła mu się pod koniec miesiąca i Schmidt chciał koniecznie podpisać następną, tym razem na dłużej. Kusił awansem i podwyżką, ale Konrad nie mógł się zdecydować.

Chodził jak struty na samą myśl o wyjeździe do domu, o rozpoczęciu budowy i wszystkich związanych z tym czynnościach.

Powtarzał sobie, że przecież chce zrealizować marzenie, że dlatego tak ciężko pracuje, że o to właśnie chodziło, ale cały jego entuzjazm zgasł i nic nie mogło go na nowo rozpalić.

Prawdziwego domu już i tak nie będzie nigdy miał. Zawiódł Weronikę tak sromotnie, że już nigdy nie będzie mógł spokojnie spojrzeć w lustro. Podobno była w szpitalu, ciężko chora. A on o niczym nie wiedział, nawet głupiego esemesa jej nie wysłał. Usłyszał o tym od Wojtka Sochnała, dwa miesiące po fakcie.

Na wszystko miał dobre wytłumaczenie. Dlaczego ją zostawił, wyjechał bez pożegnania, nie odwiedził w czasie świąt. Kierowała nim tylko troska o jej dobro. Ale że w takiej sytuacji się nie odezwał, to było po prostu zwykłe świństwo. I nie miało znaczenia, że nie wiedział o jej chorobie. Przecież mógł zapytać, co u niej, a nigdy tego nie zrobił.

Stracił nagle całą energię i przekonanie, że postępuje tak jak trzeba. W końcu jednak wpadł na pewien pomysł.

Wybuduje dom dla rodzeństwa i matki, bo nie może się teraz wycofać, to byłoby jeszcze gorsze świństwo, ale jego noga nigdy już tam nie postanie.

To było salomonowe, jak mu się zdawało, rozwiązanie. Wysłać rodzinie pieniądze i niech zajmą się wszystkim sami.

Wujek poradzi sobie z robotą, matka będzie podpisywać wszelkie potrzebne dokumenty, a jemu i tak było zupełnie obojętne, jak ten dom będzie wyglądał.

Nie wycofał się z pomysłu tylko dlatego, że czuł się odpowiedzialny za rodzinę.

Oni nie mogli liczyć na nikogo innego.

*

Pod koniec marca nad rzeką zakwitły kaczeńce, a w ogródku Weroniki pierwsze krokusy. Wiosna zdecydowała się nadejść.

U Jarzębskich zaczęto kopać fundamenty. Wprawdzie Konrad nie robił tego osobiście, ale kierował pracami z Niemiec, ponieważ podobno nie mógł dostać urlopu.

Dawni koledzy jego ojca, za niewielkie pieniądze, po starej znajomości kopali głębokie rowy. O szóstej rano zaczynali pracę. Zaaferowana Jarzębska biegała tam i z powrotem, a chłopcy, z małym Kubą włącznie, pomagali jak umieli.

Była sobota. Mimo że Weronika nie musiała wcześniej wstać, by jechać do pracy, bladym świtem, zamiast spać, siedziała na ławeczce przed domem, zapatrzona we wzmożony ruch na budowie, doskonale widocznej z ich podwórka. Krzyki robotników, gęsto przetykane słowami charakterystycznymi dla gwary budowlanej, docierały bez trudu pod lipę na podwórku.

Tej masochistycznej czynności porannego przyglądania się temu, co się dzieje u sąsiadów, oddawała się od trzech dni. Sprawiało jej to jakąś dziwną przyjemność, jak dotykanie bolesnego miejsca.

Zazwyczaj siedziała tak chwilę, po czym szła do pracy, lecz dzisiaj miała dużo czasu.

Wprawdzie dom wymagał sobotniego sprzątnięcia, kuchnia zakupów, a ogród pilnych wiosennych prac, ale jakoś nie chciało jej się wstać z ławeczki i nawet ruszyć palcem.

Była słaba, wciąż nie doszła do siebie po chorobie i pobycie w szpitalu, nie mogła jeść ani spać.

Automatycznie wykonywała wszystkie czynności: chodziła do pracy w biurze, którą znalazła jej Kasia, i była wdzięczna, że ma jakieś zajęcie wypełniające czas. Solidnie traktowała swoje obowiązki, odbierała telefony, wysyłała e-maile i uśmiechała się do współpracowników, starannie ukrywając znużenie.

Było to teraz jej główne zajęcie. Zapełnianie czasu od wstania z łóżka aż do pójścia spać. Kosztowało ją to wiele wysiłku.

Mimo usilnych starań, nie przestała kochać Konrada. Uczucie nie dawało się zniszczyć. Tylko nadzieja i wola walki umarły. Już nie planowała przyszłości, a wszystko, co wcześniej było dla niej ważne, teraz wydawało się bezdennie głupie.

Mała, głupia wieś, sterczące ponad wszystkim głupie góry, pusty dom, wiecznie niezadowolony ojciec, praca niedająca żadnej satysfakcji.

Jak słusznie powtarzał Andrzej, kolega z biura, w tym kraju wszystko było beznadziejne. Marni politycy, sroga zima, a w lecie skwar nie do wytrzymania. Jakże tu człowiek ma perspektywy? To ostatnie zdanie, powtarzane codziennie z rana, przemawiało do Weroniki w sposób szczególny. Może niekoniecznie miała na myśli to samo, co skoncentrowany na dobrach materialnych Andrzej, ale zgadzali się w tej kwestii doskonale. Nie było żadnych perspektyw.

W pracy nie wszyscy podzielali poglądy Andrzeja. Zwłaszcza ci, którzy właśnie wrócili z zagranicy, ośmielali się czasem sprzeciwić, ale elokwentny księgowy gasił wszystkich celnym dowcipem lub złośliwą uwagą.

Weronika słuchała go chętnie. Jego niezachwiany niczym pesymizm uważała za przejaw mądrości życiowej.

Oprócz ojca to Andrzej był najgorętszym zwolennikiem jej wyjazdu za granicę. Codziennie pokazywał kuszące oferty pracy na bajecznych, jego zdaniem, warunkach.

Jeszcze do niedawna Weronika nigdzie nie zamierzała wyjeżdżać. Kochała swoją miejscowość, góry, nawet drogę do domu i głębokie jary porośnięte lasem, na których dnach płynęły jeszcze czyste strumyki.

Zamknęła oczy. Chaotyczne obrazy przesuwają się jak na taśmie filmowej.

Konrad załatwiający pedantycznie swoje sprawy, organizujący precyzyjnie wszystkie prace. Całkowicie obojętny.

Konrad w deszczu, milczący.

Konrad w busie, mijający beznamiętnie zmarzniętą Weronikę.

Konrad, który nie odwiedził jej w szpitalu, mimo iż jej stan był bardzo poważny.

Otworzyła oczy i chwilę wsłuchiwała się w ten doskonale znany kojący szum drzew, a potem, mimo woli, znowu pomyślała o Konradzie. Gdzie teraz jest i co robi? Czy jest tam szczęśliwy, w tych Niemczech?

Zamknęła znowu oczy i wystawiła twarz do słońca grzejącego coraz mocniej. Gdy tylko opuściła powieki, ujrzała Konrada. Wydało jej się, że usiadł tuż obok na ławeczce i położył głowę na jej kolanach, a ona głaskała go, czując pod palcami jego krótkie, twarde włosy. Wrażenie było tak sugestywne, że natychmiast otworzyła oczy i spojrzała na rękę. Jeszcze czuła wyraźnie dotyk włosów i ciepło jego czoła, policzki jej płonęły, a serce biło jak oszalałe.

Trzeba stąd jak najszybciej uciekać – pomyślała w panice – uciekać, bo w przeciwnym razie zwariuję. Już widzę i czuję rzeczy, których nie ma.

Weszła szybko do domu. Ojca nie było. Jak zwykle wymknął się bez słowa do swoich rzekomo bardzo ważnych spraw.

Przeszła przez kuchnię, minęła zlew pełen naczyń i stół, na którym wszystko stało od śniadania. Ojciec nigdy po sobie nie sprzątał.

Usiadła na schodach prowadzących na piętro i próbowała się uspokoić. Bez skutku.

Cisza w domu aż dzwoniła. Weronika zawsze była tu sama. Zupełnie nie pamiętała mamy, a czasy kiedy żyła babcia, też pozostawiły po sobie niewiele wspomnień. A mieszkanie z ojcem wciąż trudno nazwać było wspólnym.

Od tyłu już lat starała się pozyskać jego miłość. Prowadziła mu dom najlepiej jak umiała, gotowała i bardzo dobrze piekła ciasta, bo podobno przez żołądek prowadzi droga do serca mężczyzny.

Najwyraźniej nie każdego.

Bo chociaż, jak się kiedyś wyraził jeden z jej niedoszłych narzeczonych, gotowała jak bogini, cokolwiek by to miało oznaczać, ojciec tego nie zauważał. Zjadał, co mu podała, i znikał. Jechał do pracy w przetwórni, gdzie od dwudziestu lat był magazynierem.

A wieczorami miał zawsze wiele roboty w gospodarstwie, chociaż nie hodowali żadnych zwierząt, a łąki wydzierżawili sąsiadom.

Tylko dla córki nigdy nie miał czasu.

I nigdy, przenigdy nie patrzył jej w oczy.

Za to zawsze chętnie powtarzał, że powinna wyjechać za granicę.

W tej krótkiej chwili do Weroniki dotarła prawda, której od lat nie dopuszczała do siebie – że ojciec też jej nie chciał.

No i w takim razie bardzo dobrze – pomyślała. – Wyjadę. Znajdę jakiś kraj na końcu świata o całkowicie odmiennej kulturze, żeby nic się nie kojarzyło. Żadnych gór, Konradów i ojców. Dania jest krajem nizinnym – przypomniało jej się nagle.

Tak, to jest to. Bardzo dobrze, może być Dania. Dostatecznie daleko i odmiennie.

Pobiegła do swojego pokoju, z rozmachem otworzyła laptop i poszukała ogłoszeń o pracy w Danii. Po kilku zaledwie kliknięciach znalazła właściwą ofertę. Poszukiwano opiekunki do siedmioletniego dziecka. Idealnie. Wspaniała propozycja dla niedoszłej studentki psychologii.

Na szczęście można było aplikować po angielsku, więc dostosowała swoje CV, tak by wyglądało na idealny życiorys dziewczyny, która o niczym innym nie marzy, jak tylko o tym, by wyjechać do Danii i pilnować cudzego siedmioletniego dziecka. Dwa kolejne kliknięcia i zgłoszenie poszło. Weronika opadła na oparcie krzesła, aż zaskrzypiało. Postanowiła od razu wydrukować wypowiedzenie z pracy, żeby nie tracić czasu. Mogła wyjechać choćby jutro. Obowiązywało ją wypowiedzenie dwutygodniowe i tyle właśnie miała urlopu do odebrania. Po chwili papiery leżały gotowe do wysłania. Weronika odetchnęła.

Decyzja została podjęta, pierwsze kroki wykonane, teraz pozostało tylko czekać na odpowiedź.

I na wszelki wypadek już zacząć uczyć się duńskiego.

To podobno cholernie trudny język, ale od czego jest internet? Na pewno znajdzie jakieś

Następnego dnia rano już nie wyszła na ławeczkę. Przeglądała w laptopie słownik polsko-duński i próbowała nauczyć się paru najprzydatniejszych słów.

Po południu przyszła Kasia, rozmowy z nią Weronika bała się najbardziej. Niełatwo było wytłumaczyć rozsądnej i zadziornej przyjaciółce, że wyjazd to najlepszy pomysł.

Kasia najpierw uśmieła się serdecznie, później zdumiała, w końcu, kiedy zobaczyła wysłane zgłoszenie i wydrukowane oraz podpisane wypowiedzenie z pracy, oburzyła się szczerze.

– Spójrz na mnie, przecież ty nie chcesz jechać do jakiejś cholernej Danii! – zawołała.

Weronika wahała się tylko ułamek sekundy. Wstała i powiedziała zdecydowanie:

– Owszem, chcę, nawet nie wiesz jak bardzo.

– Zawsze mówiłaś, że tu jest twoje miejsce, że sobie nie wyobrażasz...

– Wielu rzeczy sobie dawniej nie wyobrażałam i musiałam przeżyć, więc się nie dziw, że zmieniłam zdanie.

– Ale co ty tam będziesz robić? Tak daleko. – Kasia była naprawdę przerażona pomysłem przyjaciółki.

– To dobrze, że daleko, od wszystkich.

– Ode mnie też? – zapytała z zalem, sięgając po ten tani chwyt, bo już nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie, od ciebie nie – zaprzeczyła cicho Weronika i głos jej zadrżał.

Podeszła do okna i odsunęła firankę. Usiadła w fotelu, ale zaraz wstała i zasłoniła okno, po czym usiadła znowu, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Obiecuj mi, że będziesz do mnie pisać – zawołała. – Że przyjedziesz mnie odwiedzić.

W przeciwnym razie naprawdę nie dam rady.

Kasia podbiegła do niej, przytuliła ją i w tej chwili poczuła, jak bardzo Weronika zmizerniała w ostatnich miesiącach. Chudziutkie ramiona trzęsły się od płaczu, a na zgarbionych plecach można było policzyć wszystkie kręgi i kości. Weronika łkała nieprzerwanie, a w Kasi rodziła się żądza mordu. Na Konradzie.

Zrobić mu jakąś okropną krzywdę. Potrząsnąć nim tak, żeby się opamiętał i przestał zachowywać jak ostatni idiota.

To nie byłby wcale głupi pomysł. Pogadać ostro z tym skurczybykiem.

Nie tracąc czasu, postanowiła jutro z samego rana udać się do Jarzębskich, by zdobyć adres tego łamacza serc od siedmiu boleści.

Czy to możliwe, żeby dwoje ludzi nie mogło się porozumieć w czasach, kiedy świat oferuje tyle możliwości? Komórka, Gadu-Gadu, Facebook, Nasza Klasa, Skype!

Dość tego.

Zapomnieli o jeszcze jednym znanym od starożytności, ale jakże skutecznym sposobie komunikacji. O przyjaciółkach.

Pogłaskała Weronikę po plecach i pozwoliła jej spokojnie wypłakać cały ból, a najwyraźniej było tego sporo. Nie powiedziała – wszystko będzie dobrze – bo Weronika i tak by nie uwierzyła, ale postanowiła, że tak się stanie.

W końcu też była nieszczęśliwie zakochana i jakoś żyje. Nie schudła z tego powodu ani kilograma, nie doznała żadnego uszczerbku na urodzie, a wręcz przeciwnie, świadomość, że radzi sobie dobrze bez Marcina, dodawała jej sił i pewności siebie.

Weronika powinna bez chwili namysłu pójść w jej ślady.

Kasia spojrzała na przyjaciółkę, która powoli się uspokajała, i uznała, że chwila nie jest odpowiednia na takie rady.

Weronika przestała płakać, położyła głowę na oparciu fotela, przymknęła oczy i wyraźnie próbowała zebrać siły.

Kasia uznała, że to dobry moment, żeby wyperswadować przyjaciółce wszystkie niepoważne plany.

Już miała zacząć, gdy zadzwonił telefon.

Weronika zerwała się błyskawicznie i odebrała.

– Tak – usłyszała Kasia – to ja. Oczywiście, bardzo chętnie. Może być w Krakowie. –

Weronika spojrzała na zegarek. – Nawet dzisiaj, tylko po południu – odpowiedziała pewnym głosem komuś, a Kasię przeszył dreszcz zgrozy. – Bardzo zależy mi na czasie.

Co ona wyprawia? Chce dzisiaj jechać do Krakowa? – oburzyła się Kasia.

Weronika skończyła rozmowę.

– Widzisz – uśmiechnęła się do przyjaciółki – wszystko się układa. Podobno tak trudno dostać pracę, a ja załatwiłam ją od ręki. To wyraźny palec boży.

– Jaki palec, niech to szlag trafi – zdenerwowała się Kasia. – Nawet nie wiesz, gdzie jedziesz. Kompletnie nie zdajesz sobie sprawy z zagrożenia. Nie czytasz, do cholery, gazet?!

– Czytam, ale to profesjonalna agencja.

– Czyżby? A wysłałaś im zdjęcie?

– Razem z CV.

– No właśnie, to masz wyjaśnienie, dlaczego tak szybko zareagowali. Zobaczyli, jak wyglądasz, i od razu wyczuli szansę.

Kasia wstała gwałtownie i zaczęła chodzić po pokoju.

– Weronika, nie pozwolę ci jechać do Krakowa, choćby nie wiem co! – krzyknęła. – Nawet namówię znajomych chłopaków, żeby cię zatrzymali siłą. A uwierz mi, jak usłyszą, o co chodzi, nie będę mieć żadnych kłopotów z chętnymi. Możemy nawet w razie potrzeby zorganizować dyżury pod twoim domem.

Weronika usiadła z powrotem na fotelu i uśmiechnęła się.

– Twoja przyjaźń to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała w życiu. Jesteś super. Ale nie martw się, nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam, sprawdziłam tę agencję, czytałam opinie na forach. Jest w porządku.

– Nie denerwuj mnie! Ty wiesz, kto pisze opinie na forach? Pewnie sekretarka z szefem.

– Kasiu, oni mają siedziby w każdym większym mieście w Polsce i we wszystkich krajach, w których można dzięki ich pośrednictwu pracować.

– Jakie siedziby? Wirtualne albo na papierze. Twój ojciec powinien złać cię pasem za takie pomysły.

– Pewnie powinien, ale zobaczysz, jak się ucieszy – powiedziała Weronika z goryczą. – I nawet mu do głowy nie przyjdzie sprawdzanie wiarygodności agencji. Przekonasz się.

– No dobrze, tylko nie płacz znowu. Na którą się umówiłaś?

– Dopiero na siedemnastą, zdążę. – Weronika uspokoiła się i wytarła nos chusteczką. – Zaraz się umyję, przebiorę i będzie dobrze, przynajmniej z wierzchu.

Rzuciła chusteczkę obok kosza, nawet tego nie zauważyła, i zaczęła wyciągać ubrania z szafy.

Kasia przyglądała się, zdecydowana nie dopuścić, by ktoś wykorzystał i skrzywdził Weronikę.

– Mogę pojechać z tobą? – zapytała. – Chciałabym sprawdzić tę agencję. Jeżeli naprawdę istnieją, niech odpowiedzą na wszystkie moje pytania. Wyczerpująco.

– Oczywiście – zgodziła się Weronika. – Szczerze powiedziawszy, bardzo się cieszę. Z tobą będzie mi rażniej. Tylko ich nie pobij.

– Będę się starać, ale nie liczę na wiele.

Kasia, widząc, że Weronika sprawdza połączenia autobusowe z Krakowem, zadzwoniła do domu. Mama nie była zadowolona z jej wyjazdu, ale nie protestowała.

Obydwie szybko się przebrały. Kasia pożyczyła od Weroniki spodnie, podkoszulek i sweter, po czym posmarowała twarz jej fluidem, podkreśliła usta własnym błyszczkiem i pojechały na rowerach do miasteczka, na dworzec.

*

W Krakowie spędziły całe popołudnie i wieczór.

Kasia nie pobiła właściciela agencji i nie znalazła w proponowanej ofercie niczego podejrzanego. Biuro funkcjonowało naprawdę, zatrudniało kilkoro pracowników i wyglądało na bardzo profesjonalne. Kasia posunęła się nawet do tego, że zażądała wpisu do ewidencji działalności gospodarczej, bo już naprawdę nie wiedziała, o co pytać i o co podejrzewać, ale wezwany w związku z tym szef, zamiast je wyrzucić za drzwi, roześmiał się serdecznie i pokazał dokument.

Był szczerze ubawiony tą nietypową wizytą, ale też pełen podziwu. Gdyby wszystkie wyjeżdżające za granicę dziewczyny zachowywały tyle ostrożności, z pewnością na świecie byłoby co najmniej o kilka tragedii mniej.

Chętnie by się umówił na kawę z tą wojowniczą blondynką, bo błada czarnowłosa milcząca mimoza wcale go nie pociągała i nie podzielała obaw Kasi, jakoby wszyscy mężczyźni mieli ochotę natychmiast wyrządzić jej krzywdę. Bał się jednak wyjść z jakąkolwiek propozycją, bo Kasia sprawiała wrażenie, że tylko czeka na jakiś pretekst, żeby dać mu w zęby.

Jeszcze takiej dziewczyny nie spotkał, a przewijało się przez jego biuro po kilkanaście dziennie.

W końcu zapisał tylko numer telefonu do Weroniki Kościelniak. Kiedy emocje opadną i Kasia przekona się, że jego firma to nie regionalne przedstawicielstwo światowej mafii, spróbuje nawiązać z nią kontakt.

Odprowadził obie dziewczyny do drzwi i długo jeszcze patrzył, jak szły chodnikiem, zawzięcie dyskutując.

*

Późnym wieczorem Weronika spała w autobusie z głową opartą o szybę. Jej włosy rozsypały się i wszędzie było ich pełno. Na oknie, ramionach, oparciu fotela, nawet na kurtce przyjaciółki.

Kasia wzięła jeden kosmyk delikatnie do ręki. Włosy były twarde i szorstkie, najwyraźniej dawno nie widziały dobrej odżywki. Położyła sobie na dłoni ciemny lok i podziwiała nieregularny skręt. Kosmyk był bardzo ładny, mimo iż końcówki wyraźnie się rozdawały.

Kasia uśmiechnęła się smutno na wspomnienie dzisiejszego popołudnia. Biedna Weronika. Chciała rozpocząć nowe życie od radykalnej zmiany wizerunku.

Postanowiła obciąć włosy.

Bardzo krótko, tuż przy skórze. Powiedziała, że płaszcz z włosów już jej niepotrzebny. Kasia próbowała ją powstrzymać, ale na próżno. Weronika biegała po krakowskim rynku z obłądem w oczach, szukając na gwałt zakładu fryzjerskiego. W końcu, na jednej z przecznic, znalazła sztyd z nożyczkami i wpadła do środka.

Trzy fryzjerki najpierw kolejno obejrzały włosy, po czym zawołały szefa – miłego, profesjonalnie wyglądającego mężczyznę w średnim wieku. Ten usiadł, uśmiechnął się i powiedział, że niestety dzisiaj nie podejmie się tego zadania. Dopiero za dwa tygodnie, jeśli Weronika nie zmieni zamiaru.

W dwóch kolejnych zakładach też ją odprawiono z kwitkiem i Kasia pobłogosławiła los, który w okolicach rynku umieścił profesjonalne salony. Gdzieś na peryferiach bez zastanowienia obciąłoby Weronice włosy. A przecież widać było, że klientka działa pod wpływem stresu i nie można brać na poważnie decyzji podjętej w takich okolicznościach.

W końcu Weronika poddała się i kiedy usiadły na Plantach, rozplakała się, wywołując sporo zamieszania wśród przechodniów.

Teraz znużona spała w autobusie.

Kasia po rozmowie z bufonowatym szefem pośrednictwa pracy, do obrzydliwej ucziwym, postanowiła działać.

Weronika zgodziła się na wyjazd w pierwszym możliwym terminie, czyli już za dwa dni. I nic nie wskazywało na to, by miała się opamiętać i zmienić zdanie. Kto mógłby ją do tego przekonać? Jej ojciec?

Zadzwończył do niego z Krakowa i Weronika opowiedziała mu o podpisaniu kontraktu, a on

nawet nie zapytał o warunki umowy ani do kogo jedzie jego jedyna córka, tylko ucieszył się i jej pogratulował.

Kasia wyczerpała już wszystkie argumenty. Mogła zatrzymać Weronikę siłą, ale sama wiedziała, że na dłuższą metę to pomysł absurdalny i niemożliwy do zrealizowania.

Tylko jedna osoba mogła coś w tej sprawie uczynić. Konrad. Kasia postanowiła pojechać do niego i namówić go, żeby natychmiast wrócił. Obawiała się, że przez telefon nie zdoła go przekonać, a czasu było coraz mniej.

Cichutko, żeby nie obudzić Weroniki, zadzwoniła do Wojtka Sochnała i najpierw pochwaliła go, że tak się wspaniale spisał, ratując Weronice życie, bo wiedziała, że jest z tego dumny i uwielbia o tym opowiadać, a potem umiejętnie wyciągnęła z niego wszystkie informacje na temat miejsca pracy Konrada. Zapisała nazwę firmy przewozowej i telefon do kierowcy.

Następnie zadzwoniła do szefa i poprosiła o dwa dni urlopu. Rozmowa nie była łatwa. Szef ostatecznie udzielił zgody, ale jednocześnie zapowiedział bezwarunkowy koniec niespodziewanych urlopów w najbliższych kilku miesiącach. Kasia obiecała solennie, że po powrocie żadnego dnia wolnego już nie weźmie.

Potem zadzwoniła pod podany przez Wojtka numer i bez najmniejszych problemów zamówiła na jutrzejsze popołudnie miejsce w busie.

Wszystko szło doskonale.

Teraz jeszcze zdobędzie numer telefonu Konrada. Chciała go zawiadomić, że przyjeżdża.

Autobus pokonywał właśnie powoli stromą, pełną zakrętów drogę, jego światła wydobywały z mroku kolejne domy i drzewa. Weronika obudziła się i patrzyła na mroczny krajobraz za oknem pogrążona w jakichś niewesołych myślach.

Milczała.

*

Dojechały do miasteczka po dziewiątej wieczorem. Było ciemno i bardzo zimno. Wiał przenikliwy wiatr, drzewa nad rzeką przepływającą nieopodal dworca szumiały ponuro.

Kasia z Weroniką zmarzniętymi rękami rozpięły łańcuchy zabezpieczające rowery. W drodze powrotnej nie stanowiły niestety zbyt wielkiej pomocy.

Wspinały się mozolnie, pchając rowery pod górę w dobrym tempie. Nie rozmawiały wiele, zatopione każda we własnych myślach. Weronika obawiała się, że Kasia będzie ją do późnej nocy odwozić od wyjazdu, tymczasem Kasia postanowiła pod byle pretekstem pożegnać się z przyjaciółką i udać jak najszybciej do domu Jarzębskich. Martwiła się, czy Weronika nie będzie jej chciała zatrzymać, żeby porozmawiać o wyjeździe. Byłaby to kompletna strata czasu. Kasia już wiedziała, że nie przekona przyjaciółki.

Ku obopólnemu zadowoleniu rozstały się więc zaskakująco szybko pod domem Weroniki i Kasia odjechała w stronę głównej drogi. Stała za stodołą, odczekała, aż za Weroniką zamkną się drzwi, i skierowała się do domu Jarzębskich. W dwóch oknach paliło się światło. Na pewno matka Konrada jeszcze nie spała.

Kasia weszła na podwórko i, obszczekana gruntownie przez psy, postawiła rower pod wielkim orzechem.

Powoli podeszła do domu. Poprawiła włosy i wzięła głęboki wdech, ale zanim zdążyła się w pełni przygotować psychicznie, drzwi się otworzyły, a na progu stała Jarzębska.

– Witaj, Kasiu – odezwała się serdecznie, niszcząc misternie przygotowany scenariusz, według którego Kasia miała się najpierw długo przedstawiać, powołując się na zawile koligacje rodzinne, aby nawiązać z matką Konrada dobry kontakt.

Teraz nie wiedziała, co powiedzieć, i co zdarzało jej się niezmiernie rzadko, nic nie mogła wymyślić.

W końcu porzuciwszy wszelką dyplomację, wypaliła:

– Dobry wieczór, przysłałam po telefon do Konrada. Jutro po południu jadę do niego. Nie powiem pani, co mu dokładnie mam zamiar zrobić, ale zamierzam go tu przywlec i zmusić, żeby

wyperswadował Weronice idiotyczny pomysł wyjazdu do Danii.

Jarzębska stała chwilę w milczeniu, wyraźnie zaskoczona, ale szybko pozbierała myśli.

– Wejdz, dziecko, nie będziemy tak stać na progu – zaprosiła zdumioną Kasię do środka.

Przeszły przez szeroki przedsionek do kuchni, dużej i ciepłej. Radio grało jakąś skoczną melodię, a na krzesłach stały równo poukładane stosy wysuszonej bielizny. Reszta przygotowana leżała na wersalce. Czuło się zapach proszku do prania, jakiegoś jedzenia i wilgoci, pomimo ognia buzującego pod starodawnym piecem.

Jarzębska sprawnie zebrała poskładane pranie, zaniósła do pokoju obok, gdzie przez uchylone drzwi widać było przygotowane do spania łóżko, i powiedziawszy coś cicho do leżącej tam dziewczynki, zamknęła drzwi.

– Siadaj, Kasiu. Może napijesz się ze mną herbaty?

– Chętnie, tylko nie mogę zostać zbyt długo, muszę jeszcze dzisiaj załatwić parę spraw.

Jarzębska postawiła na stole dwie szklanki w metalowych uchwytach i cukierniczkę.

– Powiedz wszystko, co wiesz – poprosiła. – Ja też ci powiem, czego się domyślam, może razem znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji, bo ja już tu sama włosy z głowy wyrrywam i ani z moim synem, ani z Weroniką w żaden sposób nie mogę sobie dać rady.

Kasia milczała, zastanawiając się, od czego zacząć i jak wiele ewentualnie zdradzić.

Matka Konrada nastawiła wodę na herbatę, usiadła i spojrzała Kasi w oczy.

– Bardzo źle o nim myślisz? – zapytała.

– Bardzo, a nawet jeszcze bardziej. Jak można tak dziewczynę zostawić? – zdenerwowała się. – Przecież przez niego się rozchorowała, mało ducha nie wyzionęła. Przez niego teraz wyjeżdża do Danii. Wszystko jego wina – rzuciła zapalczywie. – Nie wie, co Weronika do niego czuje? Wyjechał bez słowa, nawet się, palant, nie pożegnał. A kiedy ona stała zmarznięta na drodze, to nie wysiadł, tylko sobie siedział w cieple, potwór jeden. Jadę po niego jedynie dlatego, że w żaden sposób nie mogę Weronice wytłumaczyć, że to głupek niewart splunięcia. Może jak go zobaczy, to jej wreszcie przejdzie, a zobaczy na pewno, choćbym go miała przywlec tu siłą za włosy. Zamknę ich potem razem i będę tak długo trzymać, aż w końcu się dogadają. Pogodzą albo rozejdą, ale tak dalej być nie może.

Skrzypnęły drzwi i do kuchni zajrzała Natałka, zaróżowiona od snu, z szeroko otwartymi oczami.

– Mamo, co się stało? Dlaczego ta pani tak krzyczy?

– Nic, nic, córeczko. Połóż się, pani Kasia jest troszkę przejęta, ale wszystko w porządku.

Kasia zrobiło się głupio. Siedziała, obgryzając paznokcie z nerwów, bo obudziła dziecko i tyle nagadała na Konrada, że pewnie teraz jego matka nie da jej numeru telefonu.

Jarzębska nie wyglądała jednak na obrażoną. Była tylko smutna. Wyglądziła ręką ceratę na stole, poprawiła związane gumką puszyste włosy i uśmiechnęła się blado.

– Wybronić go nie będzie łatwo. Ale chociaż spróbuję – powiedziała i wstała, żeby wyłączyć gwizdzący coraz głośniejszy czajnik. Nie nalała jednak wody do przygotowanego czajniczka, tylko usiadła znowu.

Kasia pokiwała głową.

Nic z tego nie będzie, nie dam się przekonać – pomyślała.

– Widzisz, prawda jest taka – zaczęła Jarzębska. – Ja nie jestem pewna, czy Weronika o tym wie, ale w całej tej historii ogromną rolę odegrał Kościelniak.

– On? – zdziwiła się Kasia. – Ten bierny głupek?

– Kto?

– Jej ojciec.

– Aha, ale ja bym go tak lekceważąco nie nazwała. Są momenty, kiedy potrafi wykazać siłę i upór.

– Ciekawe, jakie to momenty, chyba że chodzi o pozbycie się córki i o jego własny święty spokój.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo tylko jedno mu w głowie, jak by tu Weronikę wysłać do pracy jak najdalej od domu.

– Troszczy się o nią, chce dobrze.
– Nie chce. To słaby egoista.
– Walczy o dziecko i ja go rozumiem.
– Dobrze, nie będziemy się o niego kłócić. Słucham. Co też ten wzorcowy ojciec wymyślił?
– Wiesz, nakrzyczał na Konrada, kazał mu się wynosić z życia Weroniki, bo jest żaloszny on i jego plany, a Weronika wyjedzie i będzie szczęśliwa, i ma do tego prawo. A Konrad jest nikim, nędznym synem pijaka.
– Skąd pani to wie? Była pani przy tym?
– Nie, ale do mnie też w tej sprawie przyszedł i był tak przekonujący, że przyznałam mu rację.
– Niech się pani nie gniewa, ale jak Konrad mógł uwierzyć w takie bzdury? Nawet nie próbował niczego wyjaśnić.
Jarzębska pogładziła Kasię po dłoni i uśmiechnęła się smętnie.
– Uwierzył mu, bo to wszystko, co do słowa, jest prawda. Ja też tak do niedawna myślałam. Że Weronika nigdy nie zechce takiego biedaka. No powiedz sama, ale tak szczerze, czy to było prawdopodobne?
Kasia przypomniała sobie własne wątpliwości i milczała.
– No cóż, sama widzisz – skwitowała jej milczenie Jarzębska i podeszła do kredensu stojącego przy drzwiach. Otworzyła jakiś stary notes i odnalazła numer telefonu.
– Masz – powiedziała, podając jej karteczkę. – A tu są pieniądze na bilet – dodała, wyciągając kilka banknotów spod sterty równiutko poskładanych ścierek. – Nie moje, Konrada. Przysłał je dla mnie, ale jakoś nie mogę ich na nic wydać. Może tak najlepiej mu posłużą. Będę się za ciebie modlić, dzielna dziewczyno.
– Niech się pani lepiej za Konrada modli, żeby przeżył spotkanie ze mną.
Kasia schowała do portfela kartkę z telefonem i pieniądze. Nie miała żadnych skrupułów, skoro należały do Konrada.
Pożegnała się i popedałowała w całkowitych ciemnościach do domu, smagana zimnym wiatrem i pełna złych przeczuc co do czekającej ją rozmowy z rodzicami.

*

Weronika nie spała i tej nocy. Zdenerwowanie nie pozwoliło jej zmrużyć oka ani na chwilę. O siódmej rano siedziała w kuchni, pijąc bez specjalnego zapachu mocną kawę, gdy zadzwonił telefon. Zerwała się, ukrywając sama przed sobą bezsensowną nadzieję, że może to Konrad.

W słuchawce brzmiał głos zupełnie nieznamy.

– Pani Weronika Kościelniak? Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Chciałbym z panią porozmawiać. Sprawa jest dość nietypowa, rodzinna, że pozwolę sobie tak się wyrazić – mówił ktoś szybko i z wyraźnym przejęciem.

– To może ja dam tatę do telefonu? – zapytała Weronika, z góry negatywnie nastawiona do jakichkolwiek spraw rodzinnych.

– Tak, to ważne przy tego typu problemach – powiedział szybko mężczyzna – jednakowoż rzecz dotyczy, prawdopodobnie, przede wszystkim pani, choć oczywiście nie wyłącznie, ale na razie nie chciałbym, aby ktokolwiek o tym wiedział, sama pani zdecyduje.

– Przepraszam bardzo, a czy mogę zapytać, z kim...

– Ależ oczywiście – mężczyzna nie dał jej skończyć – proszę wybaczyć to straszliwe niedopatrzenie z mojej strony.

Weronika zaczęła się niecierpliwić. Tymczasem w słuchawce trwały wylewne ekspiacje, po których wreszcie nastąpił konkret.

– Nazywam się Sołtysik. Jan Sołtysik – dodał z naciskiem. – Pani mnie na pewno zna. Dwadzieścia lat temu wyjechałem do Krakowa na studia historyczne.

Byłam wtedy dzieckiem – pomyślała szybko Weronika, ale nic nie zdążyła powiedzieć, bo Sołtysik kontynuował:

– Potem powróciłem i rozpocząłem pracę w Urzędzie Gminy. I od razu, już po dwudziestu latach, taki sukces.

– Gratuluję osiągnięć – zdenerwowała się na dobre Weronika – ale nadal nie wiem, w jakiej sprawie...

– Tak, tak – znowu nie dał jej skończyć – zupełnie nie mam pojęcia, jak by to pani powiedzieć.

To się daje zauważyć – pomyślała Weronika i wykrzywiła się do lustra wiszącego nad telefonem.

– ...jednakowoż pani Weroniko, jak by to powiedzieć... być może znalazłem rozwiązanie pewnej zagadki, to znaczy tajemnicy. Otóż pani szczególna uroda, jednakowoż rzadko u nas spotykana. Prawda?

– Panie Sołtysik, a nie mógłby mi pan po prostu powiedzieć, o co chodzi?

– No, ja nie wiem, czy po prostu to się da, bo ja poczyniłem pewne kroki w celu uporządkowania dokumentów w gminnym archiwum i znalazłem pewne zdjęcia. To oczywiście nie oznacza, bo co mogłoby oznaczać, ale popytałem tu i tam i myślę, że powinna pani to zobaczyć.

– Panie Sołtysik, błagam, kto jest na tym zdjęciu. Ja?

– Nie do końca. Czy mogłaby pani przyjść do mnie dzisiaj do urzędu? To naprawdę ważna sprawa. Rodzinna.

– Mogę, ale tylko teraz, bo po południu wyjeżdżam.

– Oczywiście, czekam na panią, pokój numer siedemnaście.

Weronika ubrała się szybko, zmęczona dziwną rozmową, ale i zaintrygowana tajemniczym zdjęciem, które miało ją przedstawiać, jednakowoż nie do końca.

*

Godzinę później pomyślała, że jeżeli Sołtysik nie przejdzie do konkretów, to chyba przydusi go zielonym segregatorem do tej pięknej wykładziny, którą gmina sobie ostatnio zafundowała na koszt podatników.

Była już wprawdzie gotowa do wyjazdu, bo w nocy, z nerwów, spakowała wszystkie rzeczy, a nawet wyprasowała ubrania na drogę, ale nie miała ochoty spędzać ostatniego dnia w Polsce z tym gminnym szaleńcem, który nie miał zamiaru przejść do rzeczy.

W końcu przerwała trwający od pół godziny wstęp, wstała i ruszyła do wyjścia.

– Oczywiście, oczywiście – zatrzymał ją Sołtysik i pociągnął energicznie z powrotem w stronę krzesła. – Rozumiem zniecierpliwienie, już pokazuję zdjęcia.

Otworzył szufladę, wyciągnął papierową teczkę, powoli rozsupłał sznurki i w końcu znalazł potrzebne fotografie.

– Tak naprawdę to są trzy – wyjaśnił. – Pierwszą pani pewnie zna. Proszę.

Było to zdjęcie sprzed lat, które wydrukowano kiedyś w miejscowej gazecie. Przedstawiało hrabiego Jaworczańskiego, niegdysiejszego właściciela okolicznych wsi.

To właśnie dla niego matka hrabina kazała przed wojną wybudować domek myśliwski w bardzo dziwnym miejscu. Wysoko w górach na maleńkiej polanie ukrytej głęboko w lesie.

Lokalizacja była wyjątkowo niekorzystna. Można było wprawdzie w okolicy ustrzelić zającą czy od biedy jelenia, ale uwarunkowania terenu czyniły z polowania zajęcie żmudne i karkołomne. Las był tutaj gęsty, pełen jarów i parowów, nie dało się po nim galopować konno. Zbocza gór ostre, a zwierzyny nie tak znów dużo.

Jednak hrabina wybrała właśnie tę polanę i kazała w ekspresowym tempie wybudować dom.

– Oczywiście, że znam to zdjęcie – powiedziała Weronika. – Wszyscy je widzieli w gazecie, co to ma ze mną wspólnego?

– No cóż, jak by to powiedzieć, do tej pory myśleliśmy, że to jedyne zachowane pamiątki po tej rodzinie, bo jak wiadomo, cały dwór z wyposażeniem spalił się w trzydziestym dziewiątym, ale pojawiło się niespodziewanie coś nowego. Otóż, porządkując archiwum, jak już wspomniałem, znalazłem jeszcze dwa inne. Zaskakujące, rzucające na pewne fakty zupełnie nowe światło.

– Jakie światło i na jakie fakty? Bardzo pana proszę, naprawdę nie mam zbyt wiele czasu. –

Weronika pożałowała w tej chwili, że nie przyszła z nią Kasia, ona by szybko wydusiła z tego człowieka wszelkie informacje.

– Dobrze, dobrze, proszę usiąść – po raz kolejny powiedział Sołtysik. – Ja dam trochę wody, bo to może być wstrząs.

Weronika usiadła. Machinalnie wzięła do ręki szklankę z wodą.

Sołtysik wybrał ze swojej teczki kolejną fotografię. Wyglądała na starszą niż poprzednia i przedstawiała piękną kobietę siedzącą na ozdobnym krześle, obok stał wysoki wytwornie ubrany mężczyzna. Weronika miała wrażenie, że kobieta kogoś jej przypomina, ale skojarzenie było bardzo ulotne i nie umiała go sprecyzować.

– Nadal nic nie rozumiem.

Sołtysik westchnął i sięgnął po kolejne zdjęcie.

– To była hrabina Jaworczyńska z mężem, pewnie ich ostatnie zdjęcie, bo wkrótce on zmarł, ale mam coś jeszcze.

Zawahał się, w końcu podał ostatnią fotografię. Weronika spojrzała na nią z zaciekawioną i nagle zamarła. Przełknęła z trudem ślinę i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie.

Przedstawiało sfotografowaną z bliska młodą dziewczynę w długiej koronkowej sukni i wielkim kapeluszu.

Zdumiona Weronika wpatrywała się we własną twarz.

Takie same ciemne oczy patrzyły nieśmiało w obiektyw, identyczne kręcone, długie włosy wiły się wokół twarzy i opadały na plecy.

– Na litość boską, kto to jest?

– Ta sama pani hrabina, tylko młodsza.

– Ale dlaczego... ona tak wygląda.

– Kiedy ja to zobaczyłem, zapytałem inaczej. Dlaczego pani tak wygląda?

– Jestem jakimś nieślubnym dzieckiem, czy co? Nie, to przecież zupełnie niemożliwe.

– Pani nie jest, jednakowoż ktoś inny, owszem.

– Jednakowoż kto?!

– Otóż chodzi o to, że jej syn...

– Był nieślubnym dzieckiem? Wielki, romantyczny hrabia Jaworczyński?!

– Nie, on nie, ale miał romans. Pani pewnie o tym słyszała, bo do dzisiaj ludzie opowiadają, jaki z niego był amant.

– Ale z kim, z moją babcią?!

– Boże broń i uchowaj pamięć pani Kościelniakowej, istoty absolutnie doskonałej, oraz całej rodziny, której kobiety słyną z niewzruszonych zasad i żadna nigdy... – Tu zawahał się, popił wody i dodał desperacko: – Jednakowoż z pani prababcią. To stara historia, ale kiedy byłem mały, żyła mocno w ludzkiej świadomości. Była ulubionym tematem plotek, jak dziś tego... tego, ten – zapętlił się – co innego – wybrnął dyplomatycznie i otarł spocone nagle czoło. – Tu w okolicy niewiele się dzieje, a losy arystokratów zawsze fascynują. Sporo pamiętam, a kiedy znalazłem zdjęcia, popytałem starszych sensownych ludzi i opowieść ułożyła się w całość.

Sołtysik zamilkł znowu, zamyślił się, po czym zapytał:

– Czy wie pani, dlaczego prababcia została wybrana spośród wielu kandydatek ze wsi, żeby sprzątać w domku myśliwskim.

– Nie.

– A macie w domu jakieś zdjęcie prababci?

– O ile wiem, to nie, ale domyślałam się, że pewnie była piękna.

– Wręcz przeciwnie. Podobno nie była całkiem szpetna, lecz miała taką typowo wiejską urodę. Była duża, mocna, niewykształcona i niezbyt rozmowna. Hrabowski syn, jak niosła plotka, był łasy na piękne kobiety. Matka wybudowała mu domek w górach, by się tu ukrywał przez trzy miesiące, aż ucichnie pewna afera. Matka chciała mieć pewność, że on tu nikogo nie uwiedzie. Może spokojnie i zechce się wreszcie ożenić. Dlatego do sprząwania i gotowania wybrano same niezbyt urodziwe kobiety i wyłącznie mężatki. Żadnych panien. Przebywał tu dwa tygodnie. Przyjechał z wielką pompą, z liczną służbą i kuframi. Wszystkie rzeczy musieli wnosić pod sam

szczyt na plecach, bo tam niczym nie dało się dojechać. Ci, którzy to widzieli, nie zapomnieli tego widoku do końca życia.

I ten dzień, kiedy hrabina niespodziewanie przyjechała w odwiedzinach do syna. Wyjechali w ciągu dwóch godzin, pozostawiając prawie wszystko, bez podania przyczyny, ale ludziom nie da się zawiązać języków. Podobno matka zastała go w sytuacji, że się tak wyrażę, niepozostawiającej żadnych wątpliwości co do swego charakteru. Nigdy jednak nie dowiedziano się z kim. Nikt z moich rozmówców nie wskazał na twoją prababcie. Podejrzewano wiele kobiet ze wsi, wiadomo, ludzie lubią plotkować, więc każda co ładniejsza kobieta była podejrzana.

Hrabia wyjechał, twoja prababcia wróciła do domu i, jak sprawdziłem w dokumentach parafialnych, dokładnie dziewięć miesięcy później urodziła córeczkę. Niczym się niewyróżniającą małą dziewczynkę, podobną do rodziców. Nie padł na nią nawet cień podejrzenia, chociaż wszystkie urodzone w tym czasie dzieci, a jak wynika z ksiąg parafialnych, było ich w najbliższej okolicy szesnaścioro, rodziły się wśród plotek i domysłów. A Jaworska mówiła, że były jeszcze dwie panny, które okazały się brzemiennie i obydwie przysięgały na wszystko, że to właśnie z nimi zastała hrabina jedynego syna w myśliwskim domku, co oczywiście było wierutnym kłamstwem.

– Jaworska? – zapytała Weronika. – Która? Babcia Jaworska? Ta, o której myślę?

– No tak, oczywiście, ona pierwsza skojarzyła fakty i bardzo mi pomogła, to mądra kobieta.

– A ja nie chciałam jej słuchać, kiedy mówiła, że wie, dlaczego mój ojciec jest taki dziwny. Myśli pan, że ona naprawdę wie? – wyrwało się Weronice.

– Pewnie że tak, choć nie ona jedna zresztą, jednakowoż nikt nie może wnikać w osobiste sprawy pana Kościelniaka i nikt by nie śmiał nic sugerować, ludzie tylko lubią mówić głupoty.

– Jakie głupoty?

– Ja nic nie wiem i chociaż tutaj się urodziłem, to teraz jestem tu tylko służbowo i nie słucham gadania.

– Ale chodził pan po wsi i zbierał materiały, słuchał gadania, z tego dziewięćdziesiąt procent to plotki.

– Jestem historykiem, po studiach – podkreślił Sołtysik, któremu najwyraźniej skończyły się argumenty.

– Wiem, że jest pan po studiach – burknęła Weronika. – Co to ma do rzeczy?

Sołtysik wyprostował się dumnie za biurkiem.

– Zbadałem tę historię z punktu widzenia fachowca, jeżeli dopuściłem się emocjonalnego zaangażowania, to przepraszam, jednakowoż sprawa była wyjątkowa. Zaprosiłem panią, bo uznałem, że ta informacja może mieć dla pani znaczenie; mimo że to stare dzieje, wykluczyć tego nie mogłem. Nie może mnie pani jednak prosić o powtarzanie plotek.

Weronika wstała gwałtownie. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Choć Sołtysik wiedział jeszcze o czymś bardzo ważnym, jednakowoż nie miał zamiaru podzielić się swoimi spostrzeżeniami.

Podziękowała mu i ściskając w ręce zdjęcie swojej prawdopodobnie praprababki, wybiegła na zalaną słońcem i pachnącą kurzem ulicę, prosto pod furgonetkę Czeška Wilka. Cudem wywinąwszy mu się spod kół, popędziła w dół stromo opadającym chodnikiem, a potem pod górę po rozpalonym miękkim asfalcie i nie zwolniła tempa aż do samego domu Jaworskich, mimo że ubranie miała mokre od potu, a gorące powietrze rozpaczliwie łapano w urywanym oddechu boleśnie kłuło w płuca.

Zadzwoiła. Na szczęście otworzyła babcia.

– Bój się Boga, dziewczyno, co się stało? – zawołała, stanąwszy w progu. Otarła mokre ręce o sporych rozmiarów fartuch i odgarnęła włosy z czoła.

Weronika oparła się o framugę drzwi, przed oczami wirowały jej fioletowe płatki i nie mogła złapać tchu. Widząc to, Jaworska wzięła ją delikatnie za ramię i wprowadziła do czystej, przyjemnie chłodnej kuchni. Na stole leżały pokrojone warzywa, a w powietrzu unosił się zapach gotowanego selera.

– Matko Boska! – zawołała kobieta, zbierając szybko deskę do krojenia i miskę z warzywami ze stołu. – Usiądź i odsapnij troszkę, dam ci wody, ochłodzisz się. Co się stało na

litość boską, może Kasia...

Weronika pokręciła głową. Oddech bardzo powoli się uspokajał.

– Czy pani wie, dlaczego mój tata jest taki? – zapytała, a dwie uszeczne strużki łez popłynęły po spoconym policzku.

Jaworska usiadła na krześle naprzeciw, ściskając w ręce szklanę z zimną wodą.

– Już wszystko rozumiem – powiedziała. – Był u ciebie Sołtysik, ten historyk od siedmiu boleści.

Weronika skinęła głową. Serce ją bolało, a napięte nerwy z trudem radziły sobie z czekaniem na to, co miało nadejść. Każdą cząstką swego ciała czuła, że to, co za chwilę usłyszy, będzie bardzo trudne.

– Wypij – nakazała babcia. – Odmawiam rozmowy w takich warunkach.

Ciągle mnie ktoś dzisiaj wodą częstuje, jakby to miało być lekarstwo na wszystkie nieszczęścia – pomyślała Weronika, ale posłusznie przechyliła szklanę i kilkoma haustami wypila wodę, ochlapując przy tym bluzkę. Wcale nie poczuła się lepiej.

– Teraz umyj twarz zimną wodą – stanowczo zarządziła Jaworska i podprowadziła ją do kuchennego zlewu, po czym puściła zimny strumień. – Wytrzymaj się, usiądź na wersalce i możemy zacząć rozmawiać.

– Jest aż tak źle, że z taboretu mogłabym spaść? – próbowała zażartować Weronika.

– Kto wie – poważnie odpowiedziała babcia. – Nie masz ty rzeczywiście łatwego życia, ale może to już koniec kłopotów. Myślę, że to ostatnia tajemnica w waszej rodzinie.

– Niech mi pani już powie.

– A chciałam wcześniej, delikatnie – nie powstrzymała się babcia.

– Wiem.

– No dobra, powiem, tylko spokojnie. – Jaworska poprawiła się na wersalce, oparła mocno, a Weronika zacisnęła dłonie, żeby jakoś wytrzymać to czekanie.

– Powiem – powtórzyła Jaworska, patrząc Weronice głęboko w oczy – ale musisz mi obiecać, że nie podejmiesz żadnej życiowej decyzji ani nie będziesz o tym rozmawiać z ojcem, dopóki nie miną co najmniej dwa dni. Dobrze?

– Dobrze – obiecała szybko Weronika, z nerwów nawet nie za bardzo rozumiejąc, co się do niej mówi. – Proszę, niech mi pani już powie, o co chodzi, mam dość rewelacji na dzisiaj, jestem zmęczona i nic mnie już nie zaskoczy.

– Widzisz, twój tata, jemu powiedzieli – zaczęła Jaworska bardzo powoli, jak konferansjer podający wyniki finału.

– Co mu powiedzieli? – nie wytrzymała Weronika.

– Powiedzieli mu – powtórzyła babcia z namaszczeniem – ktoś puścił głupią plotkę.

– Jaką plotkę? Niechże pani mi wreszcie powie.

– Musisz ojcu sprawiedliwie policzyć – ciągnęła babcia, powoli i z namysłem dobierając słowa – że kochał cię, jak umiał, i opiekował się tobą... jak umiał.

– Cóż to za zasługa? – zdenerwowała się jeszcze bardziej Weronika. – W końcu ojcowie wychowują dzieci, a on się specjalnie emocjonalnie nigdy... – W tym momencie przerwała gwałtownie, zapatrzyła się w okno, a na jej twarzy wyraźnie widać było wstrząsającą myśl, która narodziła się gdzieś w głębi serca. Nagle rozsypane szkielka ułożyły się w całość.

– O nie! – zawołała, wstając gwałtownie. – Już wiem! – Zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. – To świnią! On myślał. Jak mógł? – Zatrzymała się i nagle gwałtownie ruszyła w stronę drzwi.

– Weronika! Stój! – zawołała Jaworska, łapiąc ją za łokieć. – Obiecałaś mi coś. On jest tylko człowiekiem, a ludzie gadali. Nawet twoja babcia rzucała różne oskarżenia, a jak rosłaś, wszystko wskazywało...

– Wskazywało?! Niech pani nie będzie śmieszna. Co za głupek, biedna mama.

Wyrwała się Jaworskiej, otworzyła z rozmachem drzwi, nie zauważając klamki, która została jej w rękach. Przebiegła przez podwórze i, trzasnąwszy furtką ogrodową, pognęła do domu.

– Pamiętaj, obiecałaś! – wołała jeszcze za nią babcia, ale Weronika nie zamierzała tego

słuchać.

Obiecałam – piekliła się – ale na co mam czekać? Wszystko jasne jak słońce. Ojciec sądził, że nie jestem jego córką – na samą myśl zgięła się w pół od nagłego bólu i ze zdumieniem zauważyła, że ściska w mokrej ręce klamkę od drzwi. Wzięła głęboki zamach i rzuciła ją w głęboki jar ziejący tuż obok drogi.

W drugiej ręce wciąż trzymała fotografię wyniesioną z urzędu. Głupek historyk, taki profesjonalny, a nie zauważył, że zabrała muzealny, bądź co bądź, eksponat.

Musiała się zatrzymać, bo nie miała siły dalej biec. Weszła na chwilę w las, do cienia, i usiadła na zwałonym pniu.

Położyła zdjęcie na dłoni i spojrzała w oczy swojej praprababki ponad dziesiątkami dzielących je lat.

Nie wiadomo, jaka była tamta dziewczyna, ale chyba też trochę nieśmiała i na pewno bardzo piękna. Ciekawe, czy była szczęśliwa? Co by zrobiła, gdyby znalazła się na miejscu praprawnuczki?

Weronika nic nie wiedziała o swojej rodzinie: ani o tej legendarnej arystokratycznej, ani tej zwyczajnej ze wsi. Krewnych matki praktycznie nie знаła, ojciec i babcia zamknęli się przed nią. Tylko ciotki troszczyły się o nią, jednak nawet one nie powiedziały prawdy, którą musiały przecież znać. Ale teraz to wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Mieszkać tu dalej nie mogła i już nie chciała.

Wyjedzie daleko, założy rodzinę, zrobi karierę i nie będzie wcale tęsknić. Po latach wróci na krótko, by ze zdumieniem stwierdzić, że nic już jej tu nie trzyma, że wszystko zobojętniało. Dom Konrada, własny dom, góry, droga i las, ludzie, poziomki na zboczach i czereśnie z sadu, widok z okna. Wszystko.

Tak będzie – postanowiła, wstając z pnia i wychodząc z cienia na zalany słońcem asfalt.

Powoli, z ciężkim sercem ruszyła do domu. Pod górę. Tutaj wszystko szło tak opornie, bo wszędzie było pod górkę. Jakże tu być szczęśliwym?

Po południu wsiadła do autobusu do Krakowa. Po przenocowaniu w hostelu rano przesiadła się do autobusu jadącego do Świnoujścia, a wieczorem wkroczy na pokład promu płynącego do Kopenhagi.

Z ojcem nie zamieniła ani słowa.

*

Kasia spakowała się dyskretnie w jeden mały plecak i cicho wyszła z domu. Wspólnie z mamą ustaliły, że w szczegóły planowanej wyprawy lepiej nie wtajemniczać babci, żeby jej niepotrzebnie nie denerwować. Zresztą babcia nie czuła się dzisiaj najlepiej i leżała od południa w swoim pokoju, co zdecydowanie ułatwiało sprawę.

Kasia zamknęła za sobą drzwi i skierowała się w stronę mostu. Umówiła się z kierowcą na szesnastą, więc nie miała zbyt wiele czasu, a historia Wojtka dowodziła, że przewoźnicy nie mieli zwyczaju czekać na późnialszych.

Na moście nikogo nie było i Kasia trochę się przestraszyła, choć zegarek wskazywał dopiero za dziesięć czwartą. Miała nadzieję, że nie odjechali bez niej.

Nagle w krzakach coś się poruszyło, Kasia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła przed sobą Kubę Jarzębskiego. Wyciągał z chaszczki dużą torbę. Sprawiała wrażenie dość ciężkiej.

– Kubuś, czyś ty oszalał, nie mów, że też się wybierasz do pracy.

– Nie. – Kuba się uśmiechnął, wzdychając w głębi serca nad głupotą niektórych dziewczyn.

– Mam tylko dla ciebie przesyłkę od mamy. Drobną – rzekł i z nieudawanym wysiłkiem podniósł torbę.

– Sam to tutaj przytaszczyłeś? – zdziwiła się Kasia.

– A skąd, moi bracia przynieśli, ale spieszyli się i mnie kazali tu zostać, żebym pilnował, aż przyjdiesz.

– To czemu się w krzakach chowasz i ludzi straszysz?

– To się nazywa po prostu ostrożność. – Kuba przekazał pakunek Kasi i zaczął się zegnąć.

– To cześć. A – przypomniał sobie – mama kazała ci coś przekazać, ale nie pamiętam dokładnie. Chyba powodzenia, czy coś takiego.
– Dzięki, a ta torba to dla Konrada?
– Tak.
– Dzięki, Kubuś! – zawołała Kasia. Zebrała rzeczy i pobiegła w stronę nadjeżdżającego busa.

*

Nad ranem Kasia wysiadła z busa, stanęła na podwórku i podała milczącemu Konradowi torbę. Zawiadomiła go wieczorem, że przyjeżdża, ale chyba jej nie uwierzył, bo najwyraźniej wstał dopiero z łóżka i nie wyglądał na kogoś przygotowanego do wizyty.

– Cześć! – powiedziała. – Nie patrz tak na mnie, tylko prowadź do jakiegoś ciepłego miejsca. I w miarę ustronnego, bo będziemy się kłócić.

Ruszyli w stronę zabudowań i po chwili Kasia została wpuszczona do maleńkiego pomieszczenia, w którym stały dwa łóżka. Na jednym siedział jakiś rozczochrany mężczyzna, do połowy przykryty kołdrą, i intensywnie mrugał powiekami, oślepiiony włączonym w tej chwili światłem.

– Konrad, do jasnej cho... anielki, czemuś nic nie powiedział, że będziesz miał gościa.

– Nie wiedziałem.

– Jasne – zdenerwowała się Kasia i podeszła do mężczyzny.

– Katarzyna Jaworska – przedstawiła się. – Przepraszam, że przeszkadzam tak wcześnie.

Ten oto, nie będę się wyrażać kto, jest od wczoraj świadom, że przyjadę.

Tobiaszowi na chwilę odebrało mowę, skrępowany zasłonił goły tors i zastanawiał się, jak by tu dyskretnie dostać się do spodni, wiszących jak na złość tuż przy samych drzwiach.

Kasia zaczerwieniła się lekko i zaczęła z powrotem zapinać kurtkę.

– Wyjdę na chwilę, poczekam na zewnątrz – powiedziała. – Konrad, chodź, możemy się też pokłócić na dworze. Nie ma sprawy.

– Nie, ja już wychodzę – powstrzymał ją Tobiasz, czując z ulgą, że wróciła mu zdolność mówienia. – Dajcie mi tylko dwie minuty.

Kasia z Konradem wyszli i stali pod drzwiami w milczeniu.

Setki pytań cisnęły się Konradowi na usta i zupełnie nie wiedział, od którego zacząć. Czuł, jak znajomy mdlący, obezwładniający strach powoli przenika jego ciało, serce, a potem głowę, w której pojawia się przerażająca pustka.

Od wczorajszego wieczoru zdążył przeanalizować wszystkie możliwe scenariusze. Wiedział, że coś okropnego musiało się stać Weronice, jeśli Kasia odważyła się na taki desperacki krok. Coś o wiele gorszego niż szpital, o którym nikt go nie powiadomił. Pot wystąpił mu na czoło, otarł go szybko ręką i próbował się uspokoić.

Do końca nie wierzył w ten przyjazd. Miał nadzieję, że to jakiś głupi żart. Kasia zadzwoniła późnym wieczorem i niczego nie wyjaśniając, zażądała, żeby rano czekał na parkingu.

Noc spędził na nerwowych domysłach. Cały czas trzymał telefon w dłoni. Najpierw wyświetlił numer Weroniki w desperackim zamiarze wyjaśnienia wszystkiego u źródła, potem chciał zadzwonić do matki, w końcu zrezygnował.

Nad ranem doszedł do wniosku, że przyjazd jest wymysłem i trzeba położyć się choć na chwilę spać. Rozłożył prześcieradło, kołdrę, poduszkę na tapczanie, wyciągnął z ulgą długie ciało w chłodnej pościeli, przymknął na chwilę powieki i usłyszał dzwonek telefonu.

Kasia stała na parkingu.

Nie wiedział, o co ją najpierw zapytać. Bał się każdej wiadomości i spodziewał najgorszej.

– Czy miała wypadek? Jest ranna? – zapytał w końcu, zachrypniętym z emocji głosem.

– Tego to ja nie wiem – twardo odpowiedziała Kasia, z satysfakcją odnotowując strach, który pojawił się w jego oczach. – To już będziesz musiał sprawdzić osobiście.

W tym momencie w otwartych drzwiach stanął Tobiasz i zaprosił ich do środka.

– Idę do chłopaków – oznajmił Konradowi. – Masz tyle czasu, ile chcesz – dodał,

puszczając oko. – Załatwię ci wolne na dzisiaj, bo pewnie bardzo byś chciał.

– Nie trzeba – odparł Konrad.

– Owszem, bardzo trzeba – wtrąciła się błyskawicznie Kasia. – Dziękujemy panu, jest pan bardzo miły, dobrze zorganizowany i o wszystkim pan potrafi pomyśleć. – Kasia pożegnała Tobiasza skinieniem głowy, weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

– Siadaj i słuchaj – rozkazała, odwracając się do Konrada. – Czasu dużo nie masz. Najlepiej gdybyś błyskawicznie zrobił, co ci każe, a podyskutowalibyśmy za parę dni, ale na to pewnie nie ma szans, więc spróbuję ci to wszystko jakoś w miarę szybko wytłumaczyć. Jest bardzo źle.

Weronika postanowiła wyjechać do Danii, na stałe. Czy to do ciebie dociera?

– Tak, spodziewałem się tego. Wszyscy wiedzieli, że Weronika ma takie plany.

– Co ty pleciesz? Kto na przykład wiedział? Bo o ile ja ją znam, to zawsze chciała zostać i przykro jej było bardzo, kiedy ojciec ciągle ją namawiał do tego głupiego wyjazdu.

– Ojciec – powtórzył bezmyślnie Konrad.

– A co, nie wiedziałeś, że Weronika ma ojca? Wiesz o niej cokolwiek więcej niż to, że ma śliczne włosy i oczy jak heban?! Trzeba było ją widzieć ostatnio, jak zmarniała. Twoja Weronika już nie jest taka śliczna. Więc jeśli tylko o to ci chodziło, to rzeczywiście możesz jej pozwolić wyjechać.

– Kaśka, przestań. Wiesz dobrze...

– Nie przestanę. Przez ciebie straciła chęć do życia, jest taka bezgranicznie smutna.

– Bezgranicznie smutna.

– Dokładnie tak. Nic nie umiesz innego powiedzieć, tylko po mnie powtarzać? No wyobraź sobie, i to przez ciebie. Rozumiesz, tylko przez ciebie.

Złapała go za sweter i szarpnęła z całej siły.

– Przeze mnie? – zdziwił się Konrad, nie broniąc się przed tym atakiem. – To nieprawda. Ja przecież...

– Co przecież? Co przecież?

– Dla niej to zrobiłem, żeby jej było lepiej – powiedział z pozoru spokojnie, co sprawiło, że w Kasi się zagotowało.

– Ludzie, trzymajcie mnie, to nie romans, ty padalcu, to życie, tu się nie usuwa w cień dla dobra ukochanej.

– Dlaczego? Ja myślę, że właśnie tak się robi.

– Może się i robi – odparła po chwili namysłu – ale wypadałoby się może najpierw zorientować, czy to rzeczywiście daje coś dobrego. Może ją na przykład zapytać?

– Zapytać nie mogłem, bo ona nie wie, co dla niej dobre.

– Baranie, a ty wiesz?

– Ja może nie, ale jej ojciec.

– Ach, ojciec. Czekaj, bo mi się chyba coś powoli rozjaśnia. Czy to może on nakładł ci do głowy tych głębokich prawd o usuwaniu i tak dalej?

Konrad milczał. Odpowiedź nasuwała się sama.

– Więc to jednak prawda. No, tego już mu Weronika nie wybaczy. Słuchaj, Konrad, nie uciekniesz od tej sprawy. Cokolwiek zrobisz, zadecydujesz o życiu Weroniki, nawet jeśli nic nie zrobisz.

Konrad usiadł na tapczanie i pociągnął Kasię za rękę, wskazując jej miejsce obok. Sprężyny skrzypnęły przeraźliwie. Konrad wziął jej twarz w ręce i popatrzył prosto w oczy. Kasia wystraszyła się śmiertelnie, że on zaraz ją pocałuje, tak blisko się przysunął, ale on trzymając ją mocno, zaczął mówić:

– Powiedz mi, Kaśka, szczerze, bo przejechałaś w końcu tyle kilometrów. Naprawdę w to wierzysz, że taki żaloszny gość jak ja, syn pijaka, bez grosza w kieszeni, bez zawodu, wykształcenia i perspektyw, może być z Weroniką i jej nie skrzywdzić? Przecież ona mnie tak naprawdę nie zna. I co, zamieszka z nami w spróchniałej chacie? Bo ja z jej ojcem nie będę mógł.

Kasia oswobodziła się z jego uścisku. Nie mogła patrzeć mu w oczy, bo wiedziała, że w gruncie rzeczy ma rację.

– Ja nie wiem, moja babcia mówi, że gwarancji na szczęście w małżeństwie nic nie daje, nawet miłość, bo przemija, i to jest prawda, sama wiem najlepiej. Ale babcia twierdzi, że powinieneś wrócić, bo Weronice nie przejdzie i zawsze będzie już przez ciebie nieszczęśliwa. Powiedziała też, że warto spróbować, bo stać cię na dużo więcej, niż myślisz. Wszystkie inne sprawy po prostu jakoś powoli się ułożą.

Konrad milczał. Udawał, że nie czuje wielkiej radości, która podchodziła mu potężną falą pod gardło. Na samą myśl, że mogłaby istnieć jakaś szansa.

– Jeżeli tego nie zrobisz – dodała Kasia na koniec – to twój ojciec wygra, jej ojciec wygra, alkohol wygra, kłamstwo i krzywda. Wszystko, co najgorsze.

*

Pół godziny później patrzyła z zadowoleniem, jak spod tylnego koła motocykla prysnęła fontanna wody. Konrad przejechał przez podwórkowe kałuże i po kilku sekundach zniknął za bramą. Jeszcze przez chwilę słychać było odgłos silnika, po czym zapadła cisza.

Kasia ocknęła się i odwróciła do stojącego za nią mężczyzny. W mgnieniu oka oceniła swoją sytuację jako niewesołą.

Została tu sama z obcymi ludźmi i chociaż miała w kieszeni bilet powrotny, czuła się dość niepewnie.

Szybko jednak zmobilizowała się do uśmiechu.

Tobiasz odpowiedział również uśmiechem i zapytał:

– I co teraz? Zostaniesz u nas?

– Oczywiście, że nie.

– Jak to nie? A kto będzie pracował za Konrada? Wypędziłaś mi najlepszego pracownika, to musisz go zastąpić. Praca nie jest trudna, a na dodatek ja osobiście będę twoim szefem.

– Nie żartuj, dzisiaj po południu wracam, tym samym busem, którym przyjechałam.

– No, taką rzecz to radziłbym sprawdzić.

– Dlaczego? – przestraszyła się Kasia.

– Bo o ile wiem, nikt z naszych dzisiaj się w drogę nie wybiera, a busy tędy nie jeżdżą codziennie. Dla jednego pasażera nie będzie im się pewnie chciało.

Chciał dodać, że to nie autobus, ale widząc, że dziewczyna jest naprawdę wystraszona, zamilkł.

Kasia wyglądała tak jakoś bezbrinnie na tym wielkim podwórku, sama wśród obcych. Odgarniała z czoła niesforne włosy, ale wiatr i tak je nawiewał z powrotem. Sprawiały wrażenie niezwykle miękkich i Tobiasz poczuł ogromną chęć, by sprawdzić, jakie są w dotyku. W tym momencie to było niemożliwe. Zadał więc tylko pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy.

– Masz telefon do tej firmy?

– Jasne, że tak. – Kasia zajrzała do torebki i wyciągnęła zgięty na pół bilet. Była tam pieczętka, a na niej telefon. Dodało jej to otuchy.

Wszystko będzie dobrze – pomyślała.

Wydobyła komórkę z kieszeni i zadzwoniła.

Tobiasz wpatrywał się w nią i nagle ogarnęło go ogromne pragnienie, żeby bus dzisiaj nie kursował. To było bardzo prawdopodobne, bo zawsze umawiali się przynajmniej dwa, trzy dni wcześniej, choć przypadek mógł sprawić tej dziewczynie niespodziankę. Chciał, by została, i żeby on był jedyną osobą, która będzie mogła jej pomóc.

– Jak to dzisiaj nie jedzie? – usłyszał kilka sekund później. – Mówił pan przecież, że wystarczy zadzwonić i wpiszę mi datę powrotu.

W słuchawce ktoś coś tłumaczył, a Kasia na chwilę straciła dech z oburzenia.

– Tego pan nie mówił! – krzyknęła. – To kiedy jest najbliższy kurs? Za dwa dni? Czy pan oszalał? Jak ja sobie tutaj poradzę przez dwa dni?

Tobiasz się ucieszył. Takiego daru od losu się nie spodziewał. Nie znał tej dziewczyny i nic o niej nie wiedział. Nie szukał łatwej przygody, ale miał ogromną niewytłumaczalną ochotę spędzić z Kasią trochę czasu.

Kasia wyłączyła telefon i odwróciła głowę. Bała się.

Została sama na pustkowiu z gromadą obcych ludzi i tym mężczyzną, który wpatrywał się w nią badawczo. Jego spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Wyglądał na typa o podejrzanych zamiarach.

Sama popędzała Konrada, tak podgrzewając atmosferę, że wypadł z pokoju jak stał, łapiąc tylko do ręki plecak z dokumentami i jakąś kopertę z szuflady, pewnie uciulane oszczędności.

Tak barwnie mu przedstawiła rozpaczliwą sytuację Weroniki, że ten rozsądny chłopak stracił głowę. Pobiegł do szefa, nie zważając na wczesną porę, szybko coś z nim załatwił, uruchomił hondę i z piskiem opon odjechał.

Super. O to dokładnie chodziło. Tylko że ona została tu sama, o piątej rano, na łasce jakiegoś podejrzanego typa.

Nagle zauważyła, że drżą jej kolana i dłonie. Czytała, że ludzie mogą trząść się ze strachu, ale nigdy nie myślała, że tak trudno nad tym niechcianym drżeniem zapanować.

Zmobilizowała wszystkie siły, starając się, by kolega Konrada niczego nie zauważył. Opanowała się trochę i lekko tylko trzęsącym się głosem zapytała:

– Jak daleko stąd do najbliższego miasta?

Tobiasz spojrział na nią. Była taka mała i bezbronna, broda jej drżała i miał wrażenie, że cała jest rozdygotana, ale wyraźnie próbowała być dzielna. Bardzo go to rozczuliło. Miała w sobie tyle dziewczęcej łagodności.

– Nie martw się – powiedział. – Do miasta stąd niedaleko, ale spokojnie możesz zostać tutaj.

– Czy nie mógłbyś mi wyjaśnić, jak się dostać do najbliższego hotelu – zapytała. – Na pewno się tutaj we wszystkich sprawach orientujesz najlepiej – dodała, wychodząc z założenia, że pochwał w kontaktach z mężczyznami nigdy za wiele, i popatrzyła mu głęboko w oczy, starając się wyglądać jednocześnie łagodnie, ale nie bezbrinnie. Żeby sobie nie myślał.

Chyba poskutkowało, bo lekko się zaczerwienił.

Miał jakieś złe zamiary – upewniła się Kasia.

Tobiasz pod jej błagalnym spojrzeniem zmiękł jak wosk. Dziewczyna liczyła na niego i szukała pomocy. A była tak miła i ufna, że poczuł w sobie gotowość dokonania dla niej wielkich czynów. Mógłby wsiąść w najszybszy samochód i pędzić trzysta kilometrów na godzinę, skoczyć na główkę do wody, nie troszcząc się o jej głębokość, ale przede wszystkim rozkwasić pysk każdemu, kto chciałby się do niej zbliżyć w złych zamiarach.

Kasia cofnęła się o krok, bo Tobiasz podszedł zbyt blisko.

– Nie bój się – powiedział. – W mieście i tak jest tylko jeden hotel, bardzo drogi. Możesz tu spokojnie zostać przez dwa dni. Dam ci nasz pokój, a ja się wyniosę. Będę spał w korytarzu, pod drzwiami, nic ci tutaj nie grozi.

Kasia, której ta wizja nie uspokoiła ani trochę, zawahała się.

– Chodź – zarządził. – Jestem kumplem Konrada, nie gryzę, nie pozeram niewinnych dziewcząt na śniadanie i w terminie płacę podatki. Nie bój się. Zabiorę cię na razie do nas, zrobię herbaty. Ogrzejesz się, zjesz śniadanie, a jeśli nadal będziesz chciała, zawiozę cię do miasta.

Kasia odetchnęła lekko. Może nie będzie tak źle. Najważniejsze to nie drażnić go i jakoś przetrwać to śniadanie. I tak nie miała innego wyjścia, na piechotę nigdzie by nie doszła, a przecież Konrad na pewno nie mieszkał w towarzystwie przestępców. Gdyby tak było, ostrzegłby ją na pewno. Jest głupkiem, ale przecież nie aż takim.

Zrobiła kilka powolnych kroków w stronę budynku, rozglądając się uważnie, skoncentrowana i czujna.

Patrzył na nią z rosnącą czułością.

Weszli do pokoju. Tobiasz miał wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Wszędzie panował dziwny nieporządek, choć wczoraj sprząтали. Ale nie przyszło im do głowy, żeby pozbierać suszące się na sznurku nad stołem skarpetki, schować robocze ubrania do szafy, upchnąć zabłocone buciory pod łóżko. Najpierw otworzył okno, skrępowany zapachem wypełniającym szczelnie małe pomieszczenie. Kwintesencja męskości. Pot, skarpety i jedzenie. Dobrze, że piwa wczoraj nie pili, bo Konrada nie dało się do tego przekonać i Tobiasz powoli się przy nim odzwyczajał.

Zdjął z krzesła wiszące tam spodnie i koszulę, strzepnął okruszki na ziemię i poprosił Kasię, żeby usiadła. Schował jej kurtkę do szafy, zaścielił łóżko, równocześnie robiąc w myślach błyskawiczny przegląd posiadanych produktów jadalnych. Miał tylko musztardę, kawałek kiełbasy i starą czekoladę.

Żeby trochę zyskać na czasie, postanowił zacząć od zaparzenia herbaty. Oczywiście czystej szklanki nie było, bo zmywali zawsze dopiero, kiedy potrzebowali, i ten logiczny system po raz pierwszy objawił swoje wady.

Przeprosił Kasię na chwilę, wziął kilka brudnych naczyń i wyszedł. Dochodziła szósta, w pokojach powoli zaczynał się ruch. Tobiasz szybko porzucił myśl o myciu szklanek i postanowił iść po prośbie. Pół godziny później zadowolony wracał do pokoju z naręczem zdobycznej żywności i dwoma czystymi kubkami. Wyzebrał nawet dwie torebki jaśminowej herbaty. Nie wiedział, jak smakuje, ale brzmiało romantycznie. Tej łagodnej dziewczynie powinno się spodobać.

Tymczasem Kasia, zdenerwowana i zmęczona po długiej podróży, analizowała sytuację, nie żałując przekleństw.

Szlag by to trafił, jak mogła się tak urządzić.

Postawiła jedno krzesło jak najbliżej drzwi, drugie pod oknem, tak aby agresor był choć trochę zablokowany w tym ciasnym pomieszczeniu.

Dokładnie obejrzała pokój. W kącie znalazła solidnych rozmiarów młotek, i dyskretnie ukryła go we własnej torbie i odsunęła zamek. Położyła bagaż obok krzesła i parę razy przećwiczyła. Wystarczył jeden ruch ręki i młotek był gotowy do ataku. Nie miała zamiaru walić nim przeciwnika w głowę, nie była idiotką, ale zatrzymać w razie czego na tyle, żeby zdążyć do drzwi. Na komodzie, obok jednego z tapczanów, leżał pęk kluczy. Na wszelki wypadek je ukryła. Nie wiadomo, co taki typ wymyśli. Poczuli się odrobinę lepiej.

Tobiasz tymczasem zahaczył o pierwszą szklarnię i ostrożnie, żeby nie upuścić trzymanyh rzeczy, wziął jeszcze doniczkę z miniaturową różą. Ta miła dziewczyna była stworzona do tego, by jej dawać kwiaty i otaczać ją czułością. Całkowite przeciwieństwo silnej, agresywnej Klaudii.

Kasia drgnęła. Ktoś łomotnął w drzwi. Podeszła ostrożnie, ściskając, w ukrytej za plecami dłoni, młotek, i nacisnęła klamkę.

Zobaczyła uśmiechniętego Tobiasza, który dzierżył pod pachą doniczkę z różą, a ziemia sypała mu się na sweter. W obu rękach trzymał produkty spożywcze i Kasia zrobiło się trochę głupio, że nie może mu pomóc. Za nic w świecie nie wyciągnęłaby teraz prawej ręki.

*

– Bardzo proszę, niech pan uzna, że to jest motorower – rzekł Konrad i złożył ręce w błagalnym geście.

Policjant spojrział fachowo na potężną czarną hondę, a potem na chłopaka.

– A według ciebie to niby motorower?

– Nie, ale ja się na tym nie znam. Jestem tylko zwykłym kierowcą, a pan fachowcem, jeśli pan stwierdzi, że to motorower, tak będzie. Proszę, moje życie od tego zależy. I nie tylko moje. Błagam...

– Chłopie, czego ty ode mnie wymagasz? – oburzył się policjant i rozejrzał, czy nikt nie słyszy. – Przecież złapią cię na następnym skrzyżowaniu.

– Nie złapią. Przejechałem już ponad tysiąc kilometrów. Będę ostrożny. Naprawdę muszę jechać, za wszelką cenę.

– A gdzie chcesz dojechać?

– Do Świnoujścia. Muszę zdążyć na prom do Kopenhagi.

– O krzywa twarz! Chyba oszalałeś.

– Coś panu pokażę.

Wyciągnął portfel. Miał w nim podręczny zestaw pamiętek, którymi katował się przez ostatnie miesiące. Może teraz posłużą wreszcie do czegoś innego. Było tam zdjęcie sprzed dwóch lat, z dawnych dobrych czasów. Sam je zrobił i dostał potem na pamiątkę. Weronika siedziała na ławeczce pod lipą, machała ręką i z całego serca śmiała się do kogoś, kto stał po drugiej stronie

obiektywu.

Oczywiście tym kimś był on sam, Konrad Jarzębski, największy głupek świata, naprawdę żaloszny gość.

Pokazał zdjęcie policjantowi.

– Zrobiłem jej krzywdę, nie chciałem, ale tak się stało. Niech mi pan pomoże, jeżeli zdążę, będę mógł przynajmniej spróbować coś naprawić!

Policjant, mimo woli, zapatrzył się z fascynacją w dziewczynę utrwaloną na fotografii. Trwało to dość długo, lecz Konrad nie śmiał powieką mrugnąć, żeby nie spłoszyć nastroju chwili. W końcu policjant ocknął się, oddał bez słowa zdjęcie i wyciągnął służbowy notes.

Nie udało się – pomyślał Konrad z rozpaczą.

Policjant wyrwał kartkę i rzekł stanowczo.

– Masz, do cholery, pięć sekund, wsiadaj i jedź. Tu zapisałem numer komórki. Jak dojedziesz szczęśliwie na miejsce, w co wątpię, to wyślij esemesa, jak poszło. Ze szczegółami. Wyślij też – zawahał się chwilę – jeżeli będziesz potrzebował pomocy. Jakiegokolwiek. A teraz spadaj.

Konrad, nie czekając ani chwili, włożył kask, włączył motor i odjechał pięknym zrywem, z nerwów zbyt mocno naciskając gaz.

Wystraszył się, bo drugi policjant, do tej pory spisujący jakiegoś biednego kierowcę tira, który przekroczył prędkość, zakończył pracę i wyraźnie zaintrygowany zbliżał się w ich stronę. Nie wyglądał na takiego, co by się wzruszył fotografią nieznannej dziewczyny.

*

Weronika stała na górnym pokładzie promu i patrzyła na małe okrągłe krople wody wzbijające się w powietrze. Obezwładniał ją smutek. Słońce przypiekało i większość pasażerów schowała się pod dachem. Na otwartej przestrzeni siedziała tylko młoda blondynka z dwojgiem dzieci piszczących z radości oraz jakiś chłopak w mocno wymiętym ubraniu.

Pewnie Duńczyk – pomyślała Weronika. – Oni są ponoć dużo bardziej tolerancyjni i nie przywiązują takiej wagi do ubioru i pozorów jak my.

Chłopak siedział daleko od niej i nie widać było rysów jego twarzy, ale na pewno miał ciemne włosy. To podobno rzadkość wśród Duńczyków. Weronika poczuła, że wbrew swoim wcześniejszym pragnieniom chciałaby jednak poznać w Danii chociaż jedną osobę, która wyglądałaby znajomo.

Jak ten chłopak na przykład.

Miał coś takiego w sobie, w sylwetce, w pochyleniu głowy, co czyniło go od razu bliskim. Weronika zrobiła kilka kroków. Był trochę podobny do Konrada, nie dało się ukryć, i chyba dlatego tak ją zaintrygował.

A może to jakiś dar od losu? Konrad numer dwa, tak zwany drugi egzemplarz gratis w cenie jednego.

Może powinna go poznać, zaprzyjaźnić się i poczuć, że Dania to jej kraj, i pełno w nim takich Konradów jak w Polsce.

Podeszła jeszcze bliżej. Podobne włosy, tylko trochę dłuższe, linia brody, pochylenie ramion. Zrobiła jeszcze parę kroków. Ten smutek na twarzy i te usta, chłopak podniósł głowę.

To był Konrad.

*

Płynęli już bardzo długo, na górnym pokładzie zrobiło się zimno, ale żadne z nich nie odważyło się przerwać milczenia ani zmienić pozycji. Odkąd Konrad wyciągnął rękę, a Weronika usiadła mu na kolanach, trwali tak bez ruchu.

Po pewnym czasie Weronika zaczęła trząść się z zimna, więc Konrad wstał, objął ją mocno i bez słowa poprowadził do zamkniętej części promu.

Było tam ciepło. Usiedli przy jednym ze stolików, jak najbliżej siebie, i nadal milczeli.

Było tyle spraw do opowiedzenia, tyle trudnych pytań.

Konrad bał się, że jakieś niebaczne słowo może uruchomić lawinę nieporozumień i krzywdy, która pogrzebie ich szanse już na zawsze.

Milczał, ale nie czuł się z tym dobrze.

– Wiesz, że moja praprababcia była hrabiną? A mój ojciec myślał, że nie jestem jego córką. Uwierzysz? – przerwała ciszę Weronika, zaczynając od spraw, które teraz wydały jej się najprostsze. – A do tego wszystkiego nawet się nie zdążyłam pożegnać z Kasią. Gdzieś przepadła i nie odbiera telefonów.

Konrad zerwał się gwałtownie. Wyprostował się i palnął dłonią w czoło.

– Kurczę blade! Kasia! Została tam przecież sama.

– Gdzie została?

– Jak to? Nie wiesz o niczym? Przyjechała do mnie do Niemiec. Zmyła mi głowę jak smarkaczowi i kazała jechać za tobą.

Konrad nerwowo szukał komórki w plecaku, wreszcie znalazł i zadzwonił.

– Tobiasz, o jak dobrze, że odbierasz. Co? U mnie w porządku, ale powiedz mi, co z Kasią? Zaopiekowałeś się nią, ma gdzie spać? Co zrobiłeś?! Kazałeś jej spać w korytarzu?! Ty kretynie, chyba jasne, że nie chciała z tobą w jednym pokoju. Nie mogłeś iść do chłopaków? Musiałeś się zachować jak ostatni... Kiedy ten cholerny bus przyjeżdża? Za dwa dni. Masz natychmiast pojechać do miasta i wynająć jej pokój w hotelu, ja ci wszystko... Jak to jakim prawem ci polecenia wydaję? Tobiasz, czy ty jesteś chory, czy ja zwariowałem? Oczywiście, że daj mi Kasię.

Ale zaraz twarz mu się rozpozodziła.

– Powiedz temu draniowi, że go tak stłukę po powrocie, że zapomni już na zawsze, że lubi głupie dowcipy. Tak, znalazłem – zamilkł na chwilę – nic więcej na razie nie mogę ci powiedzieć. Tylko dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem do końca życia.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na własne dłonie.

Chciał, szczerze powiedziawszy, uniknąć rozmowy o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy.

Ale Weronika wyciągnęła rękę, więc usiadł z powrotem bardzo blisko i tak siedzieli prawie do rana.

Weronika zasnęła z głową na jego ramieniu, a on bał się poruszyć, by nie spłoszyć tej chwili, choć nie czuł zdrętwiałych nóg, a oparcie od siedzenia odbiło się w plecach zapewne na resztę życia.

Wciąż patrzył na twarz śpiącej Weroniki.

Są ludzie, którzy nie uwierzą, jeżeli nie zobaczą. Konrad nie wierzył w to, co widzi. Udało mu się odnaleźć ukochaną. Chciała z nim rozmawiać. Nie uciekła, nie obraziła się. Teraz najważniejsze to nie zniszczyć znowu wszystkiego.

Westchnął.

Jasne, że trzeba wziąć się w garść i jakoś tę zaplątaną sytuację wyprostować. Tylko jak to zrobić?

Rano stanęli zmęczeni i niewyspani na nabrzeżu.

Konrad bardzo chciał zapytać Weronikę, czy wróci z nim do domu. Jednak to pytanie było jak kula pełna haków, igieł i zadziarów. Z największym trudem przedzierało się przez jego gardło. Musiało się przedostać przez całe dzieciństwo pełne krzywdy, przez wspomnienie wszystkich wieczorów, kiedy uciekali z matką z domu, kiedy musiał wyciągać siłą młodsze rodzeństwo z rąk pijanego ojca i ciągle słyszał, że jest nikim, śmieciem, głupkiem.

Przez czas szkoły, kiedy zawsze był najgorszy, najbiedniej ubrany, często głodny i nieprzygotowany do lekcji.

I poprzez krzyk Kościelniaka, żeby sobie wybił z głowy taki żaloszny pomysł, że Weronika będzie jego.

Żeby walczyć, trzeba mieć choć nikłą nadzieję na zwycięstwo. Konrad zebrał siły. Spojrzał na rozciągające się przed jego oczami ogromne morze. Nie wierzył w sukces, lecz postanowił spróbować.

Chrząknął, przełknął z trudem ślinę, wciąż kurczowo trzymając Weronikę za rękę.

– Wrócisz ze mną? – zapytał schrypniętym z nerwów głosem.

Nie zdołał powiedzieć – do domu, bo przecież nie miał żadnego domu i dlatego też uważał pytanie za żałośnie głupie, ale od czegoś trzeba było zacząć.

Weronika przytuliła się do niego z całych sił i wyszeptala mu dokładnie w drugi guzik kurtki:

– Wrócę.

No proszę – pomyślał Konrad – widać można zwyciężać także bez wiary w sukces.

Najważniejsze to próbować.

O jedenastej wsiedli na prom powrotny.

*

Kościelniak wpadł jak burza do biura Cześka Wilka.

– Ty nie uwierzysz – zawołał od progu. – Weronika już wraca. Do jasnej cholery, rozumiesz coś z tego? Ledwie w Danii nogę postawiła i już wraca. I jeszcze zadowolona, jakby ją nie wiem jakie szczęście spotkało. Żebym to ja miał kiedy w życiu taką szansę. A ona wszystko, po prostu wszystko, potrafi spieprzyć.

Usiadł ciężko.

Czesiek wyjął z podręcznej lodówki puszkę piwa i rzekł zrezygnowany:

– Chodź, dzisiaj i tak już nie popracuję. Pójdziemy na taras i pogadamy.

– Dobrze. A twoja żona jest?

– Nie, pojechała na targ. Możesz spokojnie nadawać na kobiety, ile chcesz.

– Ja nie nadaję na kobiety.

– Jasne.

Rozłożyli sobie granatowe krzesła ogrodowe, Czesiek przyniósł całą zgrzewkę piwa, dwie paczki czipsów, słoik ogórków i talerz wędliny, czuł bowiem, że rozmowa będzie długa i trudna.

Przez pierwsze pół godziny Kościelniak jadł, pił, pieklił się i uzał nad swoim marnym losem. W jego wypowiedziach ciągle przeplatały się dwie myśli. Dlaczego Weronika nie chce zostać za granicą i jak ciężko jest samemu wychować córkę, w domyśle cudzą.

Czesiek długo milczał, ważąc słowa.

Potem się zdenerwował w kółko tymi samymi żałami i waląc puszką w stół, krzyknął:

– A może byś tak sam pojechał za granicę, skoro uważasz, że to takie super, a nie tylko ciągle dziecko wyrzucał.

– Ja? – zdziwił się Kościelniak.

– A co? Nie masz dwóch rąk, nie możesz pracować?

– Przecież języka nie znam.

– I co z tego. Są budowy, na których pracują prawie sami Polacy. Chcesz, to ci załatwię kontrakt, posmakujesz tego chleba.

Kościelniak zamilkł, oburzony do granic insynuacją, że on sam mógłby ewentualnie przejąć jakąś inicjatywę i coś zrobić, żeby zmienić swoje życie.

Zmienił temat na bezpieczniejszy.

– Słyszałeś o tym głupku z gminnego archiwum? – zapytał. – Lata po okolicy i wtrąca się w nie swoje sprawy. I kłamie – dodał po chwili.

– Jesteś pewien? – Cześkowi zrobiło się nagle żal Kościelniaka.

– A co, wierzysz w tę historię z jakimś hrabią?

– Wygląda na prawdziwą. Pokazywałeś mi zdjęcie, które zostawiła Weronika. Naprawdę jest podobna. Twoja żona cię nie zdradziła.

– Zamknij się – wściekł się Kościelniak. – Wszyscy najlepiej wiedzą, co się u nas dzieło. I wszyscy mają pretensję do mnie, a wcześniej nie protestowali, tylko chętnie roznosili plotki.

Zamilkli na długo. Nawet piwo przestało im smakować.

– Kochałem ją naprawdę, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Kiedy się dowiedziałem, że dziecko nie jest moje, spieprzyłem wszystko. Wiem. Przynajmniej to Weronika ma po mnie. Talent, żeby wszystko spieprzyć. Rzeczywiście, wygląda na to, że jest moją córką.

Posiedział jeszcze chwilę, zjadł kilka czipsów, ale ochota na rozmowę całkiem mu przeszła.

Około południa, nie całkiem trzeźwy, wrócił do domu.

U Cześka i tak nie było już co robić, bo jego żona wróciła z zakupów i on jak ostatni pantoflarz zabrał się do sprzątanania, przepraszania i pogaduszek.

Kościelniak poczuł ukłucie zazdrości. Czesiek też był głupkiem, jednak zmadrzał i miał szansę wszystko naprawić. Jemu los takiej okazji nie podarował. Śmierć zamknęła wszelkie drogi.

W domu siadł przy kuchennym stole, otworzył laptopa i zaczął grzebać w internecie. Pewna myśl zakiełkowała mu w głowie i nie chciała go opuścić.

Potem zadzwonił do kuzyna, od kilku lat mieszkającego w Anglii. Po rozmowie znowu otworzył laptopa.

Czuł się, jakby i on dostał nową szansę. Wyszukał stronę internetową, o którą mu chodziło, i zadzwonił pod podany tam numer.

Umówił się na spotkanie jeszcze tego samego dnia. Postanowił załatwić jak najwięcej, zanim Weronika wróci. Miał czas do wieczora.

*

– Jesteś już z powrotem, jak widzę.

Weronika usiadła i spojrzała na ojca, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

Kościelniak nie zamierzał tracić czasu na niepotrzebne wstępy. Chciał jak najszybciej mieć tę rozmowę za sobą.

– Nie poinformowałam mnie o swoich planach, więc cię pewnie nie zdziwi, że ja też sam podjąłem pewne decyzje – powiedział, nie czekając nawet, aż córka zdejmie płaszcz.

Weronika położyła bagaż na podłodze i usiadła zaskoczona. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszała, żeby ojciec naraz powiedział tyle słów.

– Wszyscy mają do mnie pretensje, że cię skrzywdziłem – mówił ojciec. – A to przecież nie ty jesteś tu najbardziej poszkodowaną osobą.

– Pewnie ty, tato – dopowiedziała Weronika, przełykając gorzką łzę. Nie spodziewała się takiego powitania.

– Nie podejrzewałem cię o takie zrozumienie sytuacji – rzekł ojciec poważnie. – Może więc pozostałe sprawy też pójdą gładko.

Zamilkł na chwilę i wyłączył telewizor. Nigdy wcześniej tego nie robił, zawsze gdzieś w tle migał błękitny ekran. Nawet po pogrzebie mamy.

Widocznie sprawa była bardzo poważna.

Ojciec siedział przy dębowym stole. Tak jak sobie to Weronika wiele razy wyobrażała. I chciał rozmawiać.

– Nienawidzę tej wsi – zaczął cicho – ciasnoty, głupich plotkarek. Zawsze chciałem stąd uciec.

Weronika słuchała w napięciu, nie mogąc uwierzyć, że milczenie wreszcie zostało przerwane i pojawiła się szansa na porozumienie. Skoro udało się z Konradem, to i z nim na pewno się powiedzie.

– Nie miałem w życiu tak dobrze jak ty – ciągnął. – Nie musisz nikogo prosić o zgodę, pomógłbym ci też wyjechać. Ale ty nie chcesz. Jesteś już dorosła i nie zamierzasz mnie słuchać. Dasz sobie radę.

Weronika zupełnie nie domyślała się, do czego zmierza. Trochę inaczej wyobrażała sobie pierwszą szczerą rozmowę.

– Słuchaj! – zwrócił się do niej i chyba po raz pierwszy w życiu spojrzał jej prosto w oczy. – Ja wyjeżdżam w przyszłym tygodniu. Na zawsze.

Weronika zamarła.

– Jadę do Anglii. Na początek do wujka Andrzeja. Rozumiesz, że potrzebuję pieniędzy. Nie mamy oszczędności, pensję wydaję na gospodarstwo i dom. Dlatego musisz zrozumieć, sprzedałem dom.

Weronika milczała, z trudem radziła sobie z przełożeniem usłyszanej informacji na fakty.

– Co zrobiłeś? Ten dom? Nasz? – zapytała.

– No tak, jest nasz, choć formalnie tylko mój – powiedział ojciec spokojnie, jakby rozmawiali o rzeczach zupełnie zwyczajnych. – Ale nie martw się, nie zostawię cię na łasce losu. To także twoje dziedzictwo. Za połowę pieniędzy kupiłem ci w mieście mieszkanie. Jeden pokój, chyba ci wystarczy. Rodziny przecież teraz nie będziesz zakładać, masz czas. Bardzo ładne mieszkanie, po starszej osobie, gustownie i przytulnie urządzone. Z całym wyposażeniem, wszystkie meble stare, pewnie ci się spodobają.

Nasz dom też sprzedałem z całym wyposażeniem, dzięki temu cena była ciut wyższa, choć i tak żadna rewelacja, bo sprzedałem to agencji nieruchomości za gotówkę. Nie mam czasu na szukanie kupców. Niech się oni o to martwią, czy się znajdzie jakiś głupek, co tu będzie chciał mieszkać.

Weronika oniemiała.

– Tato, a ziemia? – zapytała. – Wszystko sprzedałeś?

– Tak, sam dom nie był wiele wart, chociaż jest po remoncie.

Weronice zakręciło się w głowie. Zrozumiała, co to znaczy utracić grunt pod nogami.

Dosłownie utracić.

– A las?

– Też.

– I za połowę ceny, którą ci zapłacili, kupiłeś mi stare mieszkanie?!

– A co? Podejrzewasz mnie o oszustwo? Umowę mam ci pokazać?

– Ciebie nie. Bardziej tych, którzy kupili nasz dom. Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest warte siedem hektarów pola, hektar lasu i dom, budynki gospodarcze, stare drzewa, nasza lipa, ogród? – zaczęła wyliczać i rozpląkała się.

– Nie opowiadaj bzdur i nie rób hysterii – rzucił ojciec twardo i odwrócił się w stronę okna. Nie znosił, kiedy płakała. – Był tu agent z biura nieruchomości i mówił, że to wszystko nie jest wiele warte. W górach, wysoko, wszędzie daleko. Kto by tu chciał mieszkać? Ma gość rację. Ja sam bym nie chciał.

– Tato, tu jest przecież pięknie i ludzie teraz szukają takich ładnych miejsc, żeby uciec z miasta.

– Chyba tylko jakieś głupki. W każdym razie i tak już jest po sprawie, bo pieniądze wzięłem i mieszkanie w rozliczeniu. Za późno.

– Mieszkanie w rozliczeniu. Rozumiem, w tej samej agencji.

– Tak, to bardzo życzliwy człowiek, ten agent. W jeden dzień rozwiązał wszystkie moje problemy.

Weronika rozejrzała się bezradnie po kuchni.

– To gdzie mam spać? Wolno mi jeszcze w moim pokoju? – zapytała.

– Nie histeryzuj. Możesz tu zostać jeszcze tydzień, do mojego wyjazdu. Jutro pokażę ci mieszkanie, pomogę ci się przenieść, choć sam mam przed wyjazdem niejedno do załatwienia. Będzie dobrze.

Weronika milczała przytłoczona absurdalnością sytuacji, która nie mogła jej się pomieścić w głowie.

– Na ślub przyjedziesz? – zadała pierwsze pytanie, jakie jej się nasunęło.

– Czyj? Twój? Pewnie że tak. Do tego czasu to ja tu własnym porsche przyjadę.

– To dobrze – powiedziała Weronika z rezygnacją. Wstała i poszła na poddasze do swojego pokoju. Już cudzego.

Stanąła przy oknie, rozpięła kurtkę i odsunęła firanki. Patrzyła na góry. Codzienny widok. Wyglądały tak majestatycznie, jakby nic ich ruszyć nie mogło, a jednak ojciec jednym podpisem przekazał je komuś obcemu.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Już nie ma domu i zostanie całkiem sama.

Nieprawda.

Uśmiech znów wypłynął na jej twarz. Jak to dobrze, że Konrad wrócił.

Zdjęła buty, zawinęła się w koc i zadzwoniła do niego.

*

Piotrek, syn sąsiadów, podrzucił volkswagenem cały dobytek Weroniki. Ojciec obiecywał pomoc, ale w końcu okazało się, że ma coś pilnego do załatwienia. Przez cały tydzień nie miał nawet godziny, żeby jej pokazać mieszkanie. Dał jej tylko ostatniego dnia, tuż przed wyjazdem, klucze, akt własności i adres.

Po krótkim, dość suchym, pożegnaniu z ojcem Weronika opuściła na zawsze swój dom rodzinny. Konrad wyniósł wszystkie jej rzeczy, spakowane w pudła.

Weronika stała na podwórku pod lipą, którą posadził jej pradziadek, patrzyła na ogród pielęgnowany przez pokolenia i dom, który kochała. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Ojciec wyraźnie się niecierpliwił. Też był już spakowany i się spieszył. Zamówił sobie taksówkę, chyba po raz pierwszy w życiu. Widać było, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł wyjechać.

Na podwórku, przy drugim samochodzie, stał zadowolony agent i udając bez powodzenia zrozumienie dla uczuć Weroniki, czekał na klucze.

Weronika przełknęła łzy i zamknęła swój dom po raz ostatni. Oddała klucze, pomachała zadowolonemu ojcu, który natychmiast dał znać taksówkarzowi i odjechał.

Wsiadła do samochodu. Przytuliła się do Konrada i rozpłakała. Trzymała go kurczowo za sweter, bojąc się, że i on zniknie, jak wszystko co do tej pory kochała.

Przez cały czas jej komórka wysyłała charakterystyczny sygnał. Znak, że Kasia czuwa. Od rana przysyłała ona przyjaciółce podnoszące na duchu esemesy. Szef nie dał jej urlopu, po ostatniej aferze, kiedy wróciła z Niemiec trzy dni później, niż było umówione.

Kasia – najjaśniejsze słońce świata. Prawdziwa przyjaciółka. Weronika poczuła się trochę lepiej. Miała wokół siebie kilka życzliwych osób.

A mieszkanie może nie będzie takie złe.

*

Mieszkanie było okropne. Śmierdziało starym dymem tytoniowym, kurzem i jakimś bliżej nieokreślonym smrodem.

– Nie martw się – powiedział Konrad. – Zedrzymy tynk, zrobimy generalny remont. Wszystko powoli kupimy. Zaczniemy od zasłon i firanek. Pomalujemy ściany, na tyle stać nas na początek.

– Myślałam, że kiedyś będę mieć prawdziwy dom, bezpieczny i spokojny, jednak jakieś fatum nade mną ciąży. Albo mam piękny budynek, ale nikt mnie tam nie chce i nie potrzebuje, albo nie mam nic.

– Jak to nic, a mieszkanie?

– Mam w tej norze rodzinę zakładać? Prawdziwy dom to taki z ogrodem, i tak dalej. Nigdy w życiu nie mieszkałam w bloku.

– A dlaczego nie? Cztery ściany są, kuchnia, ciepło, bezpiecznie, a reszta już od ciebie zależy. Miejsce jest nieważne, co innego się liczy. Powoli wszystko się ułoży.

Weronika odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Co się ułoży?

Konrad się spieszył.

– No ogólnie.

– A konkretnie? Co będzie dalej? Wrócisz do pracy? Może czas o tym pogadać.

Konrad rozejrzał się po pokoju, jakby szukał ratunku.

– Ale tu? – zapytał, wyraźnie grając na zwłokę. – W tym smrodzie?

– No wiesz, ja teraz tak mieszkam, jeśli ci to przeszkadza... – powiedziała i przytuliła się do niego mocno.

– Nie – odparł szybko. – Tylko sądziłem, że wolisz jakoś tak bardziej romantycznie.

– Wolę – dotarło do Weroniki. – Dzisiaj o dwudziestej nad strumykiem, przy głębince – rzuciła pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy, i wybiegła z mieszkania, zostawiając

oszołomionego Konrada z kluczami.

*

Kasia odpisywała na zaległe maile.

Strasznie dużo mam tych znajomych w internecie – pomyślała zdenerwowana. – Codziennie zapchana skrzynka. Nowe informacje, zaproszenia i oglądanie zdjęć, a to wszystko pochłania czas jak smok wawelski owce.

Sama była sobie winna, bo nikt jej do takiej aktywności na różnych portalach nie zmuszał, lubiła to. Ale dzisiaj palce z trudem trafiały w litery na klawiaturze, ponieważ Kasia aż się trzęsła ze zniecierpliwienia.

Była bardzo ciekawa, co u Weroniki.

Ten palant Konrad w trudnej sytuacji jednak umiał się znaleźć i pokazał, na co go stać. Mimo to Kasia nie miała jeszcze do niego zaufania. Pamięć dawnych przewin wobec Weroniki wciąż była w niej żywa.

Czekała z wielką niecierpliwością na przyjaciółkę.

Wiedziała, że Weronika wczoraj razem z Konradem oglądała kupione przez ojca mieszkanie i coś tam się musiało wydarzyć, bo wieczorem przyszedł jakiś kompletnie nieskładny esemes, z którego niewiele można było wywnioskować, oprócz wiadomej informacji, że Weronika jest zakochana po same uszy.

Wreszcie przyszła. Stała w drzwiach roześmiana i tak promienna, że Kasia odetchnęła z ulgą.

– Opowiadaj ze szczegółami – zawołała.

Weronika usiadła i uśmiechnęła się.

– Wiesz, wszystkiego nie mogę ci opowiedzieć, bo to za bardzo osobiste, ale było pięknie. Tylko koniec trochę śmieszny, bo Konrad klęczał nad samym strumykiem i jak się okazało, powoli zapadał się w błoto.

– Klęczał? – powtórzyła Kasia z namysłem. – No pięknie. Tylko dlaczego w błocie?

Weronika roześmiała się jak z najlepszego dowcipu.

– Tak wyszło – rzekła beztrudno. – A poza tym wszystko było jak trzeba. Słowiki, gwiazdy i szum drzew... Więcej nie mogę ci powiedzieć.

– A mnie? – rozległ się niespodziewanie znajomy głos.

– Babciu, na litość boską, mogłabyś chociaż raz nie podsłuchiwać? – zdenerwowała się Kasia. – Nawet na chwilę człowiek nie może stracić czujności. Powinnaś się zatrudnić w CBA, miałabyś najlepszą skuteczność.

– No, nie bądźcie takie – odezwała się babcia pojednawczo, rozsiadając się wygodnie w ulubionym fotelu Kasi. – Mówcie, kiedy ślub.

– Jaki ślub? – Kasia machnęła lekceważąco ręką. – Nikt tu nie myśli o ślubie.

– Właśnie w tym problem – powiedziała Weronika – bo my chcielibyśmy jak najszybciej, ale to chyba najgłupszy pomysł świata.

– Oczywiście – potwierdziła Kasia.

– A dlaczego? – zapytała równocześnie babcia.

– Bo nie mamy forsy. Szkoda nam tracić pieniądze zarobione przez Konrada z takim trudem. Przecież u niego w domu wszyscy na nie czekają. A wesele strasznie dużo kosztuje. Beznadziejna sprawa.

– Ponieważ – wtrąciła się Kasia – nie ma wcale takiej potrzeby i jest na to zdecydowanie za wcześnie. Kto w dzisiejszych czasach w naszym wieku bierze ślub?

– Niektórzy biorą – wtrąciła nieśmiało Weronika.

– Biorą, bo może nie mają na co pieniędzy wydawać i im się nudzi. Przecież na to trzeba fortuny.

– Niekoniecznie – powiedziała babcia ze spokojem, który wyprowadził jej wnuczkę z równowagi.

– Babciu, co ty mówisz? Nie wiesz, ile dzisiaj wesele kosztuje, ile wymaga zachodu i starań,

jak trudno je zorganizować? I po co? – zawołała.

– To prawda – poparła ją Weronika. – A ja na nikogo nie mogę liczyć.

– No, to mnie dopiero obraziłaś – uniosła się babcia Jaworska. – Na nikogo nie może liczyć. Patrzcie państwo, jakie biedactwo! Kaśka w jej sprawie dwa tysiące kilometrów przejechała, ja po nocach nie śpię, Jarzębska gdyby mogła, toby ją po rękach całowała, cała okolica wam kibicuje, a ty takie dyrdymały opowiadasz!

– Ale mi zupełnie o co innego chodziło, ja...

– Dobrze, już wystarczy – uciszyła ją babcia. – Ślub będzie. O to się nie martw.

– Babciu, zlituj się. Po co?

– Po to, że już dawno odkryto, że dom trzeba budować na skale i nic się od tamtych czasów, wbrew pozorom, nie zmieniło. Jeśli chcą coś robić, niech to robią dobrze. Tylko wesele może rzeczywiście nie jest potrzebne.

Weronice posmutniała twarz.

– To jest dobre dla dziewczyn, które nic innego nie mają. Robią przedstawienie, żeby siebie i świat przekonać, że w ich życiu dzieje się właśnie coś cudownego. Ty tego nie potrzebujesz, bo w twoim życiu naprawdę dzieje się coś cudownego. Znalazłaś miłość, to się zdarza bardzo rzadko, wierz mi.

– Wiem, ale w takim razie jak mam to zrobić? Skromnie? Ksiądz i dwóch świadków, a potem do domu?

– A jak byś chciała?

Weronika zamilkła. Posmutniała jeszcze bardziej, a potem zaczerwieniła się lekko. Kasia wpatrywała się w nią w napięciu, licząc, że zdrowy rozsądek wreszcie zwycięży.

– Ja wiem – powiedziała Weronika powoli – że miłość jest najważniejsza, i właśnie dlatego pragnę, żeby to był wyjątkowy dzień. Marzę o pięknej sukni z koronki i długachnym welonie, chciałabym zaprosić całą okolicę i mieć w orszaku dziewczynki z bukietami stokrotek.

– Z tego wszystkiego mogę ci załatwić stokrotki, w zasadzie w nieograniczonych ilościach – wtrąciła kwaśno Kasia, która straciła nadzieję na pomyślne rozwiązanie tej sprawy. – Ty uważasz, że to będzie wyjątkowe, a to czysta klasyka i nic nowego.

– Dla mnie będzie wyjątkowe, Kasiu, bo ja nigdy czegoś takiego nie przeżyłam i cokolwiek by się w życiu stało, już nigdy nie przeżyję. To jedyna szansa. A ty byłabyś moim świadkiem, gdybyś się oczywiście zgodziła.

– Mój Boże! Prawdziwy ślub – ucieszyła się Jaworska. – Damy radę, dziewczyny. Nie takie imprezy się tu robiło. Suknię ja ci uszyję, popytam znajome, która ma jakieś superwykroje.

– Babciu, to będzie koszmar senny, a nie suknia, od dwudziestu lat nic nie uszyłaś.

– Ale mam w okolicy przyjaciółki, pomogą nam.

– A sala? Przyjęcie?

– Sali nie trzeba, zrobimy to w czerwcu w ogrodzie. Może być nawet u nas.

– A jak będzie padało?

– Spluń trzy razy przez lewe ramię i głupot nie gadaj. Nie będzie padało, a jeżeli nawet, to wymyślimy plan awaryjny.

– Ja bym chciała u mnie w ogrodzie – przerwała im nieśmiało Weronika.

– Weronika, myśl realnie. Wiem, że jesteś teraz rozkojarzona – weszła jej w słowo Kasia, którą ten sentymentalizm powoli doprowadzał do szału – ale twój ojciec sprzedał dom.

– Wiem, może by jednak wynajęli? – zastanawiała się Weronika. – Sądźcie, że do tej pory go sprzedadzą?

– Tego nikt nie wie, ale nowy właściciel musiałby być ostatnim durniem, gdyby ci kawałek sadu nie wynajął. A taki nie ma czego w okolicy szukać.

– Nie wiadomo, czy agencja się zgodzi.

– Zrobi to – powiedziała babcia zdecydowanie.

– No tak, ciekawe dlaczego? – zapytała Kasia szyderczo.

– A jak myślisz? Jeśli będą chcieli sprzedać ten dom, to z kim w pierwszej kolejności potencjalny kupiec będzie rozmawiał? Z sąsiadami. No to muszą żyć z nami w zgodzie. Inaczej

wszyscy zgodnie powiemy, że budynek ma ukryty feler, a okolica do życia niezdrowa.

– Pani jest genialna. – Weronice aż oczy się zaświeciły z radości.

Kasia tylko westchnęła.

– A jedzenie? – wysunęła ostatni argument.

– No właśnie. Wiesz, jak się dawniej wesela na wsi robiło? Każdy przynosił, co miał. Mąkę, jajka i tak dalej. Wszystko same upieczemy i ugotujemy, młode dziewczyny będą do stołu podawać. Jak za starych dobrych czasów. Damy radę, nie zostawimy cię samej. Na kobiety we wsi zawsze można liczyć. – Nic się nie martw – powiedziała do Weroniki – leć do Konrada, a ja tu wszystko załatwię. Wam się wydaje, że stary człowiek to już na niczym się nie zna. A ja wam mówię, że stary człowiek to skarbnica wiedzy i doświadczenia. Tylko sięgać i brać. Zobaczycie.

*

W kuchni wciąż śmierdziało starym tytoniem, ale Weronika przestała na to zwracać uwagę.

Była tak szczęśliwa, że wszystko widziała w różowych barwach.

Spędzała tu tylko noce.

Całe dni przebywała u Konrada na budowie. Fundamenty były już zalane. Konrad przygotował się bardzo starannie do postawienia domu.

Pomagał mu w tym wujek, który znał ten proces od strony praktycznej, ale codziennie też korzystał z laptopa Weroniki i sprawdzał wszystkie informacje w internecie. Zalogowani na różnych forach, wymieniali opinie z majstrami budowlanymi oraz właścicielami sklepów. Szukali porad u osób, które dopiero co zbudowały dom i chętnie dzieliły się swoim doświadczeniem.

U Jarzębskich Konrad zamontował gniazdko internetowe. Pod drzwiami do ogrodu postawił stolik i dwa krzesła. To tam, blisko przytuleni, planowali z Weroniką kolejne etapy prac. Po pięciu tygodniach byli już praktycznie i teoretycznie fachowcami.

Skład betonu, głębokość i szerokość fundamentów, izolacja, odwodnienie. Konrad mógłby pracę na ten temat napisać.

Wdzięczny za okazaną mu pomoc, sam chętnie odpowiadał na pytania innych osób.

Ktoregoś dnia otrzymał ofertę. W miejscowości oddalonej o sto kilometrów od ich wsi młode małżeństwo budowało dom. Już trzecia ekipa ich zawiodła i pytali, czy Konrad nie chciałby za odpowiednią opłatą pokierować pracami przy kopaniu fundamentów.

Bardzo się ucieszył. Pojechali razem z wujkiem. Wrócili po tygodniu zadowoleni.

Na własnej budowie zaczęli ciągnąć mury i Konrad kontynuował praktyczną naukę oraz aktywność na forach. Wiedział, jakich użyć materiałów, jaką zastosować technikę, zdobywał wiedzę przekazywaną przez pokolenia fachowców, korzystał z najnowszych osiągnięć naukowych. Ale przede wszystkim łączył technikę i umiejętności z nowo odkrytą w sobie miłością do tworzenia. Wspierała go w tym Weronika jako żywy dowód, że niemożliwe może stać się możliwe.

Konrad czuł, że znalazł swoją pasję w życiu. Nigdy nie przypuszczał, że polubi tak bardzo budowanie domów. Geny ojca dały znać o sobie.

*

Jarzębska uwijała się z robotą. Zewsząd napływały dary. Z całej okolicy. Każdy przynosił ile mógł, razem tworzyło to tyle, że można byłoby wyżywić pułk. Weronika dziękowała wzruszona.

Dowodzenie w kuchni przejęła Basia Smężyk, która doskonale się tam sprawdzała. Twardą ręką pędziła wszystkich do roboty. Chętnych do pomocy nie brakowało. Kobiety śmiały się, żartowały i choć praca była nielekka, przychodziły także po to, by choć przez chwilę popatrzeć na tych dwoje młodych – żywy dowód, że prawdziwa miłość wciąż istnieje. Krąży między ludźmi i kto wie, może nawet do ich małżeństw choć na chwilę zawita.

– Żeby to na mnie chłop choć przez sekundę tak popatrzył – rozmarzyła się Małgosia Rogóz, obwiązując wielki fartuch wokół pokażnej talii.

– A kiedy ty tak ostatnio na niego popatrzyłaś jak ta młoda? – zapytała babcia Jaworska. – Chyba ze trzydzieści lat temu. To w obie strony działa. Miłość wam sama nie urośnie, a chłop to się mało który, niestety, na tej hodowli zna. Do tego trzeba kobiecej ręki i kobiecej mądrości.

*

Pogoda była jak z obrazka. Jabłonie jeszcze nie przekwitły. W sadzie unosił się ich zapach. Pod drzewami ustawiono stoliki z białymi obrusami, ozdobione stokrotkami, które przysłał w prezencie Schmidt, kiedy się dowiedział o marzeniu Weroniki.

Ofiarował też ślubny bukiet dla narzeczonej. Marzyła wprawdzie o innym, oczywiście ze stokrotek, ale kiedy zobaczyła pianę maleńkich jasnokremowych storczyków, zakochała się w tym bukiecie.

Trzymała go właśnie w ręce, stojąc w swojej białej sukience, uszytej nadspodziewanie dobrze przez babcię Jaworską i jej koleżanki, pośrodku soczystej zieleni trawnika. Wokół niej skupili się wszyscy goście. Kochane, dobre, od zawsze znajome twarze. Sąsiedzi, koleżanki z klasy, rodzina. Kasia zmęczona już trochę wpatrzonymi w nią trzema parami męskich oczu – Tobiasza, Marcina, przybyłego specjalnie na ślub, oraz kierownika agencji pośrednictwa pracy, który jako zadośćuczynienie za zerwaną umowę zażądał zaproszenia na wesele. Była to idealna okazja do nawiązania bliższej znajomości z przyjaciółką panny młodej.

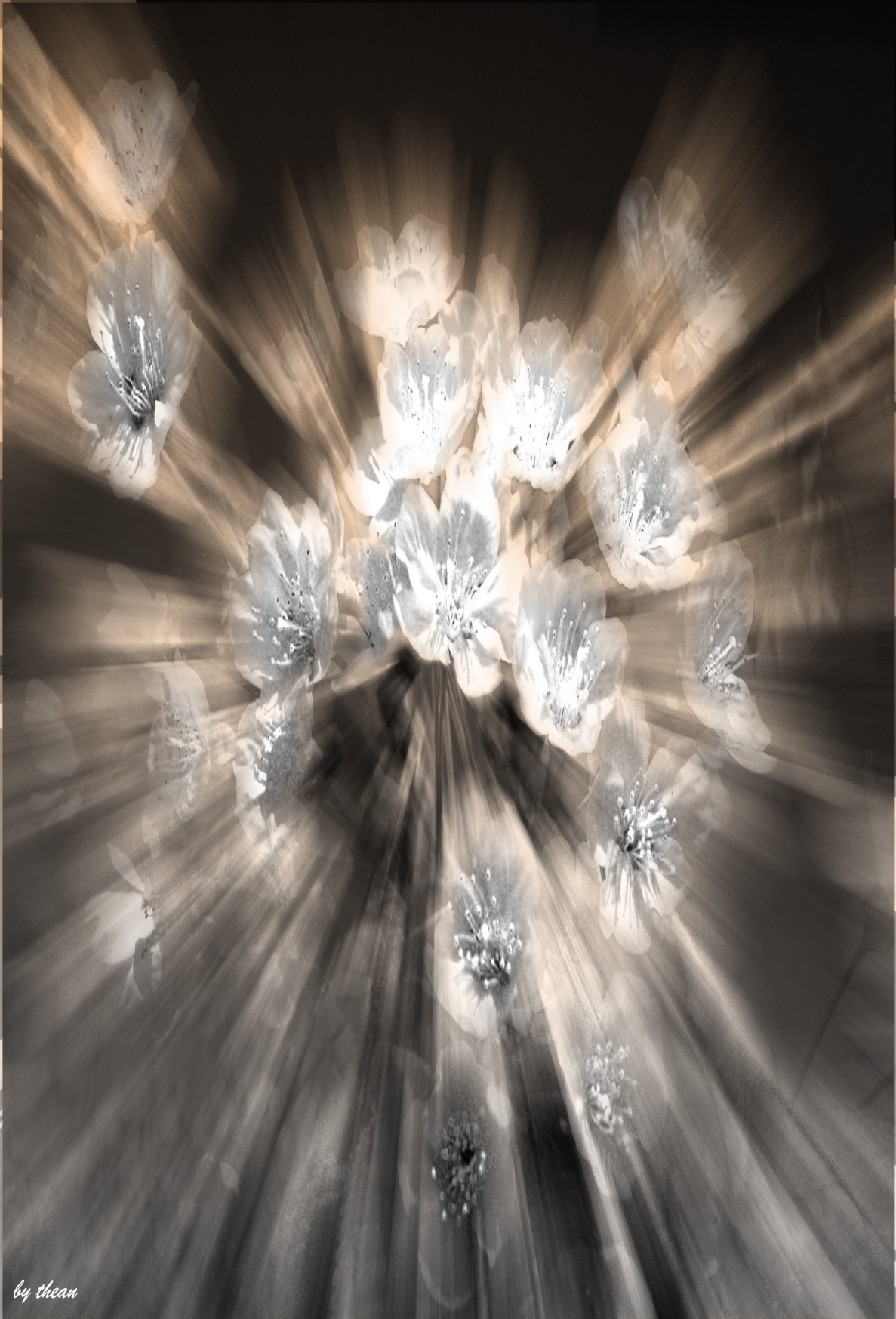
Przyjechał też ojciec, trzymał się wprawdzie trochę na uboczu, ale był spokojny i pogodny jak nigdy. Pod starą antonówką stał policjant, który nie wlepił Konradowi mandatu za jazdę na kartę motorowerową, i śmiał się do młodej pary. Tobiasz był tłumaczem pana Schmidta, który zadawał mu tysiące pytań i opychał się polskimi smakołykami. Wzruszona matka Konrada podtykała mu wciąż nowe przysmaki.

Weronika szczęśliwa do granic zakręciła się wkoło. Uśmiechnięte twarze wokół niej zawirowały.

Otoczające ją dziewczyny wpatrywały się w bukiet panny młodej.

Weronika go rzuciła.

Kwiaty poleciały wysoko, by w tej wiecznej sztafecie miłości – która rozgrywa się we wszystkich zakątkach ziemi i trwać będzie aż do końca świata – przekazać pałeczkę kolejnej dziewczynie.



by thean